

STEPHEN  
KING

ROLAND



\* \* \*

Na jałowej, spieczonej ziemi, przypominającej planetę po apokaliptycznej zagładzie czy jeden ze światów równoległych, istniejących obok naszego, pozostały tylko ślady dawnej upadłej cywilizacji. Ten złowrogi świat przemierza Roland, ostatni z dumnego klanu rewolwerowców, ścigając człowieka w czerni, który posiadał tajemnicę Wieży — mistycznego miejsca, gdzie być może uda się rozwiązać zagadkę czasu i przestrzeni. Podczas wędrówki musi stawić czoła opętanej kapłance; spotyka szalonych osadników, gadającego kruka, zamieszkujące podziemia mutanty oraz pochodzącego z Ziemi chłopca, Jake'a.

\* \* \*

*Edowi Fermanowi  
który podjął ryzyko  
stawiając na te historie.*

# **Rewolwerowiec**

## Rozdział pierwszy

Człowiek w czerni uciekał przez pustynię, a rewolwerowiec podążał w ślad za nim.

Pustynia stanowiła kwintesencję wszystkich pustyń — ogromna, rozpościerająca się w każdym kierunku na odległość, którą można było liczyć w parsekach. Biała; oślepiająca; bezwodna; pozbawiona innych punktów orientacyjnych prócz spowitych mgłą gór, rysujących się niewyraźnie na horyzoncie, oraz kęp diabelskiej trawy, sprowadzała słodkie sny, koszmary i śmierć. Wyłaniający się co jakiś czas słupek wskazywał drogę, poryty bowiem koleinami szlak, który przecinał alkaliczną skorupę, był kiedyś traktem i jeździły nim dyliżanse. Od tamtego czasu świat poszedł naprzód. Świat opustoszał.

Rewolwerowiec szedł równym krokiem, nie spiesząc się i nie zbaczając ze szlaku. Skórzany bukłak opasywał go niczym pęto kielbasy. Był prawie pełen. Rewolwerowiec przez wiele lat doskonalił się w *kwef* i doszedł do piątego poziomu. Na siódmym albo ósmym nie czułby pragnienia; obserwowałby z kliniczną chłodną uwagą swoje odwadniające się ciało, nawilżając jego szczeliny i mroczne wewnętrzne zakamarki, tylko kiedy podpowiadałby mu to rozum. Nie doszedł jednak do siódmego ani ósmego poziomu. Doszedł do piątego. Był więc spragniony, ale nie odczuwał szczególnie wielkiej potrzeby, by się napić, w jakiś nieokreślony sposób wszystko to sprawiało mu przyjemność. Było romantyczne.

Pod bukłakiem miał swoje rewolwery, świetnie wyważone i dopasowane do ręki. Dwa pasy krzyżowały się nad jego krocem. Na biodrach kołysały się przymocowane skórzanymi rzemykami kabury. Były dobrze naoliwione, żeby nie popękać w prażącym bezlitośnie słońcu. Kolby rewolwerów wykonano z żółtego, mazerowanego sandałowego drewna. Tkwiące w ładownicach mosiężne naboje migotały i puszczały zajaczki na słońcu. Skóra cicho skrzypiała. Same rewolwery nie wydawały żadnych odgłosów. Przełały krew. Nie było konieczności hałasowania w sterylnym powietrzu pustyni.

Ubiór rewolwerowca miał nieokreślony kolor deszczu lub kurzu. Nosił stebnowane drelichowe spodnie. Między ręcznie dzierganymi dziurkami rozchylonej pod szyją koszuli przewleczony był luźny rzemyk.

Rewolwerowiec wspiął się po łagodnym zboczu wydmy (choć w zasadzie nie

było tu piasku; powierzchnię pustyni stanowił skalny zlepianiec i nawet porywiste wiatry, które wiały po zapadnięciu zmroku, niosły tylko pył ostry niczym proszek do czyszczenia) i zobaczył z boku, tam gdzie najwcześniej chowało się słońce, porzucane szczątki małego ogniska. Nigdy nie przestawały go cieszyć drobne, podobne do tego ślady, po raz kolejny potwierdzające przynależność człowieka w czerni do rodzaju ludzkiego. Wargi rewolwerowca skrzywiły się w dziobatej, łuszczącej się twarzy. Ukucnął.

Jako opału człowiek w czerni użył oczywiście diabelskiego ziele — jedynej rzeczy, która się tu do tego nadawała. Ziele paliło się tłustym, płaskim płomieniem i paliło się wolno. Mieszkańcy pogranicza mówili, że diabeł mieszka nawet w płomieniach. Palili je, lecz nie patrzyli w ogień. Mówili, że diabły hipnotyzują, dają znaki i w końcu wciągają w płomienie tego, kto patrzy. Mógł je ujrzyć każdy, kto był na tyle głupi, by spojrzeć w ogień.

Żdźbła spalonej trawy ułożone były w znajomy już kształt ideogramu. Pod ręką rewolwerowca rozsypały się w szary bezsens, w popiele nie było nic oprócz zwęglonego plasterka boczku, który zjadł w zadumie. Od dwóch miesięcy podążał za człowiekiem w czerni przez pustynię — bezkresny, przeraźliwie monotony czyścowy ugór — i nie znalazł na razie innych tropów prócz higienicznie sterylnych ideogramów jego ognisk. Nie znalazł manierki, butelki ani bukłaka (sam zostawił ich za sobą cztery, niczym zrzućane przez węża skóry).

Ogniska mogły stanowić wiadomość, pisaną litera po literze. „Bierz nogi za pas”. Albo: „Koniec jest już blisko”. Albo nawet: „Zjedz coś u Joego”. To nie miało znaczenia. Nie znał się na ideogramach, jeśli to były ideogramy. Ten popiół był tak samo zimny jak inne. Wiedział, że jest coraz bliżej, ale nie wiedział, skąd to wie. Wstał i otrzepał ręce.

Żadnych innych tropów; ostry jak brzytwa wiatr wywiał wszelkie ślady, jakie mogły odcisnąć się na ubitej ziemi. Nigdy nie zdołał odnaleźć odchodów swojej zwierzyny. Nic. Tylko te wystygłe ogniska wzdłuż starodawnego traktu i funkcjonujący bez przerwy dalmierz w jego własnej głowie.

Usiadł i pozwolił sobie na niewielki łyk wody z bukłaka. Przebiegł oczyma pustynię i spojrzał na słońce, które chyliło się ku zachodowi w odległym kwadrancie nieba, a potem wstał, wyjął wciśnięte za pas rękawice i zaczął rwać diabelskie ziele na własne ognisko, które rozpałił w popiele pozostawionym przez człowieka w czerni. Ironia tego faktu, podobnie jak doskwierające pragnienie, sprawiała mu gorzką satysfakcję.

Hubką i krzesiwem posłużył się dopiero, kiedy o minionym dniu świadczyło jedynie ulotne ciepło gruntu pod stopami i szydercza pomarańczowa kreska na monochromatycznym horyzoncie. Spoglądał cierpliwie na południe, w stronę gór, nie spodziewając się i nie mając nadziei, iż zobaczy cienką, prostą nitkę dymu z innego ogniska. Patrzył, bo to należało do gry. Nie zobaczył niczego. Był blisko, ale tylko stosunkowo blisko. Nie dość blisko, by ujrzyć dym o zmierzchu.

Skrzeszał iskrę na suche, postrzępione źdźbła i położył się po nawietrznej, tak żeby dym zwiewało na pustynię. Wiatr, z wyjątkiem wirujących co jakiś czas małych trąb powietrznych, był niezmienny.

Wyżej płonęły gwiazdy, również niezmiennie. Miliony słońc i światów. Przyprawiające o zawrót głowy konstelacje, zimny ogień w każdym pierwotnym odcieniu. Na jego oczach niebo zmieniło kolor z fioletowego na hebanowy. Meteor zakreślił krótki spektakularny łuk i zgasł. Ogień rzucał dziwne cienie; diabelskie ziele wypalało się powoli, tworząc nowe wzory — nie ideogramy, lecz proste, krzyżujące się linie, w nieokreślony sposób złowrogie w swojej rzeczowej stałości. Wzór, w który ułożył łodygi, nie był artystyczny, lecz pragmatyczny. Mówił o tym, co białe i co czarne. Mówił o mężczyźnie prostującym źle zawieszony obraz w obcych hotelowych pokojach. Ognisko paliło się równym, wolnym płomieniem; w jego rozszarżonym jądrze tańczyły fantomy. Rewolwerowiec nie widział ich. Spał. Dwa wzory, wzór sztuki oraz wzór biegiłości, zlały się ze sobą. Wiatr pojękiwał. Co jakiś czas zabłąkany wir powietrza porywał smugi dymu i wtedy rewolwerowca dotykały jego nitki. Tkały kanwę jego snów w taki sam sposób, w jaki mały pyłek stwarza perłę w ostrydże. Od czasu do czasu rewolwerowiec pojękiwał do wtóru z wiatrem. Gwiazdy nie zwracały na to uwagi, podobnie jak nie zwracały uwagi na wojny, ukrzyżowanie oraz rebelie. To również powinno sprawić mu przyjemność.

## Rozdział drugi

Schodząc z ostatniego wzgórza, rewolwerowiec prowadził osła o wybałuszonych od skwaru martwych oczach. Ostatnie miasteczko minął trzy tygodnie wcześniej i podążając starym traktem, którym kiedyś jeździły dylizansy, napotykał odąd wyłącznie kryte darnią osady mieszkańców pogranicza. Osady zmieniły się w pojedyncze chaty, zamieszkane na ogół przez trędowatych albo wariatów. Bardziej odpowiadało mu towarzystwo wariatów. Jeden z nich wręczył mu kompas marki Silva z nierdzewnej stali, każąc go oddać Jezusowi. Rewolwerowiec wziął go z poważną miną. Jeśli Go spotka, na pewno odda kompas. Chociaż raczej się tego nie spodziewał.

Minęło już pięć dni, odkąd minął ostatnią chatę, i podejrzewał, że nie zobaczy ich więcej, ale wspiąwszy się na szczyt ostatniego zwietrzałego wzgórza, ujrzał znajomy, kryty darnią, niski dach.

Osadnik, zaskakująco młody człowiek ze zmierzwioną grzywą truskawkowych włosów, które sięgały mu prawie do pasa, pielił z zacieklą gorliwością niewielkie poletko kukurydzy. Muł sapnął ciężko i osadnik podniósł wzrok. Utkwił na chwilę swoje płonące błękitne oczy w przybyszu, po czym podniósł obie ręce w krótkim geście pozdrowienia i pochylił się, żeby dalej pielic położoną najbliżej chaty grzędę, ciskając co chwila przez ramię diabelskie ziele i rzadziej karłowatą łodygę kukurydzy. Jego czupryna trzęsła się i powiewała na wietrze, który dał prosto z pustyni, nie napotykając po drodze żadnych przeszkód.

Rewolwerowiec zszedł powoli ze wzgórza, prowadząc osła z chlupoczącą w bukłakach wodą. Zatrzymał się przy skraju uschłego zagonu, napił się trochę wody z bukłaka, żeby pobudzić wydzielanie śliny, po czym splunął na jałową ziemię.

— Życie za twoje zbiory.

— Życie za twoje własne — odparł osadnik i wyprostował się. Coś chrupnęło głośno w jego plecach. Przyjrzał się bez lęku przybyszowi. Widoczna między brodą i czupryną skóra twarzy nie nosiła śladów zgnilizny, a w jego oczach, choć nieco dzikich, nie malowało się szaleństwo. — Nie mam nic prócz kukurydzy i fasoli — powiedział. — Kukurydza jest za darmo, ale musisz kopsnąć coś za fasolę. Dostarcza ją tu co jakiś czas pewien gość. Nie bawi u mnie zbyt długo. —



Osadnik parsknął śmiechem. — Boi się duchów.

— Przypuszczam, że bierze cię za jednego z nich.

— Przypuszczam, że tak.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

— Nazywam się Brown — przedstawił się osadnik, wyciągając rękę.

Rewolwerowiec uściśnął ją. Kiedy to robił, chudy kruk zakrakał z niskiego szczytu krytego darnią dachu.

— To Zoltan — oznajmił osadnik, wskazując ręką ptaka.

Na dźwięk swojego imienia kruk zakrakał ponownie, podfrunął do Browna i wylądował na jego głowie, wbijając mocno szpony w zmierzwioną czuprynę.

— Chromołę cię! — zakrakał rezolutnie. — Chromołę ciebie i konia, którego dosiadasz.

Rewolwerowiec pokiwał z uznaniem głową.

— Fasola, fasola, muzyczny przysmak — wyrecytował zachęcony tym kruk.

— Im więcej go żresz, tym częściej przykasz.

— Ty go tego nauczyłeś?

— Chyba tylko tego ma ochotę się uczyć — odparł Brown. — Próbowałem go kiedyś nauczyć Modlitwy Pańskiej. — Jego oczy pobiegły na chwilę poza chatę, w stronę kamienistej, pozbawionej punktów orientacyjnych równiny. — W tym kraju nie odmawiają chyba Modlitwy Pańskiej. Jesteś rewolwerowcem. Zgadza się?

— Tak.

Rewolwerowiec przykucnął na piętach i wyjął woreczek z tytoniem. Zoltan sfrunął z głowy Browna i wylądował, trzepocząc skrzydłami, na jego ramieniu.

— Domyślam się, że ścigasz tego drugiego — mruknął osadnik.

— Tak — odparł rewolwerowiec i z jego ust padło nieuniknione pytanie: — Jak dawno tędy szedł?

Brown wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Czas wyprawia tutaj dziwne sztuczki. To było ponad dwa tygodnie temu. Niespełna dwa miesiące. Fasolarz odwiedził mnie od tamtego czasu dwa razy. Domyślam się, że tamten przechodził tędy sześć tygodni temu. Chociaż niewykluczone, że się mylę.

— Im więcej żresz, tym częściej przykasz — oznajmił Zoltan.

— Czy się zatrzymał? — zapytał rewolwerowiec.

Brown pokiwał głową.

— Został na kolacji, podobnie jak możesz zostać i ty, jeśli masz ochotę. Spędziliśmy miło czas.

Rewolwerowiec wstał. Ptak zakrakał i pofrunął z powrotem na dach. Rewolwerowiec poczuł, że wewnątrz drży.

— O czym mówił?

Brown podniósł brwi.

— Niewiele się odzywał. Czy padał tutaj w ogóle deszcz, kiedy tu przybyłem i czy pochowałem swoją żonę. Mówiłem w większości ja, co rzadko mi się zdarza.  
— Przerwał i przez chwilę słychać było tylko dujący wiatr. — To czarownik, prawda?

— Tak.

Brown pokiwał powoli głową.

— Wiedziałem, a ty?

— Ja jestem tylko człowiekiem.

— Nigdy go nie dopadniesz.

— Dopadnę go.

Popatrzyli jeden na drugiego, czując do siebie nagle głęboką sympatię, osadnik na swoim suchym jak pieprz poletku, przybysz na skalnej płycie, która opadała ku pustyni.

Rewolwerowiec sięgnął po krzesiwo.

— Proszę — powiedział Brown, wyjmując zapałkę z siarczanym czubkiem i zapalając ją brudnym paznokciem.

Rewolwerowiec zbliżył papieros do płomienia i zaciągnął się dymem.

— Dzięki.

— Na pewno będziesz chciał napełnić swoje bukłaki — powiedział osadnik i odwrócił się do niego plecami. — Źródło jest pod okapem z tyłu. Ja idę szykować kolację.

Rewolwerowiec obszedł dom, stąpając ostrożnie po zagonach kukurydzy. Źródło biło na dnie wykopanej ręcznie studni, którą ocembrowano kamieniami zabezpieczającymi sypką ziemię przed zawałem. Schodząc po rozchybotanej drabinie, zdał sobie sprawę, że budowa studni — wykopanie dołu, a potem zwiezenie i ułożenie kamieni — mogła zająć nawet dwa lata. Woda była czysta, lecz płynęła powoli i napełnienie bukłaków trwało bardzo długo. Gdy kończył napełniać drugi, na skraju studni przycupnął Zoltan.

— Chromołą ciebie i konia, którego dosiadasz — oznajmił.

Zaskoczony rewolwerowiec zerknął w górę. Szyb miał piętnaście stóp wysokości; był wystarczająco głęboki, żeby Brown cisnął w niego kamieniem, rozbił mu głowę i ze wszystkiego okradł. Wariat albo trędowaty nie zrobiłby tego; Brown nie był ani jednym, ani drugim. Mimo to polubił go. Odsunął od siebie złe myśli i zaczął napełniać kolejny bukłak wodą. Sączyła się bardzo wolno.

Kiedy przekroczył próg chaty i zszedł po schodkach w dół (podłoga izby znajdowała się poniżej poziomu gruntu, żeby zatrzymać nocny chłód), Brown miał w rękę szpatułkę z twardego drewna i wpychał nią kolby kukurydzy między głownie. Dwa poobijane talerze stały po przeciwnych stronach ciemnobrązowego koca, w wiszącym nad ogniem kociołku zaczynała bulgotać woda na fasole.

— Za wodę też zapłacę.

Brown nie podniósł wzroku.

— Woda jest darem Boga. Fasolę przynosi Pappa Doc.

Rewolwerowiec parsknął śmiechem i usiadł, opierając się plecami o szorstką ścianę. Po chwili skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy. Do jego nozdrzy dotarł zapach prażonej kukurydzy. Słyszał podobny do toczących się kamyków grzechot, kiedy Brown wsypał do kociołka suszoną fasolę, i co jakiś czas tak-tak-tak spacerującego niespokojnie po dachu Zoltana. Był zmęczony; po horrorze, który się zdarzył w ostatnim miasteczku, Tuli, szedł szesnaście, a czasami nawet osiemnaście godzin dziennie, i był na nogach od dwunastu dni; muł padał z wyczerpania.

Tak-tak-tak.

Minęły dwa tygodnie, powiedział Brown, albo nawet sześć. To było bez znaczenia, w Tuli mieli kalendarze i pamiętali człowieka w czerni, ponieważ uzdrowił on tam miejscowego starca. Starca, który konał od ziela. Trzydziestopięcioletniego starca, i jeśli Brown się nie mylił, człowiek w czerni tracił nad nim przewagę. Teraz jednak rewolwerowiec musiał pokonać pustynię, a pustynia będzie piekłem.

Tak-tak-tak.

Użycz mi swoich skrzydeł, ptaku. Rozpostreż je i pofrunę z ciepłymi powietrznymi prądami.

Zasnął.

## Rozdział trzeci

Brown obudził go pięć godzin później. Ciemność rozświetlały tylko żarzące się wiśniowym światłem główne.

— Zdechł twój muł — oświadczył. — Przyszykowałem kolację.

— Jak?

Brown wzruszył ramionami.

— Kukurydza prażona, fasola gotowana. Jak inaczej? Jesteś wybredny?

— Nie, chodzi mi o muła.

— Po prostu się położył, to wszystko. Wyglądał na starego. Zoltan wydziobał mu oczy — dodał przeproszającym tonem.

— O! — Rewolwerowiec mógł się tego spodziewać. — w porządku.

Kiedy zasiedli przy kocu, który pełnił funkcję stołu, Brown ponownie go zaskoczył, odmawiając krótką modlitwę: za deszcz, za zdrowie, za duchowy rozwój.

— Wierzysz w życie po życiu? — zapytał rewolwerowiec, kiedy Brown położył trzy gorące kolby kukurydzy na jego talerzu.

Brown pokiwał głową.

— Chyba tak.

## Rozdział czwarty

Ziarna fasoli były niczym naboje, kukurydza łykowata. Wszechobecny wiatr sapał i zawodził pod sięgającymi ziemi okapami. Rewolwerowiec jadł szybko, żarłocznie, popijając posiłek czterema kubkami wody, w połowie kolacji rozległo się szybkie niczym karabin maszynowy stukanie do drzwi. Brown wstał i wpuścił do środka Zoltana. Ptak przeleciał przez izbę i przycupnął naburmuszony w kącie.

— Muzyczny przysmak — mruknął.

Po kolacji rewolwerowiec poczęstował Browna tytoniem.

Teraz. Teraz zaczną się pytania.

Brown jednak nie zadawał żadnych pytań. Zaciągając się dymem, spoglądał na szczapy, które dopalały się w palenisku, w izbie zrobiło się wyraźnie chłodniej.

— Nie wódź nas na pokuszenie — oznajmił nagle apokaliptycznym tonem Zoltan.

Rewolwerowiec wzdygnął się, jakby do niego strzelano. Doszedł nagle do przekonania, że wszystko to jest iluzją (nie snem, lecz czarami), że człowiek w czerni rzucił urok i stara się dać mu coś do zrozumienia w irytująco niejasny, symboliczny sposób.

— Byłeś kiedyś w Tuli? — zapytał.

Brown pokiwał głową.

— Zglądałem tam od czasu do czasu, żeby sprzedać kukurydzę, w tym roku padało. Deszcz trwał może piętnaście minut. Ziemia jakby się otworzyła i wessała całą wilgoć. Po godzinie było tak samo białe i sucho jak zawsze. Ale kukurydza... Boże... Widziało się, jak rośnie. To nie było takie złe. Słyszało się, jak rośnie... jak gdyby ten deszcz dał jej głos. Ten dźwięk nie był zbyt radosny. Jak gdyby wychodząc z ziemi, przez cały czas wdychała i jęczała. Zebrałem duże plony — dodał po chwili Brown — więc wziąłem ją i sprzedałem. Pappa Doc powiedział, że to zrobi, ale na pewno by mnie oszukał. Więc poszedłem sam.

— Nie lubisz miasta?

— Nie.

— O mało tam nie zginąłem — wyznał raptem rewolwerowiec.

— Jak to?

— Zabiłem człowieka, który został dotknięty przez Boga. Tyle że to wcale nie był Bóg. To był człowiek w czerni.

— Zastawił na ciebie pułapkę.

— Tak.

Spoglądali na siebie w półmroku, czując, że zbliża się kulminacyjny moment. Teraz zaczną się pytania.

Brown tymczasem w ogóle się nie odzywał. Jego papieros prawie całkowicie się wypalił, lecz kiedy rewolwerowiec poklepał woreczek z tytoniem, pokręcił głową.

Zoltan poruszył się niespokojnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem się rozmyślił.

— Mogę ci o tym opowiedzieć? — zapytał rewolwerowiec.

— Jasne.

Rewolwerowiec szukał słów, od których mógłby zacząć, lecz nie znalazł żadnych.

— Muszę się odlać — stwierdził.

Brown pokiwał głową.

— To przez tę wodę. Więcej kukurydzy?

— Jasne.

Rewolwerowiec wspiął się po schodkach i wyszedł w mrok. Nad głową migotały rozbryzgane ręką szaleńca gwiazdy. Równomiernie pulsował wiatr. Drżąca struga moczu zatoczyła łuk nad osypującym się poletkiem kukurydzy. Browna przysłał tu człowiek w czerni. Sam Brown mógł być człowiekiem w czerni. To możliwe...

Odsunął od siebie podejrzenia. Jediną rzeczą, z którą nie potrafiłby sobie poradzić, było własne szaleństwo. Wrócił do izby.

— Rozstrzygnąłeś już, czy ktoś mnie zaszarował? — zapytał wesołym tonem Brown.

Rewolwerowiec zatrzymał się zaskoczony na niewielkim podeście, a potem powoli zszedł i usiadł.

— Zacząłem ci opowiadać o Tuli.

— Czy miasto się rozwija?

— Jest wymarłe — odparł rewolwerowiec i jego słowa zawisły w próżni.

Brown pokiwał głową.

— To przez tę pustynię. Myślę, że w końcu może wszystko zadusi. Wiesz, że kiedyś jeździły tędy dylizanse?

Rewolwerowiec zamknął oczy, w głowie miał mętlik.

— Coś mi dosypałeś — stwierdził grubym głosem.

— Nie. Nic nie dosypałem.

Rewolwerowiec otworzył z trudem oczy.

— Nie uznasz za stosowne zacząć, dopóki cię o to nie poproszę — powiedział Brown. — Zatem zrobię to. Opowiesz mi o Tuli?

Rewolwerowiec otworzył z wahaniem usta i z zaskoczeniem stwierdził, że tym razem nie brakuje mu słów. Zaczął opowiadać urywanymi monosylabami, które z wolna rozwinęły się w równą, beznamiętną narrację. Poczucie zamroczenia minęło i zorientował się, że jest dziwnie podekscytowany. Mówił do późna w nocy. Brown w ogóle mu nie przerywał. Podobnie jak ptak.

## Rozdział piąty

Kupił muła w Pricetown i gdy dotarł do Tuli, zwierzę było w dobrej formie. Słońce zaszło już przed godziną, lecz rewolwerowiec szedł dalej, prowadzony przez łunę, która zawisała nad miasteczkiem, a potem niesamowicie czyste tony barowego pianina, na którym ktoś grał „Hey Jude”. Droga poszerzyła się, kiedy dołączyły do niej boczne trakty.

Lasy skończyły się o wiele wcześniej i zastąpiła je monotonna płaska równina: bezkresne wyludnione pola, porośnięte tymotką i niskimi zaroślami; ponure, opuszczone posiadłości, strzeżone przez cieniste złowrogie dwory, z całą pewnością nawiedzane przez demony; ziejące pustką chaty, z których ludzie albo odeszli sami, albo zostali wysiedleni; rzadkie chałupki osadników, których obecność zdradzało pojedyncze migotliwe światło w nocy lub posępne, niekontaktujące się z nikim klany trudzące się za dnia na polach. Uprawiano głównie kukurydzę, ale również fasolę i groch. Od czasu do czasu widział wychudłą krowę, gapiącą się spomiędzy okorowanych olchowych palików. Cztery razy mijaly go dyliżanse, dwa razy jadące w jedną, dwa razy w drugą stronę, prawie puste, gdy nadjeżdżały z tyłu, i pełniejsze, gdy podążały z powrotem w stronę lasów na północy.

To był brzydki kraj. Odkąd opuścił Pricetown, dwukrotnie padało, za każdym razem niemrawo. Nawet tymotka była żółta i przywiedła. Brzydki kraj. Nie widział śladów człowieka w czerni. Może podróżował dyliżansem.

Rewolwerowiec minął zakręt, po czym zatrzymał cmoknięciem muła i spojrział w dół na Tuli. Miasteczko leżało na dnie okrągłego zagłębienia w kształcie niecki — fałszywy brylant w taniej oprawie. Paliło się trochę światła, w większości tam, skąd dochodziła muzyka. Zobaczył cztery ulice. Trzy krzyżowały się pod kątem prostym z drogą dyliżansów, która była główną ulicą miasteczka. Może mieli tam restaurację. Nie bardzo w to wierzył, ale może. Cmoknął na muła.

Przy drodze pojawiło się więcej domów, na ogół opuszczonych. Minął niewielki cmentarz z pokrzywionymi, spróchniałymi drewnianymi nagrobkami, które obrosło cuchnące diabelskie zielsko. Może dwieście jardów dalej dostrzegł nadgryziony zębem czasu znak z napisem TULL.

Farba złuszczyła się z niego do granicy czytelności. Jeszcze dalej stał kolejny znak, ale rewolwerowiec nie zdołał odczytać na nim ani jednej litery.



Kiedy wszedł do centrum miasteczka, chór przepitych głosów unosił się w finałowym zaśpiewie „Hey Jude”.

— Naa-naa-naa naa-na-na-na... hej, Jude...

Głosy brzmiały głucho niczym wiatr hulający w dziupli martwego drzewa. Tylko prozaiczne postukiwanie młoteczków barowego pianina odsunęło od niego podejrzenie, że to człowiek w czerni wskrzesił duchy, by zaludnić opuszczone miasto. Na myśl o tym lekko się uśmiechnął.

Na ulicach było kilka osób, niewiele, ale kilka. Trzy panie w czarnych spodniach oraz identycznych luźnych bluzach przeszły chodnikiem po drugiej stronie ulicy, świadomie odwracając od niego wzrok. Ich twarze wydawały się płynąć nad prawie niewidocznymi ciałami, niczym wielkie, blade, opatrzone oczyma baseballowe piłki. Smutny staruszek we wciśniętym na głowę słomkowym kapeluszu obserwował go ze stopni zabitego deskami sklepu spożywczego. Przyjmujący późnego klienta chudy krawiec przerwał przymiarkę i podniósł wyżej lampę w oknie, żeby móc mu się lepiej przyjrzeć. Rewolwerowiec skinął mu głową. Ani krawiec, ani jego klient nie odwzajemnili ukłonu. Czuł ich wzrok utkwiony w przylegających do jego bioder, wiszących nisko kaburach. Młody, może trzynastoletni chłopak i jego dziewczyna przeszli na drugą stronę ulicy, prawie niedostrzegalnie wstrzymując krok. Ich stopy wzbijały w górę małe obłoczki kurzu. Paliło się kilka ulicznych latarni, których szybki pokrywał ciemny osad nafty. Większość i tak była potłuczona. Trochę dalej stała publiczna stajnia, zawdzięczająca chyba swoje istnienie linii dylizansów. Przy jej otwartych wrotach, wokół nakreślonego na ziemi koła do gry w kulki, kucali w milczeniu trzech chłopcy, paląc papierosy nabite łuskami kukurydzy i rzucając długie cienie na podwórze.

Rewolwerowiec poprowadził obok nich muła i zajrzał w głąb pograżonej w półmroku stajni, w świetle pojedynczej lampy tańczył cień chudego jak tyczka, ubranego w drelichy starszego mężczyzny, który machając energicznie widłami, wrzucał na strych luźne siano tymotki.

— Hej! — zawołał rewolwerowiec.

Widły znieruchomiały i stajenny szybko się obejrzał.

— Hej! — odkrzyknął.

— Mam tutaj muła.

— To dobrze.

Rewolwerowiec rzucił w półmrok ciężką, nierówno karbowaną złotą monetę, która zadzwoniła o stare, pokryte sieczką deski.

Stajenny podniósł ją i zerknął z ukosa na przybysza. Jego oczy zatrzymały się na taśmach z nabojami i pokiwał ponuro głową.

— Na jak długo chcesz go zostawić?

— Na jedną noc. Może na dwie. Może na dłużej.

— Nie mam jak wydać reszty.

- Nie prosiłem o resztę.
- Krwawe pieniądze — mruknął stajenny.
- Co takiego?
- Nic.

Stajenny wziął muła za uzdę i wprowadził do środka.

- Wyszczotkuj go! — zawołał rewolwerowiec.

Mężczyzna nie odwrócił się.

Rewolwerowiec podszedł do kucających w kręgu chłopców, którzy przyglądali się z pogardliwym zainteresowaniem całej scenie.

- Gdzie tu się można napić? — zapytał swobodnym tonem.

Bez odpowiedzi.

- Mieszkacie w tym mieście?

Bez odpowiedzi.

Jeden z chłopców wyciągnął z ust przekrzywioną łuskę kukurydzy, wziął do ręki zielony kamyk i cisnął go w środek kręgu. Zielony kamyk uderzył w inny, który wypadł z kręgu. Chłopiec podniósł zielony kamyk i zaczął się szykować do następnego rzutu.

- Jest tu jakaś restauracja? — zapytał rewolwerowiec.

Jeden z nich, najmłodszy, podniósł wzrok, w kąciu ust wyrosła mu wielka skwarka, lecz oczy miał jeszcze niewinne, w jego wzroku malowała się z trudem skrywana bezgraniczna admiracja, która była wzruszająca i zarazem straszna.

- Można dostać hamburgera u Sheba — powiedział.

- To tam, gdzie gra pianino?

Chłopiec pokiwał głową, ale nie odpowiedział. Twarze jego kolegów zrobiły się brzydkie i wrogie.

Rewolwerowiec dotknął runda kapelusza.

— Jestem zobowiązany. Miło się przekonać, że ktoś w tym mieście jest dość bystry, żeby powiedzieć kilka słów.

Minął ich i ruszył chodnikiem w stronę knajpy Sheba, słysząc za sobą wyraźnie pełen pogardy głos jednego z nich, jeszcze prawie dziecinny dyszkan.

- Trawożer! Od jak dawna rzniesz swoją siostrę, Charlie? Trawożer!

Przy wejściu do knajpy paliły się trzy lampy naftowe, dwie po bokach oraz jedna zawieszona na gwoździu nad nietoperzymi skrzydłami krzywo osadzonych drzwi. Śpiewający „Hey Jude” chórek umilkł i pianista grał teraz inną starą balladę. Głosy mruczały i cichły niczym rwące się nici. Rewolwerowiec przystanął na chwilę na zewnątrz i zajrzał do środka. Posypana trocinami podłoga, spluwaczki stojące przy rozchybotanych nogach stołów. Oparta o dwa kozły deska baru. Za nią lepkie od brudu lustro, w którym odbijał się grajek, zgarbiony w typowej pozycji pianisty na taborecie. Wieko pianina zostało zdjęte i widać było podnoszące się i opadające drewniane młoteczki. Barmanka miała włosy koloru słomy i brudną

niebieską sukienkę. Jedno z jej ramiączek było spięte agrafką, w głębi sali siedziało może sześciu miejscowych, którzy popijali i grali apatycznie w „pilnuj mnie”. Kolejne pół tuzina skupiło się wokół pianina. Czterech albo pięciu przy barze. Przy samych drzwiach spał z głową na stoliku starszy mężczyzna z potarganymi siwymi włosami. Rewolwerowiec wszedł do środka.

Głowy odwróciły się i ludzie ometli wzrokiem jego i rewolwery. Na chwilę wszyscy umilkli prócz nieświadomego jego obecności grajka, który w dalszym ciągu brzdąkał na pianinie, a potem kobieta przetarła ścierką bar i wszystko wróciło do normy.

— Pilnuj mnie — powiedział jeden z graczy w kącie, bijąc trójkę kier czwórką pik i pozbywając się ostatniej karty.

Ten, który wyłożył kiery, zaklął, oddał postawione pieniądze i rozdano po raz kolejny karty.

Rewolwerowiec podszedł do baru.

— Macie tu hamburgery? — zapytał.

— Jasne. — Barmanka spojrzała mu prosto w oczy, w młodości mogła być ładna, teraz jednak jej twarz była spuchnięta, a czoło przecinała sina blizna. Obficie ją upudrowała, lecz makijaż jeszcze bardziej zwracał na nią uwagę. — Ale są drogie.

— Tak też myślałem. Daj mi trzy hamburgery i piwo.

Ponownie ta subtelna zmiana tonu. Trzy hamburgery. Ludziom pociekła ślinka i z pożądaniem obrócili w ustach językami. Trzy hamburgery.

— To będzie kosztowało pięć dolców. Razem z piwem.

Rewolwerowiec położył na barze złotą monetę.

Pobiegły za nią oczy.

Na grillu, który stał za barem po lewej stronie lustra, tlił się węgiel drzewny. Kobieta zniknęła w małej klitce na zapleczu i wróciła z opakowanym w papier mięsem. Sformowała trzy kotlety i rzuciła je na grill. Zapach, który się rozszedł, przyprawiał o utratę zmysłów. Rewolwerowiec stał z kamienną twarzą, tylko na peryferiach świadomości zdając sobie sprawę, że pianista zaczął fałszować, gra w karty zwolniła tempo, a barowi bywalcy zerkają na niego z ukosa.

Zobaczył w lustrze mężczyznę, kiedy ten znalazł się w połowie drogi. Prawie kompletnie tyśy, zaciskał dłoń na rękojeści olbrzymiego myśliwskiego noża, który zwisał mu u pasa niczym kabura pistoletu.

— Siadaj — powiedział cicho rewolwerowiec.

Mężczyzna zatrzymał się. Górna warga uniosła mu się mimowolnie jak u psa i na chwilę zapadła cisza, a potem cofnął się do swojego stolika i w barze znowu zapanował spokój.

Barmanka podała piwo w poobijanym wysokim kuflu.

— Nie mam jak wydać reszty — oznajmiła wojowniczo.

— Nie prosiłem o resztę.

Pokiwała gniewnie głową, jakby ta manifestacja zamożności, choć dla niej korzystna, rozzłościła ją. Wzięła jednak złoto i chwilę później na zaparowanym talerzu pojawiły się hamburgery, wciąż czerwone przy brzegach.

— Macie tu sól?

Sięgnęła pod bar i podała mu solniczkę.

— Chleb?

— Nie ma.

Wiedział, że go okłamuje, ale nie upierał się. Łysy mężczyzna wpatrywał się w niego sinymi oczyma. Jego dłonie zaciskały się na porysowanym poszczerbionym blacie stołu, nozdrza rozchylały się z pulsującą regularnością.

Rewolwerowiec zaczął jeść, spokojnie, prawie mechanicznie, krając hamburgera na części i wkładając je widelcem do ust, starając się nie myśleć, co dodano do mięsa w trakcie siekania.

Kończył już posiłek, szykując się do zamówienia kolejnego piwa i wypalenia papierosa, gdy czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu.

Uświadomił sobie nagle, że w knajpie zrobiło się znowu cicho, i wyczuł gęstniejące w powietrzu napięcie. Odwrócił się i spojrzał w twarz mężczyzny, który wcześniej spał przy drzwiach. Była straszna. Zionął z niej cuchnący odór diabelskiego ziela. Oczy były przekłete, wytrzeszczone — płonące oczy kogoś, kto patrzy, lecz nie widzi, oczy na zawsze zwrócone do wewnątrz, ku sterylnemu piekłu snów, nad którymi nie sposób zapanować, snów spuszczonej ze smyczy, snów sączących się ze śmierdzącego bagna nieświadomości.

Z ust barmanki wydarł się cichy jęk.

Popękane wargi wykrzywiły się i uniosły, odsłaniając zielone, omszałe zęby.

On przestał już to palić, pomyślał rewolwerowiec. On to żuje. On to naprawdę żuje.

I chwilę później: on jest martwy. Powinien umrzeć rok temu.

I chwilę później: to sprawka człowieka w czerni.

Patrzyli się na siebie, przybysz i mężczyzna, który przekroczył próg szaleństwa.

A potem mężczyzna odezwał się i osłupiały rewolwerowiec zorientował się, że zwraca się do niego w Wysokiej Mowie.

— Przysługa za złoto, rewolwerowcze. Tylko za jedną monetę. Nie pożałujesz.

Wysoka Mowa. Jego umysł przez chwilę nie potrafił jej przyswoić. Minęły lata... Boże... wieki, tysiąclecia; nie było już Wysokiej Mowy, on był ostatni, był ostatnim rewolwerowcem. Inni...

Czując, jak ogarnia go odrętwienie, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął sztukę złota. Kaleka, poharatana ręka sięgnęła po nią, przez chwilę pieściła, a potem podniosła w górę tak, by odbiło się w niej tłuste światło lamp naftowych. Moneta skrzyła się dumnym cywilizowanym blaskiem: złotym, czerwonym, krwawym.

— Achhhh... .

Nieartykułowany jęk rozkoszy. Starzec odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem do swojego stolika, trzymając monetę na poziomie oczu, obracając w palcach, świecąc nią.

Knajpa szybko pustoszała, nietoperze skrzydła drzwi waliły wściekle w tę i z powrotem. Pianista zatrzasnął głośno wieko swego instrumentu i wybiegł w ślad za innymi, sadząc długimi susami niczym w komicznej operze.

— Sheb! — zawołała za nim kobieta głosem, w którym zabrzmiała dziwna mieszanka strachu i swarliwości. — Sheb! Wracaj tutaj! Niech cię diabli!

Starzec usiadł tymczasem przy swoim stoliku. Zakręcił monetą na poszczerbionym drewnianym blacie i przyglądał się jej z pustą fascynacją na pół martwymi, na pół żywymi oczyma. Zakręcił ponownie, a potem jeszcze raz i opadły mu powieki. Za czwartym razem jego głowa oparła się o blat, zanim moneta przestała wirować.

— No i pięknie — mruknęła z cichą furią barmanka. — Przepłoszyłeś mi gości. Jesteś zadowolony?

— Wróć tu — zapewnił ją rewolwerowiec.

— Nie, dzisiaj już nie.

— Kto to jest? — zapytał, wskazując trawożera.

— Idź się. . . — zakłęła, demonstrując dłońmi niemożliwy akt masturbacji.

— Muszę to wiedzieć — stwierdził cierpliwie. — On jest. . .

— Odezwał się do ciebie w dziwny sposób — powiedziała. — Nort nigdy w życiu tak nie mówił.

— Szukam pewnego człowieka. Na pewno go znasz.

Popatrzyła na niego i jej gniew się ulotnił. Zamiast niego pojawiło się wyrachowanie, następnie zaś zalotny błysk, który oglądał już wcześniej. Rozklekotany budynek tykał do siebie w zadumie. Gdzieś daleko zaczął ujadać pies. Rewolwerowiec czekał. Zobaczyła, że wszystkiego się domyślił. Miejsce zalotnego błysku zajęło bezradne spojrzenie; pragnienie, którego nie sposób wyrazić słowami.

— Znasz moją cenę — oświadczyła.

Uważnie się jej przyjrzał. Blizny nie będzie widać w ciemności. Jej ciało było zbyt szczupłe, żeby pustynia, piasek i żwir zdołały pozbawić go sprężystości, i kiedyś była ładna, może nawet piękna. Nie miało to zresztą większego znaczenia. Nie miałyby znaczenia, gdyby nawet w jej jałowym czarnym łonie zagnieździły się cmentarne pszczoły. Wszystko i tak zostało już wcześniej zapisane.

Ręce barmanki uniosły się do twarzy. Wciąż ocalało w niej trochę żywotnych soków — dość, żeby zapłakać.

— Nie patrz! Nie musisz na mnie tak podle patrzeć!

— Przepraszam — powiedział. — Nie chciałem być podły.

— Żaden z was nie chce! — krzyknęła.

— Pogaś lampy.

Płakała z twarzą osłoniętą rękoma. Był zadowolony, że się zasłoniła. Nie z powodu blizny, lecz dlatego, że przywracało to jej jakby dziewictwo. Agrałka przytrzymująca ramiączko sukienki zaśniła w tłustym świetle.

— Pogaś lampy i zamknij drzwi. Czy on nic nie ukradnie?

— Nie — odparła szeptem.

— Więc pogaś lampy.

Odjęła ręce od twarzy, dopiero kiedy znalazł się za jej plecami. Zgasła lampy, jedną po drugiej, przykręcając knoty i zdmuchując płomyki, a potem wzięła go w ciemności za rękę, która była ciepła, i zaprowadziła na górę. Nie przyświecało im żadne światło.

## Rozdział szósty

Rewolwerowiec skręcił po ciemku dwa papierosy, zapalił je i podał jeden kobiecie, w pokoju unosił się jej zapach, żaloszny zapach świeżego bzu. Nakładała się nań woń pustyni, która przypominała zapach morza. Zdał sobie sprawę, że pustynia budzi w nim lęk.

— Nazywa się Nort — powiedziała. Głos miała oschły. — Po prostu Nort. Umarł.

Rewolwerowiec czekał.

— Został dotknięty przez Boga.

— Nigdy Go nie widziałem — stwierdził.

— Był tutaj, odkąd pamiętam. . . to znaczy Nort, nie Bóg — dodała i parsknęła głośnym śmiechem. — Jakiś czas rozwoził miód. Zaczął pić. Potem wachał ziele. Zaczął je palić. Dzieci łążyły za nim i szczyły go psami. Nosił stare zielone spodnie, które śmierdziały. Rozumiesz?

— Tak.

— W końcu zaczął je żuć. Siedział po prostu w miejscu jak kotek i nic nie jadł. Może wydawało mu się, że jest królem. Dzieci były jego błaznami, a psy książętami.

— Tak.

— Umarł przed tym barem — powiedziała. — Przywłókł się tu, stukając buciorami po drewnianym chodniku. . . to były robocze buty, zupełnie nie do zdarcia. . . za nim szły dzieciaki i psy. Wyglądał, jak poplątane i powykręcane druciane wieszaki, w jego oczach widać było wszystkie piekielne ognie, a mimo to się uśmiechał, tak jak uśmiechają się głowy, które dzieciaki robią z dyni na Wszystkich Świętych. Cuchnęło od niego błotem, zgnilizną i trawą. Ślina ciekła mu z kącików ust niczym zielona krew. Sądzę, że przyszedł posłuchać, jak Sheb gra na pianinie. Przystanął przed wejściem i przechylił głowę. Myślałam, że usłyszał dyliżans, chociaż żadnego się o tej porze nie spodziewaliśmy, a potem zebrało mu się na wymioty. Były czarne i krwawe. Trysnęły z tych uśmiechniętych ust niczym ścieki przez kratę rynsztoka. Smród był taki, że miało się ochotę uciec. Podniósł ręce i padł na ziemię, i to był koniec. Umarł z tym uśmiechem na ustach, w kałuży własnych wymiotów.

Leżąc obok niego, drżała. Na dworze wciąż zawodził wiatr. Gdzieś daleko słychać było drzwi, które uderzały o futrynę niczym w złym śnie. Między deskami ścian biegały myszy. Rewolwerowcowi przyszło na myśl, że to prawdopodobnie jedyne miejsce w całym mieście, gdzie myszy mają jeszcze co jeść. Kiedy położył dłoń na jej brzuchu, nagle stężała, a potem się odprężyła.

— Człowiek w czerni — powiedział.

— Musisz się tego dowiedzieć, prawda?

— Tak.

— Dobrze. Opowiem ci.

Wzięła jego dłoń w obie swoje i opowiedziała mu.



## Rozdział siódmy

Człowiek w czerni przyjechał późnym popołudniem tego samego dnia, kiedy umarł Nort. Wiatr pohukiwał, porywając grudki gliny, podnosząc tumany piasku i gnając przed sobą powyrywane łodygi kukurydzy. Kennerly zamknął stajnię na kłódkę, a kilku innych kupców zamknęło okiennice i zabiło je deskami. Niebo miało żółty odcień starego sera, chmury płynęły po nim szybko, jakby zobaczyły coś straszliwego na pustyni i chciały się czym prędzej oddalić.

Przyjechał rozklekotanym powozem, z kufrem obwiązany pofałdowanym brezentem. Patrzyli, jak jedzie, i stary Kennerly, leżący przy oknie z butelką w lewej i miękką, gorącą piersią swojej drugiej córki w prawej ręce, postanowił, że jeśli zapuka, nie otworzy mu drzwi. Ale człowiek w czerni pojechał dalej, nie wstrzymując gniadosza, do którego zaprzężony był powóz. Chciwy wiatr porwał kurz podniesiony przez koła.

Mógł być księdzem lub mnichem; miał na sobie czarną zakurzoną szatę i zasłaniający rysy twarzy kaptur, który łopotał na głowie. Spod skraju habitu czy sutanny wystawały ciężkie buty ze sprzączkami i kwadratowymi noskami.

Zajechał przed bar Sheba i uwiązał konia, który pochylił łeb do samej ziemi i parsknął. Człowiek w czerni podniósł wieko kufra, wyjął z niego sfatygowaną skórzaną sakwę, zarzucił ją na ramię i wszedł przez nietoperze skrzydła drzwi.

Alice przyjrzała mu się z ciekawością, lecz poza nią nikt nie zauważył jego przybycia. Cała reszta schlała się jak świnię. Sheb grał w rytmie ragtime'u hymny metodystów, a posiwiali wałkonie, którzy przyszli wcześniej, by schronić się przed burzą i pośpiewać na stypie Norta, zdarli sobie kompletnie gardła. Sheb, pijany niemal do nieprzytomności, odurzony i zniechęcony do własnej przedłużającej się egzystencji, grał z szaloną szybkością, bębniąc w klawisze palcami, które fruwały niczym czółenka krosien.

Krzyki i przekleństwa nie zagłuszyły szumu wiatru, lecz chwilami równały się z nim siłą. Siedzący w kącie Zachary zarzucił Amy Feldon spódnicę na głowę i malował jej na kolanach znaki zodiaku. Kilka innych kobiet krążyło po sali. Wszyscy skąpiani byli w jakimś płomiennym blasku. Sączące się przez nietoperze drzwi przyćmione światło nadchodzącej burzy miało w sobie coś szyderczego.

Norta położono na dwóch połączonych stolikach pośrodku sali. Jego buty tworzyły mistyczny znak V. Usta wykrzywiały ospały uśmiech, ale ktoś zamknął mu oczy i położył na nich sztony, w skrzyżowanych na piersi rękach trzymał gałązkę diabelskiego ziela. Śmierdział niczym trucizna.

Człowiek w czerni ściągnął kaptur i podszedł do baru. Alice patrzyła na niego z lękiem, który mieszał się ze znajomym drzemiącym w niej pożądaniem. Nie miał na sobie żadnych religijnych symboli, ale to o niczym nie świadczyło.

— Whiskey — powiedział. Miał cichy przyjemny głos. — Dobrą whiskey.

Sięgnęła pod kontuar i wyciągnęła butelkę stara. Mogła mu podsunąć w charakterze najlepszego trunku miejscowy bimber, lecz nie zrobiła tego. Człowiek w czerni obserwował ją, kiedy nalewała. Miał duże płonące oczy. Półmrok był zbyt gęsty, żeby można było dokładnie określić ich kolor. Czuła coraz silniejsze pożądanie, w głębi sali pokrzykiwano i pohukiwano. Sheb, ten niewydarzony watach, zagrał piosenkę o chrześcijańskich żołnierzach i ktoś namówił ciotkę Mili, żeby zaśpiewała. Jej głos, nierówny i fałszywy, przeciął pijacki bełkot, tak jak tępy topór przecina mózg cielaka.

— Hej, Allie!

Zajęła się innymi gośćmi, przeklinając milczenie nieznanego, przeklinając jego pozbawione koloru oczy i przeklinając własne niespokojne łono. Bała się swoich pragnień. Były kapryśne i nie potrafiła nad nimi zapanować. Mogły sygnalizować zachodzącą w niej zmianę, a ta z kolei mogła sygnalizować początek starości — wieku, który w Tuli był na ogół równie krótki i gorzki jak zimowy zachód słońca.

Podając piwo, opróżniła całą beczkę i teraz odszypnowała kolejną. Wolała nie prosić o to Sheba; przyszedłby jej chętnie z pomocą, co do tego nie miała wątpliwości, ale przy okazji albo przyciąłby sobie palce, albo porozlewał piwo. Kiedy zmieniała beczki, nieznanemu ani na chwilę nie spuścił z niej oczu; czuła je na sobie.

— Duży ruch — oświadczył, kiedy wróciła.

Nie tknął jeszcze whiskey. Kręcił szklaneczkę między dłońmi, żeby ją ogrzać.

— Stypa — odparła.

— Zauważyłem nieboszczyka.

— Obiboki — stwierdziła z nagłą nienawiścią. — Same obiboki.

— To ich podnieca. On jest martwy. Oni nie.

— Kiedy żył, był ich pośmiewiskiem. To świństwo, że wciąż z niego drwią. To... — zaczęła i umilkła, nie potrafiąc wyrazić, jak bardzo jest to nieprzyzwoite.

— Ćpun?

— Tak! Cóż innego mu zostało? — Jej ton był oskarżycielski, lecz człowiek w czerni nie spuścił oczu i poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. — Przepraszam. Jesteś księdzem. To musi cię razić.

— Nie jestem i wcale mnie to nie razi. — Człowiek w czerni gładko przełknął whiskey i nawet się nie skrzywił. — Proszę jeszcze jedną.

— Przepraszam, ale muszę najpierw zobaczyć kolor twojej monety.

— Nie musisz przeproszać — stwierdził i położył na kontuarze nierówną srebrną monetę, przy jednym boku grubą, przy drugim cienką.

— Nie mam jak wydać reszty — odparła tak samo, jak to miała zrobić później, a on zbył to skinięciem głowy i machinalnie patrzył, jak mu znowu nalewa.

— Jesteś tutaj tylko przejazdem? — zapytała.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał i już chciała powtórzyć pytanie, gdy potrząsnął niecierpliwie głową.

— Nie bądź trywialna. Obcujecie tu ze śmiercią.

Cofnęła się, urażona i zdumiona. Jej pierwszą myślą było, że zaprzeczając, iż jest księdzem, chciał ją sprawdzić.

— Troszczyłaś się o niego — powiedział. — Nieprawdaż?

— O kogo? O Nortę? — parsknęła, udając irytację, żeby ukryć zmieszanie. — Myślę, że powinienes. . .

— Masz miękkie serce i trochę się boisz — mówił dalej — a on żuł ziele i zerknął zza tylnych wrót piekła, a teraz leży tu, wrota są zatrzaśnięte i nie spodziewasz się, by je otworzyli, nim przyjdzie pora na ciebie. Prawda?

— Jesteś pijany?

— Pan Norton jest martwy — zaintonował szyderczo człowiek w czerni. — Martwy jak każdy z nas. Martwy jak ty albo każdy z nas.

— Wyoń się z mojego baru!

Poczuła, jak rośnie w niej rozedrgana nienawiść, z jej podbrzusza wciąż promieniowało ciepło.

— W porządku — powiedział cicho. — Wszystko jest w porządku. Zaczekaj. Po prostu zaczekaj.

Miał niebieskie oczy. Coś odblokowało się nagle w jej umyśle, jakby wzięła narkotyk.

— Widzisz? — zapytał. — Teraz widzisz?

Pokiwała tępo głową, a on głośno się roześmiał — pięknym, silnym nieposkromionym śmiechem, który zwrócił w jego stronę wszystkie głowy. Obrócił się na pięcie, stanął twarzą do nich i mocą jakiejś nieznannej alchemii znalazł się nagle w centrum uwagi. Ciotka Mili zająknęła się i umilkła, zostawiając broczącą w powietrzu wysoką nutę. Sheb uderzył w zły klawisz i przestał grać. Przyglądali się nieswojo nieznanemu. Piasek grzechotał o ściany budynku.

Cisza trwała, potężniała. Alice zabrakło tchu. Spoglądając w dół, zobaczyła, że pod kontuarem przyciska obie dłonie do brzucha. Wszyscy patrzyli na niego, on patrzył na nich, a potem znów rozległ się jego śmiech, silny, bogaty, nieznoszący sprzeciwu. Nikt jakoś nie miał ochoty mu zawtórować.

— Pokażę wam cud! — zawołał.

Oni jednak tylko wlepiali w niego oczy, niczym posłuszne dzieci, zabrane na występ magika, w którego sztuczki przestały już wierzyć.

Człowiek w czerni nagle skoczył do przodu i ciotka Mili cofnęła się o krok. Uśmiechnął się dziko i klepnął ją po szerokim brzuchu, z jej ust wydobył się krótki mimowolny rechot. Człowiek w czerni odrzucił do tyłu głowę.

— Teraz lepiej, prawda?

Ciotka Mili ponownie zarechotała, a potem wybuchła szlochem i skoczyła po omacku ku drzwiom. Inni patrzyli w milczeniu, jak ucieka. Zaczynała się burza, po białej panoramie nieba jeden po drugim przesuwały się cienie. Stojący obok pianina mężczyzna z zapomnianym piwem w ręku wydał z siebie piskliwy jęk.

Człowiek w czerni stanął nad Nortem i wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu. Wiatr zawył, zaryczał i zabębnił o ścianę. Coś dużego odbiło się od boku budynku. Jeden z mężczyzn przy barze wzdrygnął się i pognął długimi groteskowymi susami ku wyjściu. Za oknem rozległa się nagle sucha kanonada grzmotu.

— No, dobrze — uśmiechnął się człowiek w czerni. — Bierzmy się do dzieła.

Starannie celując, zaczął pluć Nortowi w twarz. Ślina załśniła na czole nieboszczyka i spłynęła z grzbietu jego nosa.

Schowane pod barem ręce Alice pracowały coraz szybciej.

Sheb roześmiał się jak wariat, pochylił do przodu i zaczął odcharkiwać i wypluwać z siebie flegmę, wielkie i lepkie pecyny. Człowiek w czerni ryknął z uznaniem i walnął go po plecach. Sheb uśmiechnął się i w jego otwartych ustach załśnił złoty ząb.

Niektórzy uciekli. Inni stanęli w luźnym kręgu wokół Norty. Jego twarz, pomarszczone podgardle i górna część piersi lśniła wilgocią — tak drogocenną w tym suchym kraju, i nagle, niczym na sygnał dany z góry, płucie się skończyło. Słysząc było chrapliwe ciężkie oddechy.

Człowiek w czerni pochylił się nad Nortem i jego ciało wygięło się w gładki łuk, piękny niczym bryźnięcie wody, a potem, szczerząc zęby, podparł się rękoma, wyprostował i znowu pochylił. Jeden z widzów zapomniał się i zaczął klaskać, po czym nagle się cofnął, z oczyma rozszerzonymi ze strachu, otarł dłońią zaślinione usta i ruszył ku wyjściu.

Nort drgnął, kiedy człowiek w czerni po raz trzeci się nad nim pochylił.

Przez tłum przeszedł szmer — westchnienie — i natychmiast zaległa cisza. Człowiek w czerni odrzucił do tyłu głowę, zawył i zaczął kurczowo łapać powietrze. Jego pierś poruszała się w szybkim płytkim rytmie. Coraz szybciej pochylał się i prostował nad Nortem, niczym woda przelewana ze szklanki do szklanki. Jedyne odgłosy, jakie rozbrzmiewały teraz w sali, to chrapliwy oddech i potężniejący puls burzy.

Nort zacharczał sucho, nabierając w płuca powietrza. Jego ręce zatrzepotały, palce zabębniły o stół. Sheb zaskrzeczał i uciekł. Jedna z kobiet wybiegła w ślad za nim.

Człowiek w czerni pochylił się ponownie, a potem jeszcze raz. Całe jego ciało wibrowało, dygotało, podrygiwało. Smród zgnilizny, ekskrementów i rozkładu unosił się dławiącymi falami. Oczy Norta się otworzyły.

Alice poczuła, że nogi niosą ją same do tyłu. Uderzyła plecami o lustro, które zadrżało. Ogarnięta paniką, rzuciła się do ucieczki.

— Zrobiłem to dla ciebie — zawołał za nią człowiek w czerni, ciężko dysząc. — Teraz możesz spać spokojnie. Nawet to nie jest nieodwracalne. Chociaż jest takie... cholernie... śmieszne! — dodał i zaczął się śmiać.

Jego głos dochodził z oddali, kiedy biegła po schodach. Nie spoczęła, dopóki nie zaryglowała drzwi do wszystkich trzech pokojów nad barem. Wtedy zachichotała, opierając się plecami o drzwi i kołysząc do przodu i tyłu na piętach. Jej chichot przeszedł w końcu w piskliwy lament, który zlał się z jękiem wiatru.

Na dole Nort wyszedł chwiejnym krokiem na deszcz, żeby narwać trochę trawy. Człowiek w czerni, obecnie jedyny klient baru, obserwował go, ciągle się uśmiechając.

Kiedy wieczorem zeszła z powrotem na dół, trzymając w jednej ręce lampę, a w drugiej ciężkie polano, mężczyzna w czerni zniknął razem ze swoim powozem. Ale Nort nie zniknął. Siedział przy stoliku obok drzwi, jakby nigdy stąd nie wychodził. Śmierdział zieleń, lecz nie tak mocno, jak się spodziewała.

Spojrzał na nią i nieśmiało się uśmiechnął.

— Cześć, Allie.

— Cześć, Nort.

Odłożyła polano i zaczęła zapalać lampy, starając się nie odwracać do niego plecami.

— Zostałem dotknięty przez Boga — oznajmił w końcu. — Teraz już nigdy nie umrę. Tak mi powiedział. To obietnica.

— To bardzo miło, Nort.

Zwinięty papier, którym zapalała knoty, wypadł z jej drżących palców i musiała go podnieść.

— Chciałbym przestać żuć trawę — powiedział. — Już mi nie smakuje. Nie wypada, żeby człowiek dotknięty przez Pana Boga żuł trawę.

— Więc dlaczego nie przestaniesz?

Ogarniające ją rozdrażnienie sprawiło, że znów zaczęła patrzeć na niego jak na człowieka, a nie piekielną zjawę. Zobaczyła raczej smutnie wyglądającego osobnika, wcale nie tak bardzo naćpanego, sponiewieranego i zawstydzonego. Nie mogła się go już dłużej bać.

— Mam drgawki — odparł. — i dalej tego chcę. Nie mogę się powstrzymać. Byłaś dla mnie zawsze taka dobra, Allie... — dodał i zaczął płakać. — Nie potrafię nawet przestać łać w portki.

Podeszła do jego stolika i zawahała się.

— On mógł sprawić, że przestanę tego chcieć — dodał przez łzy. — Mógł to zrobić, jeśli potrafił mnie wskrzesić. Nie skarżę się. . . . nie chcę się skarżyć. — Potoczył dookoła przerażonym wzrokiem. — Może mnie śmiertelnie porazić, jeśli to zrobię.

— Możliwe, że to był jakiś żart. Wydawał się chyba obdarzony dużym poczuciem humoru.

Nort wyciągnął spod koszuli woreczek i wyjął z niego garść ziela. Nie myśląc wiele, wytrąciła mu je z ręki, a potem cofnęła się przestraszona.

— Nie jestem w stanie się opanować, Allie, nie potrafię — jęknął i dał nurka po ziele.

Mogła go powstrzymać, lecz nie zrobiła tego. Zaczęła zapalać kolejne lampy, zmęczona, chociaż wieczór dopiero się zbliżał. Tamtego dnia jednak nikt już nie przyszedł, z wyjątkiem starego Kennerly'ego, który wszystko przegapił. Widok Norty specjalnie go nie zdziwił. Zamówił piwo, zapytał, gdzie jest Sheb, i poma-cał ją. Nazajutrz prawie wszystko wróciło do normy, lecz żadne z dzieci nie łąziło za Nortem. Następnego dnia znowu zaczęła się kocia muzyka. Życie potoczyło się dawnym słodkim torem. Dzieciaki zbierały wyrwane łodygi kukurydzy i ty-dzień po zmartwychwstaniu Norty spaliły je pośrodku ulicy, w górę buchnął jasny ogień i barowi bywalcy wyszli bądź wytoczyli się, żeby popatrzeć. Ich twarze wy-dawały się unosić pomiędzy płomieniami i niebem lśniącym niczym sople lodu. Allie obserwowała ich i przez moment zrobiło jej się żal świata, na który przyszły smutne czasy. Wszystko się rozlało. Nic nie sklejało już od środka rzeczy. Nigdy nie widziała oceanu i nigdy go nie zobaczy.

— Gdybym miała jaja. . . — mruknęła. — Gdybym miała jaja. . . jaja. . . ja-ja. . .

Nort podniósł głowę na dźwięk jej głosu i posłał jej pusty uśmiech z piekła rodem. Nie miała jaj. Miała tylko bar i bliźnę.

Ognisko szybko zgasło i klienci wrócili do środka. Allie zaczęła się znieczulać „Star Whiskey” i koło północy była kompletnie pijana.

## Rozdział ósmy

Przerwała swą opowieść i kiedy przez jakiś czas się nie odzywał, doszła do wniosku, że uśpiła go jej historia.

— To wszystko? — zapytał, gdy sama zapadała w drzemkę.

— Tak. To wszystko. Jest bardzo późno.

— Yhym — mruknął, zwijając kolejnego skręta.

— Nie rozsypuj mi tytoniu na łóżko — powiedziała ostrzej, niż zamierzała.

— Nie rozsypuję.

Znowu cisza. Czubek jego papierosa rozjarzał się i gasł.

— Rano wyjedziesz — stwierdziła posepnie.

— Powiniennem. Myślę, że zastawił na mnie pułapkę.

— Nie odjeżdżaj.

— Zobaczymy — odparł.

Odwrócił się do niej plecami, ale poczuła przyływ otuchy. Zostanie. Zapadła w drzemkę.

Na krawędzi snu ponownie przypomniała sobie, jak zwrócił się do niego Nort, w tym dziwnym języku. Nie widziała, żeby przedtem ani potem okazał jakieś emocje. Nawet kochając się z nią, milczał i dopiero pod sam koniec jego oddech stawał się szybszy, a później na chwilę się zatrzymywał. Był niczym przybysz z bajki albo mitu, ostatni ze swego plemienia w świecie, zapisujący ostatnią stronę swojej książki. Zatrzyma się tu na jakiś czas. Jutro albo pojutrze będzie miała sposobność, żeby o tym pomyśleć. Zasnęła.

## Rozdział dziewiąty

Rano ugotowała mu kaszę, którą zjadł bez słowa. Jadł, w ogóle o niej nie myśląc, prawie jej nie zauważając. Wiedział, że powinien ruszać dalej, z każdą minutą, którą tu tracił, człowiek w czerni się oddalał — teraz prawdopodobnie w głąb pustyni. Jego szlak prowadził niezmiennie na południe.

— Masz mapę? — zapytał nagle, podnosząc wzrok.

— Miasta? — roześmiała się. — Jest za małe, żeby potrzebna była mapa.

— Nie. Mapę tego, co jest na południu.

Uśmiech spełził jej z twarzy.

— Pustynia. Pustynia i nic więcej. Myślałam, że się tu na jakiś czas zatrzymasz.

— Co jest na południe od pustyni?

— Skąd mam wiedzieć? Nikt jej nie przebył. Nikt tego nie próbował, odkąd tutaj jestem.

Wytarła ręce o fartuch i złapawszy przez ścierki uchwyty cebrzyka, wylała jego zawartość do zlewu. Gorąca woda parowała i chlupotała.

Rewolwerowiec wstał.

— Dokąd idziesz?

Usłyszała w swoim głosie dławiący strach i znienawidziła się za to.

— Do stajni. Jeśli ktoś będzie wiedział, to stajenny. — Położył ręce na jej ramionach. Były ciepłe. — Muszę się również zająć mułem. Jeśli mam tu zostać, trzeba się nim zaopiekować. Do czasu kiedy odejdę. Lecz jeszcze nie teraz.

Spojrzała mu w oczy.

— Ale uważaj na tego Kennerly'ego. Jeżeli nawet nic nie wie, zawsze coś zmyśli.

Kiedy wyszedł, odwróciła się do zlewu, czując na policzkach gorące, ciepłe łzy wdzięczności.



## Rozdział dziesiąty

Kennerly był bezzębny, nieprzyjemny i obarczony córkami. Dwie niedorośle zerknęły na rewolwerowca z mrocznego wnętrza stajni. Po ziemi taplał się radośnie niemowlak. Dojrzała córka, brudna zmysłowa blondynka, obserwowała go z wyrachowaną ciekawością, nabierając wodę ze skrzypiącej pompy przy bocznej ścianie budynku.

Kennerly wyszedł mu na spotkanie. Zachowywał się chwilami wrogo, a chwilami tchórzliwie się łąsił — niczym stajenny kundel, który zbyt wiele oberwał w życiu kopniaków.

— Dbam o niego — oznajmił i zanim rewolwerowiec zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwrócił się do swojej córki. — Do domu, Soobie! Marsz do domu!

Nachmurzona Soobie zaczęła wlec kubeł w stronę dobudowanej do stajni szopy.

— Masz na myśli mojego muła — powiedział rewolwerowiec.

— Owszem, proszę pana. Dawno już nie widziałem muła. Był czas, kiedy tresowali dzikie, tak duże było zapotrzebowanie, ale świat poszedł naprzód. Widuje tylko woły, konie pocztowe i... Soobie, bo ci złoje skórę, jak mi Bóg miły!

— Ja nie gryzę — rzucił pogodnym tonem rewolwerowiec.

Kennerly lekko się skurczył.

— Nie chodzi o pana. Nie, wcale nie chodzi o pana — powtórzył, szczerząc zęby. — Po prostu jest trochę gamoniowata. Ma w sobie diabła. Dzika dziewczyna. — Pociemniały mu oczy. — Zbliżają się Ostatnie Czasy, proszę pana. Wie pan, co mówi Księga. Dzieci nie będą słuchać rodziców i wielu padnie ofiarą zarazy.

Rewolwerowiec pokiwał głową i wskazał ręką południe.

— Co tam jest?

Kennerly znowu się uśmiechnął, pokazując dziąsła i kilka skupionych blisko siebie żółtych zębów.

— Osadnicy. Trawa. Pustynia. Co jeszcze? Zarechotał i zmierzył rewolwerowca chłodnym spojrzeniem.

— Jak duża jest pustynia?

— Duża. — Kennerly zrobił poważną minę. — Ma może ze trzysta mil. Może tysiąc. Nie potrafię panu powiedzieć. Nie ma tam nic prócz diabelskiego ziela

i być może demonów. Poszedł tam ten drugi facet. Ten, który uzdrowił Norta, kiedy był chory.

— Chory? Słyszałem, że był martwy.

Kennerly szczyrzył zęby.

— No, tak. Może. Ale my jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi, prawda?

— Wierzysz jednak w demony.

Wydawał się lekko urażony.

— To zupełnie coś innego.

Rewolwerowiec zdjął kapelusz i otarł czoło. Słońce nie przestawało prażyć. Kennerly zdawał się tego nie zauważać. Siedząca w wąskim cieniu stajni dziewczynka rozsmarowywała z poważną miną ziemię po buzi.

— Nie wiesz, co jest za pustynią?

Kennerly wzruszył ramionami.

— Niektórzy może to wiedzą. Przed pięćdziesięciu laty jeździł tamtędy dyliżans. Tak mówił mój tato. Powtarzał, że są tam góry. Inni mówią, że ocean... zielony ocean, w którym żyją potwory, a jeszcze inni mówią, że kończy się tam świat. Że nie ma tam nic oprócz świateł, od których można oślepnąć, i twarzy Boga, otwierającej usta, aby pożreć śmiałków.

— Brednie — stwierdził krótko rewolwerowiec.

— Jasne, że brednie — zawołał rozradowany Kennerly.

Znowu się skurczył, nienawidząc, bojąc się, pragnąc zadowolić.

— Będziesz doglądał mojego muła — powiedział rewolwerowiec, rzucając kolejną monetę, którą Kennerly złapał w locie.

— Oczywiście. Zostanie pan na jakiś czas?

— Chyba tak.

— Ta Allie jest całkiem miła, kiedy ma ochotę, prawda?

— Mówiłeś coś? — zapytał chłodno rewolwerowiec.

W oczach Kennerly'ego zaświtało przerażenie, niczym dwa bliźniacze księżycy wschodzące nad horyzontem.

— Nie, proszę pana, ani słowa, i przepraszam, jeśli to zrobiłem. — Zobaczył wychylającą się przez okno Soobie i obejrzał się w jej stronę. — Zaraz ci złoje skórę, ty mały kocmołuchu! Jak mi Bóg miły! Zaraz... .

Rewolwerowiec odszedł, świadom, że Kennerly go obserwuje, świadom, że mógłby się nagle odwrócić i zobaczyć na jego twarzy prawdziwe, niezafałszowane uczucia. Nie zrobił tego. Było gorąco. Jediną pewną rzeczą dotyczącą pustyni stanowiły jej rozmiary, a w miasteczku nie wszystko dobiegło końca. Jeszcze nie.

## Rozdział jedenasty

Leżeli w łóżku, kiedy Sheb otworzył kopniakiem drzwi i wpadł z nożem do środka.

Minęły cztery dni, które rewolwerowiec pamiętał jak przez mgłę. Jadł. Spał. Uprawiał seks. Odkrył, że Alice gra na skrzypcach, i namówił ją, żeby dla niego zagrała. Usiadła przy oknie w mlecznym świetle brzasku — widział tylko jej profil — i zagrała nierówno coś, co mogłoby być niezłe, gdyby ktoś ją uczył. Czuł do niej coraz większy (choć dziwnie rozproszony) afekt i przyszło mu do głowy, że to właśnie może być pułapka, którą zastawił na niego człowiek w czerni. Czytał stare postrzępione czasopisma z wyblakłymi ilustracjami. Bardzo mało o czymkolwiek myślał.

Nie słyszał, jak mały pianista skrada się do drzwi — Pogorszył mu się refleks. Nie miało to zresztą większego znaczenia, chociaż w innym czasie i miejscu bardzo by go przeraziło.

Allie była naga. Zsunęła z piersi prześcieradło i mieli właśnie zamiar się kochać.

— Proszę — mówiła. — Tak jak przedtem, chcę tak jak przedtem.

Drzwi otworzyły się z hukiem i koślawy pianista rzucił się z motyką na słońce. Allie nie krzyknęła, mimo że trzymał w ręku ośmiocalowy nóż do mięsa. Bełkotał coś niezrozumiale, niczym człowiek, któremu zanurzono głowę w wiadrze błota, z ust pryskała mu ślina. Kiedy zamachnął się w dół trzymanym oburącz nożem, rewolwerowiec złapał go za nadgarstki i wykręcił je. Nóż upadł na podłogę. Sheb zapiszczał głośno jak zardzewiałe metalowe drzwi. Ręce ze złamanymi przegubami zatrzepotały w marionetkowym geście. Wiatr sypnął piaskiem o okno, w wiszącym na ścianie zaparowanym lustrze odbijał się lekko zniekształcony obraz pokoju.

— Ona była moja! — zaszlochał Sheb. — Była najpierw moja! Moja!

Allie spojrzała na niego i wstała z łóżka. Włożyła szlafrok i rewolwerowca ogarnęło przez chwilę współczucie dla człowieka, który musiał zdawać sobie sprawę, że traci to, co posiadał. Był z niego taki pokurcz, do tego wykastrowany.

— To dla ciebie — szlochał Sheb. — Tylko dla ciebie, Allie. Dla ciebie w pierwszym rzędzie i wyłącznie dla ciebie. Ja... och, dobry Boże...

Słowa przeszły w paroksyzm bełkotu, a potem we łzy. Sheb kołysał się w przód i w tył, przyciskając do brzucha złamane nadgarstki.

— Ćśśś... Ćśśś... Pokaż mi. — Ukłękęła przy nim. — Złamane. Sheb, ty dupku. Nie wiedziałeś, że nigdy nie byłeś silny? — Pomogła mu wstać. Chciał podnieść dłonie do twarzy, ale odmówiły mu posłuszeństwa i otwarcie zapłakał. — Chodź do stołu. Zobaczę, co się da zrobić.

Zaprowadziła go do stołu i unieruchomiła przeguby szczapami drewna. Sheb zawodził cicho i bez przekonania, a potem wyszedł, nie odwracając się za siebie.

Alice wróciła do łóżka.

— Na czym stanęliśmy?

— Nie — powiedział.

— Wiedziałeś o tym — odparła cierpliwie. — Nie można na to nic poradzić? Cóż innego nam pozostało? — Dotknęła jego ramienia. — Ale cieszy mnie, że jesteś taki silny.

— Nie teraz — stwierdził grubym głosem.

— Mogę uczynić cię silnym. . .

— Nie — odparł. — Nie możesz tego zrobić.

## Rozdział dwunasty

Nazajutrz bar był zamknięty, w Tuli obchodzono siódmy dzień tygodnia. Rewolwerowiec poszedł do małego pochylonego kościółka przy cmentarzu, a Allie została, żeby wyszorować stoły mocnym środkiem dezynfekującym i namoczyć klosze lamp w mydlinach.

Zapadł dziwny purpurowy zmierzch i oświetlony od środka kościół wyglądał prawie jak płonący piec.

— Nie idę — stwierdziła krótko Allie. — Kobieta, która tam naucza, wyznaje zatrutą religię. Niech idą ci, którzy cieszą się poważaniem.

Rewolwerowiec stanął w pograżonym w cieniu przedsionku i zajrzał do środka. Kościelne ławki usunięto i wszyscy stali (zobaczył Kennerly'ego ze swoimi latoroślami, właściciela miejskiego składu z artykułami przemysłowymi, Castnera, wraz z jego płaską jak deska żoną, kilku bywalców baru, kilka „miastowych” kobiet, których przedtem nie widział, oraz, ku swojemu zaskoczeniu, Sheba). Śpiewali rwącymi się głosami jakiś hymn. Rewolwerowiec przyjrzał się ciekawie stojącej na ambonie, wielkiej jak góra kobiecie. Mieszka sama, powiedziała mu o niej Allie, prawie z nikim się nie widuje. Przychodzi tylko w niedzielę, żeby podsycić ogień piekielny. Nazywa się Sylvia Pittston. Jest szalona, ale rzuciła na nich urok. To im się podoba. To im odpowiada.

Żadne słowa nie mogły opisać rozmiarów tej kobiety. Piersi niczym obronne fortyfikacje. Strzelista wieżycyka karku, zwieńczona ziemistym bladym księżycem twarzy, w której migotały oczy tak wielkie i głębokie, że przypominały bezdenne górskie stawy. Włosy w odcieniu pięknego bogatego brązu, spięte w ryzykowny, szalony kok, przytrzymała szpilka, która mogła służyć za widelec do mięsa. Miała na sobie suknię, która była chyba uszyta z juty. Dłonie, w których trzymała śpiewnik, przypominały dwie kamienne płyty. Skóra zaś wydawała się kremowa, gładka, przyjemna. Rewolwerowiec oceniał, że kobieta musiała ważyć ponad trzysta funtów. Nagle poczuł do niej gorącą żądzę, od której przeszło go drzenie, i odwrócił głowę.

*Spotkamy się nad rzeką  
Nad piękną, piękną  
Rzeeeeeką.  
Spotkamy się nad rzeką,  
Która płynie przez Boże Królestwo.*

Ostatnie nuty ostatniej zwrotki umilkły i przez chwilę ludzie szurali nogami i pokaszali.

Sylvia Pittston czekała. Kiedy się uspokoili, rozpostarła ręce, jakby ich błogosławiła. To był gest ewokacji.

— Moi drodzy braciszkanie i siostrzyczki w Chrystusie. . .

Rewolwerowiec pamiętał skądś te słowa. Przez chwilę ogarnęły go jednocześnie nostalgia i lęk, połączone z dziwnym uczuciem *déjà vu*. Śniłem o tym, pomyślał. Kiedy? Odsunął od siebie tę myśl. Wśród wiernych — nie było ich więcej niż dwadzieścia pięć osób — zapadła martwa cisza.

— Tematem naszych dzisiejszych medytacji jest Intruz.

Miała słodki i melodyjny głos, dobrze wyszkolony sopran. Wśród wiernych przeszedł cichy szmer.

— Mam takie uczucie. . . — zaczęła w zadumie Sylvia Pittston. — Mam takie uczucie, jakbym znała osobiście każdego bohatera Świętej Księgi, w ciągu ostatnich pięciu lat zdarłam pięć Biblii, a przedtem sama nie wiem ile. Kocham tę historię i kocham występujących w niej bohaterów. Weszłam ramię w ramię z Danielem do jaskini lwa. Stałam razem z Dawidem, kiedy kusiła go kąpiąca się Batszeba. Byłam w płonącym piecu z Sydrachem, Misachem i Abdenagiem. Zabiłam z Samsonem dwa tysiące i oślepiłam ze świętym Pawłem w drodze do Damaszku. Płakałam z Maryją na Golgocie. — Ciche, stłumione westchnienie wśród wiernych. — Poznałam ich i pokochałam, i w tym największym ze wszystkich dramatów jest tylko jeden. . . jeden. . . — podniosła palec — tylko jeden bohater, którego nie znam. Tylko jeden, który stoi z boku z twarzą schowaną w cieniu. Tylko jeden, na myśl o którym moje ciało drży i lęka się moja dusza. Boję się go. Nie znam jego umysłu i boję się. Boję się Intruza.

Kolejne westchnienie. Któraś z kobiet przycisnęła dłoń do ust, jakby chciała zdusić wydobywający się z nich krzyk, i kołysała się, kołysała się w miejscu.

— Intruza, który zakradł się do Ewy jako wąż, uśmiechając się i pełnąc na brzuchu. Intruza, który przechadzał się między Dziećmi Izraela, kiedy Mojżesz wspinał się na Górę, i który nakłonił ich, by stworzyli sobie złotego idola, złotego cielca, i czcili go, parząc się i cudzołożąc.

Jęki i kiwanie głowami.

— Intruz! To on stał na balkonie z Jezabel i patrzył, jak król Achab ginie z krzykiem na ustach, to on cieszył się wraz z nią, gdy zbiegły się psy i lizały jego krew. Och, moi braciszkanie i siostry, strzeżcie się Intruza.

— Tak, o Jezu. . . — jęknął mężczyzna, którego, wchodząc do miasta, rewolwerowiec zobaczył jako pierwszego, ten w słomkowym kapeluszu.

— On był tu zawsze, bracia i siostry. Lecz ja nie znam jego myśli, i wy nie znacie jego myśli. Któż zrozumie straszliwy mrok, który tam się kryje, dumę wyniosłą niczym pylony, tytaniczne bluźnierstwo, bezbożne uciechy, i to szaleństwo! Cyklopowe, bełkotliwe szaleństwo, które wije się i pełza w najstraszniejszych pragnieniach i chuciach człowieka?

— O Jezusie, Zbawco. . .

— To on zabrał naszego Pana na górę. . .

— Tak. . .

— To on kusił go i ukazał mu cały świat i wszystkie ziemskie rozkosze. . .

— Taaaak. . .

— To on wróci, kiedy na świat przyjdą Ostatnie Czasy, a one nadchodzą, moi bracia i siostry, czyż nie czujecie, że nadchodzą?

— Taaaak. . .

Rozkołysane łkające zgromadzenie zmieniło się w morze, kobieta wydawała się wskazywać palcem wszystkich po kolei i nikogo z osobna.

— To on nadejdzie jako Antychryst, by poprowadzić ludzi w płonące trzewia potępienia, ku krwawym krańcom niegodziwości, gdy na niebie zawiśnie ognista gwiazda Piołun, gdy żółć pożre serca i wątroby dzieci, gdy z łon kobiet wyjdą na świat monstra, a dzieło rąk człowieczych obróci się w krew. . .

— Ooooch. . .

— Och, Boże. . .

Jakaś kobieta upadła, jej stopy waliły rytmicznie o deski podłogi. Zgubiła jeden but.

— To on stoi za każdą cielesną rozkoszą. . . to on! Intruz!

— Tak, Panie!

Jeden z mężczyzn osunął się na kolana, złapał za głowę i zaryczał jak osioł.

— Kiedy zagłądacie do kieliszka, kto trzyma butelkę?

— Intruz!

— Kiedy siadacie do stolika, żeby zagrać w faraona albo „pilnuj mnie”, kto tasuje karty?

— Intruz!

— Kiedy wdzieracie się w cudze ciało, kiedy nurzacie się w plugastwie, komu sprzedajecie swoją duszę?

— In. . .

— . . . tru. . .

— Och, Jezu. . . och. . .

— zowi. . .

— Auu! Auu! Auu!

— a kimże on jest?! — wrzasnęła, choć w głębi duszy była całkiem spokojna.

Rewolwerowiec wyczuwał jej spokój i mistrzostwo, umiejętność panowania, dominowania nad ludźmi. Człowiek w czerni zostawił w niej demona, pomyślał nagle z przerażeniem i absolutną pewnością. Jest opętana. Mimo strachu ponownie poczuł falowanie seksualnej żądz.

Mężczyzna, który trzymał się za głowę, runął na podłogę i poczołgał się do przodu.

— Smażę się w piekle! — wrzasnął. Jego twarz wykręcała się i marszczyła, jakby pod skórą pełzały węże. — Cudzołożyłem! Uprawiałem hazard! Palilem trawę! Grzeszyłem! Sma...

Jego głos poszybował w górę w przeraźliwym, histerycznym nieartykułowanym zaśpiewie. Zaciskał ręce na głowie, jakby w każdej chwili mogła pęknąć niczym przejrzały melon.

Wierni znieruchomieli, jak na dany z góry znak: zastygli w półerotycznych pozach ekstazy.

Sylvia Pittston wyciągnęła ręce i wzięła w nie głowę cudzołożnika. Jej palce, silne i białe, nieskazitelne i łagodne, przeczesały jego włosy. Mężczyzna przestał krzyczeć i wlepił w nią otępieły wzrok.

— Kto był z tobą, kiedy grzeszyłeś? — zapytała.

Jej oczy wejrzały w jego oczy tak głęboko, tak łagodnie, tak chłodno, że w nich utonął.

— Intruz...

— Który nazywa się jak...?

— Nazywa się Szatan. — Ochrypli, powolny szept.

— Czy wyrzekasz się go?

— Tak! Tak! — Skwapliwie. — O mój Jezu, mój Zbawco!

Mężczyzna zakotłosał głową i wbił w nią puste lśniące oczy zeloty.

— Jeśli stanie w tych drzwiach... — jej palec wskazał pogrążony w półmroku przedsiónek, gdzie stał rewolwerowiec — czy wyrzekniesz się go, rzucając mu to w twarz?

— Jak mamę kocham!

— Czy wierzysz w wieczną miłość Jezusa?

Mężczyzna zaczął płakać.

— Żebyś, kurwa, wiedziała, że wierzę!

— On ci wybacza, Jonson.

— Chwalmy Pana! — zaintonował Jonson, wciąż płacząc.

— Wiem, że ci wybacza, tak samo jak wiem, że wygna ze swoich pałaców i strąci w płonący mrok tych, którzy nie okazali skruchy.

— Chwalmy Pana! — powtórzyli solennie wyzuci z sił wierni.

— Tak samo jak wiem, że ten Intruz, ten Szatan, ten Władca Much i Węży zostanie strącony i zmiażdżony... czy zmiażdżysz go, jeśli go spotkasz, Jonson?

— Tak! Chwalmy Pana! — zaszlochał Jonson.



— Czy zmiążdżycie go, jeśli go spotkacie, bracia i siostry?

— Taaaak... — tonem spełnienia.

— Jeśli zobaczycie, jak paraduje jutro główną ulicą?

— Chwalmy Pana...

Wytracony z równowagi rewolwerowiec cofnął się do drzwi i wrócił do miasta, w powietrzu wisiał czysty zapach pustyni. Nadeszła prawie pora ruszać dalej. Prawie.

## Rozdział trzynasty

Ponownie w łóżku.

— Nie przyjmie cię — stwierdziła Allie. Sprawiała wrażenie wystraszonej. — Z nikim się nie spotyka. Wychodzi tylko w niedzielę wieczorem, żeby napędzić wszystkim śmiertelnego stracha.

— Od jak dawna tu jest?

— Od jakichś dwunastu lat. Nie mówmy o niej.

— Skąd przyszła? Z której strony świata?

— Nie wiem.

Kłamała.

— Allie?

— Nie wiem!

— Allie?

— No, dobrze! Dobrze! Przyszła od osadników! Z pustyni!

— Tak myślałem. — Rewolwerowiec trochę się rozluźnił. — Gdzie mieszka?

— Czy pokochasz się ze mną, jeśli ci powiem? — zapytała trochę niższym tonem.

— Znasz odpowiedź na to pytanie.

Westchnęła. Jej oddech zabrzmiał niczym szelest starych pożółkłych kartek.

— Ma dom za wzgórzem na tyłach kościoła. Małą chatkę. Mieszkał tam prawdziwy pastor, dopóki się nie wyprowadził. Wystarczy? Jesteś usatysfakcjonowany?

— Nie. Jeszcze nie — odparł i położył się na niej.

## Rozdział czternasty

To był ostatni dzień i rewolwerowiec wiedział o tym.

Niebo miało brzydki kolor posiniaczonego fioletu, dziwacznie podświetlonego pierwszymi palcami brzasku. Allie tłukła się po barze niczym duch, zapalając lampy i piekąc skwierczące w rynience kukurydziane placki. Pokochał ją ostro, kiedy powiedziała mu, co chciał wiedzieć. Czowała, że nadchodzi koniec, i dała z siebie więcej niż kiedykolwiek wcześniej, dała mu to z desperacją, na pohybel zbliżającemu się świtowi, dała mu to z niestrudzoną energią szesnastolatki. Ale rano była blada, znowu na skraju menopauzy.

Podawała mu bez słowa jedzenie. Przeżuwał je szybko, popijając każdy kęs gorącą kawą. Allie stanęła w drzwiach i wpatrywała się w cichy batalion sunących z wolna porannych chmur.

— Będzie dziś kurzyło — powiedziała.

— Nie dziwię się.

— Czy ty kiedykolwiek czemuś się dziwisz? — zapytała z ironią i odwróciła się, żeby popatrzeć, jak bierze do ręki kapelusz. Nasunął go na głowę i przeszedł obok niej.

— Czasami — odparł.

Jeszcze tylko raz miał zobaczyć ją żywą.

## Rozdział piętnasty

Kiedy dotarł do chaty Sylvii Pittston, wiatr raptownie ucichł. Cały świat здаwał się czekać na to, co się stanie. Spędził w pustynnej okolicy dość czasu, by wiedzieć, że im dłuższa cisza, tym gwałtowniej wiatr będzie dać, gdy w końcu się zerwie. Nad ziemią zawisło dziwne płaskie światło.

Do drzwi chaty, która była zniszczona i pochylona, przybito duży drewniany krzyż. Rewolwerowiec zastukał i chwilę odczekał. Bez odpowiedzi. Zastukał ponownie. To samo. Cofnął się i mocno kopnął drzwi prawym butem.

Mała zasuwka w środku odpadła i drzwi rąbnęły w poprzybijane krzywo deski ściany, płosząc szczury, które rzuciły się w popłochu do ucieczki. Sylvia Pittston siedziała w sieni, na mamucim bujaku z ciemnego drewna, przyglądając mu się spokojnie swymi wielkimi ciemnymi oczyma. Blask burzy odbijał się niepokojącymi półtonami na jej policzkach. Miała na sobie szal. Bujak cicho poskrzypywał.

Patrzyli na siebie przez długą, umykającą zegarowi chwilę.

— Nigdy go nie złapiesz — powiedziała. — Idziesz ścieżką zła.

— Przyszedł do ciebie — stwierdził rewolwerowiec.

— I do mojego łóża. Przemówił do mnie w Języku. . .

— Przerznął cię.

Nawet nie mrugnęła.

— Idziesz ścieżką zła, rewolwerowcze. Kryjesz się w cieniu. Wczoraj wieczorem skryłeś się w cieniu bożego przybytku. Myślałeś, że nie zdołam cię dostrzec?

— Dlaczego uzdrowił trawożercę?

— Jest bożym aniołem. Tak powiedział.

— Mam nadzieję, że mówiąc to, uśmiechał się.

Wyszczrzyła bezwiednie zęby i jej twarz przybrała dziki wyraz.

— Powiedział mi, że będziesz podążał jego śladem. Powiedział mi, co robić.

Powiedział, że jesteś Antychrystem.

Rewolwerowiec potrząsnął głową.

— Tego nie powiedział.

Uśmiechnęła się do niego leniwie.

— Powiedział, że będziesz chciał się ze mną przespać. Chcesz?

— Tak.

— Ceną jest twoje życie, rewolwerowcze. Obdarzył mnie dzieckiem. . . dzieckiem anioła. Jeśli wtargniesz we mnie. . .

Jej leniwy uśmiech mówił wszystko. Rozchyliła zachęcająco wielkie zwałiste uda. Napięły się pod suknią niczym płyty czystego marmuru. Przyprawiało to o zawrót głowy.

Rewolwerowiec oparł dłonie na kolbach rewolwerów.

— Masz w sobie demona, kobieto. Potrafię go wypędzić.

Efekt był natychmiastowy. Sylvia Pittston cofnęła się w fotelu i spiorunowała go wzrokiem.

— Nie dotykaj mnie! Nie podchodź do mnie! Nie ośmielisz się dotknąć bożej oblubienicy!

— Chcesz się założyć? — zapytał, szczerząc zęby i robiąc krok w jej stronę.

Potężne ciało zadygotało. Na twarzy odbiło się karykaturalne przerażenie, rozcapierzone palce nakreśliły w powietrzu Znak Złego Uroku.

— Pustynia — wycedził rewolwerowiec. — Co jest za pustynią?

— Nigdy go nie złapiesz! Nigdy! Nigdy! Usmażysz się! Powiedział mi to.

— Dopadnę go — stwierdził. — Oboje o tym wiemy. Co jest za pustynią?

— Nie!

— Odpowiedz mi!

— Nie!

Podszedł jeszcze bliżej, ukląkł i złapał ją za uda. Jej nogi zacisnęły się niczym imadło. Wydawała z siebie dziwne lubieżnie piskliwe dźwięki.

— W takim razie wypędzę z ciebie demona — powiedział.

— Nie. . .

Rozsunął jej nogi i wysunął z kabury jeden z rewolwerów.

— Nie! Nie! Nie!

Jej oddech przypominał krótkie dzikie chrząknięcia.

— Odpowiedz mi.

Odchyliła się do tyłu w fotelu i zadrzała pod nią podłoga, z jej ust popłynęły modlitwy i poprzekęcane słowa żargonu.

Wymierzył w nią lufę rewolweru. Bardziej czuł, niż słyszał świst wdzierającego się do jej płuc przerażonego oddechu. Ręce kobiety waliły go po głowie; stopy tupały w podłogę, i w tym samym momencie potężne ciało próbowało wchłonąć intruza, wessać go do swego łona, z zewnątrz nie obserwował ich nikt prócz sinego nieba.

Wrzasnęła coś wysokim nieartykułowanym głosem.

— Co?

— Góry!

— Co góry?

— On zatrzyma się po ich drugiej stronie. . . słodki Jezu. . . żeby nabrać sił. Dzięki me. . . dzięki medytacji, rozumiesz? Och. . . jestem. . . jestem. . .

Zwaliste ciało wyprężyło się nagle do przodu, lecz on nie pozwolił, by dotknęła go swoimi narządami.

A potem oklapła nagle, zmaląła i zapłakała, kładąc ręce na kolanach.

— No, tak — mruknął, wstając. — Demon został obsłużony, prawda?

— Wynoś się. Zabiłeś dziecko. Wynoś się. Wynoś.

Przystanął w drzwiach i obejrzał się.

— Nie było dziecka — stwierdził krótko. — Nie było anioła. Nie było demona.

— Zostaw mnie w spokoju — powiedziała i usłuchał jej.

## Rozdział szesnasty

Kiedy zjawił się u Kennerly'ego, nad horyzontem na północy pojawił się dziwny obłok. Rewolwerowiec wiedział, że to pył. Nad Tuli wisiało martwe nieruchome powietrze.

Kennerly czekał na niego na wysypanych sieczką deskach, którymi wyłożona była podłoga jego stajni.

— Odjeżdża pan? — zapytał, uśmiechając się podle.

— Tak.

— Chyba nie przed samą burzą?

— Wyprzedzę ją.

— Wiatr jest szybszy od człowieka na mule. Na otwartej przestrzeni może pana zabić.

— Chcę odebrać muła już teraz — uciął dyskusję rewolwerowiec.

— Jasne — odparł Kennerly, lecz zamiast się odwrócić, stał dalej w miejscu, jakby zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć. Usta wykrzywiał mu lizusowski, nienawistny uśmiech, oczy wpatrywały się w coś za ramieniem rewolwerowca.

Rewolwerowiec jednocześnie odsunął się w bok i odwrócił. Trzymane przez Soobie ciężkie polano przecięło ze świstem powietrze, muskając tylko jego łokieć. Siła zamachu była tak wielka, że dziewczyna wypuściła broń z rąk i drewno stuknęło o podłogę. Wysoko, na pograżonym w mroku strychu, zerwały się do lotu jaskółki.

Dziewczyna utkwiała w nim krowie oczy. Pod spłowiałą po praniu koszulą sterzały majestatycznie nabrzmiałe piersi. Kciuk poszukał z senną ociężałością przystani ust.

Rewolwerowiec odwrócił się z powrotem do Kennerly'ego. Ten uśmiechał się szeroko. Jego skóra była woskowo żółta. Oczy obracały się w oczodołach.

— Ja... — zaczął zaflegmionym szeptem, lecz nie był w stanie skończyć.

— Muł — upomniał go łagodnie rewolwerowiec.

— Jasne, jasne — szepnął z uśmiechem niedowierzania Kennerly i podreptał w głąb stajni.

Rewolwerowiec stanął w miejscu, skąd mógł go obserwować. Stajenny wyprowadził muła i podał mu uzdę.

— Idź do domu i zajmij się siostrą — rozkazał Soobie.

Dziewczyna odrzuciła do tyłu głowę i nawet nie drgnęła.

Rewolwerowiec zostawił ich tam, stojących na zakurzonych, poplamionych odchodami deskach i piorunujących się wzrokiem — jego z niezdrowym uśmiechem, ją z głupawą apatyczną wojowniczością. Na dworze upał walił między oczy.



## Rozdział siedemnasty

Poprowadził muła środkiem ulicy, wzbijając obłoczki kurzu podeszwami butów. Bukłaki zawiesił na jego grzbiecie.

Przystanął przed barem Sheba, lecz Allie tam nie było. Lokal był pusty, zabity deskami przed burzą i wciąż brudny po poprzednim wieczorze. Allie nie zabrała się jeszcze do sprzątanania i bar cuchnął jak mokry pies.

Rewolwerowiec napełnił sakwę mąką kukurydzianą, suszoną i prażoną kukurydzą oraz połową mielonego mięsa, które znalazł w lodówce, i zostawił cztery sztuki złota na drewnianym kontuarze. Allie nie zeszła na dół. Pianino Sheba żegnało go wyszczerzonymi żółtymi zębami klawiszy. Wyszedł na dwór i zarzucił sakwę na grzbiet muła. Czuł, jak coś ścisną go w gardle. Mógł umknąć pułapki, ale miał niewielką szansę. Był w końcu intruzem.

Mijał pozamykane, zastygłe w oczekiwaniu budynki, czując oczy, które obserwowały go przez pęknięcia i szpary. Człowiek w czerni odegrał w Tuli rolę Boga. Czy stanowiło to tylko przejaw kosmicznego poczucia humoru, czy też wynikało z desperacji? To pytanie nie było pozbawione znaczenia.

Za jego plecami rozległ się wysoki świdrujący krzyk i nagle otworzyły się jakieś drzwi, z wnętrza wysypali się ludzie. Pułapka została zatem zastawiona.

Mężczyźni w długich kalesonach i mężczyźni w brudnych drelichach. Kobiety w spodniach i spłowiałych sukienkach. Nawet dzieci drepczące w ślad za rodzicami, i w każdej ręce drewniany kołek albo nóż.

Jego reakcja była automatyczna, natychmiastowa, wpojona. Obrócił się na pięcie, ręce same wyciągnęły rewolwery z kabur. Pod palcami czuł ich ciężkie pewne rękajeści. Pierwsza była Allie; to oczywiście musiała być Allie. Zbliżała się do niego z przerażoną twarzą i blizną, której zachodzące słońce nadało piekielny odcień purpury. Zobaczył, że wzięli ją jako zakładniczkę; zza jej ramienia wyzierała wykrzywiona w grymasie twarz Sheba, podobnego do famulusa czarownicy. Była jego tarczą i ofiarą. Rewolwerowiec zobaczył to wszystko jasno i wyraźnie w zastygłym nieśmiertelnym świetle sterylnej spokoju.

— Trzymaj mnie! — usłyszał jej krzyk. — O Jezu, nie strzelaj! Nie! Nie!

Jego ręce jednak znały rzemiosło. Był ostatnim ze swojego plemienia i nie tylko jego usta znały Wysoką Mowę. Rewolwery zagrały ciężką atonalną muzy-

kę. Jej usta zatrzepotały, ciało osunęło się, rewolwery wypaliły ponownie. Głowa Sheba odskoczyła do tyłu. Oboje runęli w pył.

Posypały się na niego drewniane kołki. Rewolwerowiec zatoczył się i zasłonił. Jeden, z wbitym gwoździem, zahaczył go o ramię i skaleczył do krwi. Mężczyzna z zarostem na policzkach i plamami potu pod pachami skoczył na niego, trzymając w łapie tępy kuchenny nóż. Rewolwerowiec położył go trupem i zęby napastnika zadzwoniły głośno, gdy uderzył podbródkiem o ziemię.

— SZATAN! — wrzasnął ktoś. — PRZEKŁĘTY! OBALCIE GO NA ZIEMIĘ!

— INTRUZ! — zawołał ktoś inny.

Posypały się kolejne kije. Nóż odbił się od jego buta.

— INTRUZ! ANTYCHRYST!

Rewolwerowiec przebijał się przez środek tłumu, cofając się przed padającymi ciałami. Jego ręce wybierały cele ze złowrogą akuracnością. Kolejni dwaj mężczyźni i kobieta padli na ziemię, a on przebiegł przez lukę, która po nich została.

Poprowadził rozgorączkowany pochód przez ulicę w kierunku rozchwierutego sklepu i warsztatu fryzjerskiego, naprzeciwko baru Sheba. Wspiąwszy się na drewniany chodnik, odwrócił się i posłał ostatnie naboje w nacierającą gromadę, z tyłu leżeli ukrzyżowani w pyłe Sheb, Allie i inni.

Nikt nie zawahał się ani nie cofnął, choć każdy jego strzał był śmiertelny i choć rewolwery widzieli zapewne tylko na ilustracjach w starych, bardzo starych czasopismach.

Wycofywał się, poruszając ciałem niczym tancerz i uchylając się przed fruującymi pociskami. Idąc, załadował ponownie rewolwery z szybkością, którą wpojono niegdyś jego palcom, śmigającym między cylindrami i taśmą z nabojami. Gromada zbliżyła się do chodnika, a on wszedł do sklepu i zatrzasnął za sobą drzwi. Wielka wystawowa szyba po prawej stronie pękła i do środka wpadli trzej mężczyźni. Ich twarze były pozbawionymi uczuć twarzami zelotów, w oczach płonął święty ogień. Zastrzelił ich wszystkich i chwilę później do sklepu wskoczyli dwaj następni. Rażeni pociskami, zawisli na sterzających odłamkach szkła, tarasując otwór.

Drzwi zatrzeszczały i zatrzęsły się pod naporem tłumu. Nagle usłyszał głos Sylvii Pittston.

— ZABÓJCA! WASZE DUSZE! ROZSZCZEPIONE KOPYTO!

Zawiasy oderwały się i drzwi runęły z głuchym kłaśnięciem do środka, z podłogi wzbil się pył. Zaatakowali go mężczyźni, kobiety i dzieci, w powietrzu fruwała ślina i szczapy drewna. Opróżnił oba magazynki, ludzie padali jak kręgle. Wycofując się do fryzjera, pchnął w ich stronę beczkę z mąką, a potem cisnął garnek wrzącej wody z tkwiącymi w środku dwiema poszczerbionymi brzytwami. Ludzie szli dalej, wznosząc nieartykułowane okrzyki. Gdzieś z zewnątrz zagrzewała ich

do walki Sylvia Pittston, jej głos wznosił się i opadał na ślepych sufiksach. Rewolwerowiec wciskał naboje do gorących komór, czując zapach ściętych włosów i swąd przypalanych odcisków na własnych palcach.

Wyskoczył przez tylne drzwi na werandę. Za plecami miał teraz porośniętą krzewami równinę, kategorycznie wyrzekającą się miasta, które przycupnęło na jej skraju. Za rogiem czaili się, z szerokimi zdradzieckimi uśmiechami, trzech mężczyźni. Zobaczyli go, zobaczyli, że ich widzi, i uśmiechy spełzły im z ust sekundę przed tym, nim ich skosił, w ślad za nimi wyskoczyła z wyciem kobieta. Wielka i gruba, znana była bywalcom baru jako ciotka Mili. Kula odrzuciła ją do tyłu i padła na ziemię, z zadartą wysoko jak u dziwki spódnicą.

Rewolwerowiec zszedł po schodkach i cofając się, zrobił dziesięć, dwadzieścia kroków. Tylne drzwi zakładu fryzjerskiego otworzyły się i wyroili się z nich ludzie. Przed oczyma mignęła mu Sylvia Pittston. Raził ogniem. Padali skuleni w kucki, padali na plecy, wywracali się przez balustradę. Nie rzucali żadnych cieni w nieśmiertelnym purpurowym blasku dnia. Rewolwerowiec zdał sobie sprawę, że krzyczy. Krzyczał od samego początku. Jądra przywarły mu do podbrzusza. Oczy miał jak popękane łożyska kulkowe. Ręce jak z drewna. Uszy jak z żelaza. Cylindry rewolwerów były znowu puste i tłum zaatakował, przeistaczając się w znak Oka i Ręki. Rewolwerowiec stał, krzycząc i ładując broń od nowa, nie angażując jednak umysłu, pozwalając, by ręce same wykonały to, co do nich należy. Czy mógł podnieść dłoń i uprzedzić ich, że przez dwadzieścia pięć lat uczył się tej sztuczki oraz innych podobnych, opowiedzieć im o rewolwerach i o krwi, którą zostały pobłogosławione? Nie mógł. Lecz jego ręce umiały opowiedzieć im swoją własną historię.

Gdy skończył ładować, znaleźli się w zasięgu rzutu. Jakiś kij trafił go w czoło, z otartej skóry pociekła krew. Za dwie sekundy powinni go dopaść. Na czele zobaczył Kennerly'ego, Soobie oraz jego drugą, młodszą, może jedenastoletnią córkę, a także dwóch mężczyzn i kobietę o nazwisku Amy Feldon, których pamiętał z baru. Załatwił ich wszystkich, a także tych, którzy atakowali za nimi. Padali niczym strachy na wróble. Krew i mózg tryskały strugami.

Na chwilę zatrzymali się zaskoczeni w miejscu i mógł teraz wyluskać z tłumy pojedyncze oszołomione twarze. Jakiś mężczyzna zaczął biegać w kółko. Kobieta z pęcherzami na rękach zadarła głowę do nieba i głośno zagdakała. Staruszek, którego jako pierwszego zobaczył na stopniach sklepu spożywczego, gdy wchodził do Tuli, załatwił się nagle obficie w spodnie.

Rewolwerowiec zdążył ponownie załadować jeden z rewolwerów.

I wtedy rzuciła się na niego Sylvia Pittston, wymachując trzymanymi w obu rękach drewnianymi krzyżami.

— DIABEŁ! DIABEŁ! ZABÓJCA DZIECI! POTWÓR! ZNISZCZCIE GO, BRACIA I SIOSTRY! ZNISZCZCIE INTRUZA, KTÓRY MORDUJE DZIECI!

Posłał po jednym nabojem w każdy z krzyży, rozłupując je w drzazgi, a po-

tem cztery kolejne w głowę kobiety. Złożyła się jak harmonia i jej ciało zdrząło niczym falujące w upale powietrze.

Na chwilę zastygli wszyscy w nieruchomym *tableaux*, wpatrując się w Sylwię Pittston. Palce rewolwerowca ponownie załadowały broń. Ich opuszki skwierczały i płonęły. Na każdym wypalone były równe kręgi.

Napastników robiło się coraz mniej; przerzedził ich szeregi niczym sierp kosiarza. Sądził, że z chwilą jej śmierci rozbiegną się, lecz ktoś cisnął w niego nożem. Rękojeść uderzyła go mocno między oczy i przewrócił się. Ruszyli na niego, ziejąc nienawiścią. Leżąc na własnych zużytych łuskach, znowu wystrzelał wszystkie naboje. Bolała go głowa, przed oczyma latały wielkie brązowe kręgi. Raz chybił, jedenaście razy trafił.

Ci, którzy ocalili, dopadli go jednak. Wystrzelił cztery pociski, które zdążył załadować, podczas gdy oni okładali go i dźgali nożami. Zrzucił dwóch z lewej ręki i przeturlał się na bok. Jego dłonie znowu zajęły się tym, do czego zostały stworzone. Ktoś dźgnął go w ramię. Ktoś inny w plecy. Oberwał w żebra. Dźgnięto go w pośladek. Jakiś chłopiec podpełził bliżej i zadał mu jedyną głęboką ranę, w poprzek łydki. Rewolwerowiec odstrzelił mu głowę.

Ludzie rozproszyli się i ponownie położył kilku trupem. Ci, którzy ocalili, zaczęli się wycofywać w stronę budynków koloru piasku. Jego ręce znowu wykonały to, co do nich należało. Były niczym nadgorliwe psy, które pragną pokazywać sztuczki nie raz i nie dwa, lecz przez całą noc. Pociski kosiły biegnących ludzi. Ostatni zdołał dobiec do schodków werandy przy zakładzie fryzjerskim i wtedy dopiero trafiła go kula rewolwerowca.

Cisza z powrotem wypełniła poszczerbioną przestrzeń.

Rewolwerowiec krwawił z około dwudziestu różnych ran, wszystkich płytkich, z wyjątkiem cięcia na łydce. Obwiązał ją strzępem koszuli, a potem wyprostował się i przyjrzał swoim ofiarom.

Tworzyli kręty, zygzakowaty ślad, który wiódł od werandy fryzjera aż do miejsca, gdzie stał. Leżeli w różnych pozycjach. Żaden nie wyglądał, jakby spał.

Idąc z powrotem, zaczął ich liczyć, w sklepie natknął się na mężczyznę obejmującego w miłosnym uścisku ściągnięty na podłogę popękany słoje z cukierkami.

Przystanął w miejscu, w którym to się zaczęło, pośrodku opustoszałej głównej ulicy. Położył trupem trzydziestu dziewięciu mężczyzn, czternaście kobiet i pięcioro dzieci. Pozabijał wszystkich mieszkańców Tuli.

Zerwał się suchy wiatr. Pierwszy powiew przyniósł słodkawy, przyprawiający o mdłości odór. Rewolwerowiec ruszył jego śladem, a potem podniósł wzrok i po kiwał głową. Na dachu baru wisiał z szeroko rozpostartymi rękoma ukrzyżowany Nort. Gnijące ciało przybite było drewnianymi ćwiekami do desek. Do brudnego czoła przyciśnięto wielkie purpurowe rozszczerzone kopyto.

Rewolwerowiec wyszedł z miasta. Jego muł stał przy kępie trawy, na mniej więcej czterdziestym jardzie dawnego traktu dylizansów. Zaprowadził go z po-

wrotem do stajni Kennerly'ego. Na dworze wiatr zawodził w rytmie ragtime'u. Oporządził i nakarmił muła i wrócił do baru Sheba, w szopie z tyłu domu znalazł drabinę, wdrapał się na dach i odciął Norta. Jego ciało było lżejsze od worka z patykami. Dołączył je do reszty. Następnie wrócił do baru, zjadł hamburgery i wypił trzy piwa. Na zewnątrz gasło światło dnia i w powietrze wzbijały się tumany piasku. Tę noc spędził w łóżku, w którym spał razem z Allie. Nic mu się śniło. Nazajutrz rano wiatr ucichł i wstało jak zwykle jasne i niepamiętające niczego słońce. Ciała uleciały z wiatrem na południe, niczym krzaki żarnowca. Późnym rankiem, po obwiązaniu wszystkich ran, ruszył w ślad za nimi.

## Rozdział osiemnasty

Wydawało mu się, że Brown zasnął, w palenisku mrugały pojedyncze iskierki. Ptak Zoltan schował głowę pod skrzydło.

— Proszę, proszę — odezwał się Brown, kiedy rewolwerowiec miał już zamiar wstać i rozłożyć sobie siennik w kącie. — Opowiedziałeś o tym. Poczujesz się lepiej?

Rewolwerowiec zachnął się.

— Dlaczego miałbym czuć się źle?

— Powiedziałeś, że jesteś człowiekiem. Nie demonem, a może skłamałeś?

— Nie skłamałem. — Rewolwerowiec wyczuł w jego głosie niechętną aprobatę; polubił Browna. Szczerze polubił, i ani razu go nie okłamał. — Kim jesteś, Brown? Tak naprawdę?

— Po prostu sobą — odparł wcale niezbity z tropu osadnik. — Dlaczego uważasz, że kryjesz w sobie taką tajemnicę?

Rewolwerowiec nie odpowiedział i zapalił skręta.

— Moim zdaniem bardzo się zbliżyłeś do twojego człowieka w czerni — stwierdził Brown. — Czy jest zdesperowany?

— Nie wiem.

— A ty?

— Jeszcze nie — odpowiedział rewolwerowiec i zmierzył zadziornym spojrzeniem Browna. — Zrobię to, co muszę zrobić.

— No i dobrze — mruknął osadnik, po czym przekręcił się na drugi bok i zasnął.

## Rozdział dziewiętnasty

Rano Brown nakarmił go i wysłał w drogę, w świetle dnia sprawiał przedziwne wrażenie, z wychudłą spaloną piersią, ołówkowatymi obojczykami i grzywą kręconych rudych włosów. Ptak przycupnął na jego ramieniu.

— Co z mułem? — zapytał rewolwerowiec.

— Zjem go — odparł Brown.

— Dobrze.

Brown podał mu rękę i rewolwerowiec uścisnął ją. Osadnik wskazał głową południe.

— Niech ci się lekko idzie.

— Wiesz, jak będzie.

Skinęli sobie głowami na pożegnanie i rewolwerowiec odszedł, objuczony rewolwerami i wodą. Obejrzał się tylko raz. Brown zaciekle pieliał swoje małe poletko. Kruk przycupnął niczym gargulec na niskim dachu jego chaty.

## Rozdział dwudziesty

Ognisko zgasło i gwiazdy zaczynały blaknąć. Wiatr nie mógł znaleźć sobie miejsca. Rewolwerowiec wzdrygnął się we śnie i z powrotem zastygł w bezruchu. Śniło mu się, że jest spragniony, w ciemności nie widać było zarysu gór. Poczucie winy słabło. Wypalała je pustynia. Odkrył, że zamiast o Tuli coraz częściej myśli o Corcie, który nauczył go strzelać. Cort wiedział, co jest czarne, a co białe.

Ponownie wzdrygnął się i obudził. Mrugając oczyma, spojrzał na własne ognisko, którego kształt nałożył się na inny, bardziej geometryczny. Był romantykiem, wiedział o tym i strzegł zazdrośnie tej tajemnicy.

To oczywiście sprawiło, że znów pomyślał o Corcie. Nie miał pojęcia, gdzie jest teraz Cort. Świat poszedł naprzód.

Rewolwerowiec zarzucił sakwę na ramię i ruszył dalej przed siebie.



# **Przydrożny Zajazd**

## Rozdział pierwszy

Przez cały dzień tłukła mu się po głowie dziecinna rymowanka, jedna z tych doprowadzających do obłędu rzeczy, które nie chcą się od nas odczepić, stając szyderczo poza apsydą świadomego umysłu i strojąc miny do tego, co w nas racjonalne. Wierszyk brzmiał:

*W Hiszpanii mży, gdy dżdżyste przyjdą dni.  
Jest radość i jest ból, co stale ćmi,  
lecz w Hiszpanii mży, gdy dżdżyste przyjdą dni.*

*Proste jak drut, obłędnie zdrowe  
Filary świata wszystkie runą w pył  
I wszystkie będą wyglądać jak nowe  
Lecz jeśliś szalony lub tylko zdrów  
w Hiszpanii mży, gdy dżdżyste przyjdą dni.*

*Stąpamy z miłością, lecz fruwamy w łańcuchach  
I dżdżyste przyjdą dni, gdy w Hiszpanii mży.*

Wiedział, dlaczego cisnęła mu się do głowy ta rymowanka. Co jakiś czas śnił mu się jego pokój w zamku i matka, która nuciła kołysanki, żeby leżał spokojnie w małym łóżeczku przy kolorowym oknie. Nie śpiewała mu przed zaśnięciem, ponieważ wszyscy chłopcy, którzy narodzili się, by poznać Wysoką Mowę, musieli samotnie stawić czoło ciemności, robiła to jednak w porze poobiedniej drzemki i pamiętał szare deszczowe światło, które załamywało się kolorami na szybkach witrażu; pamiętał chłód pokoju, ciężkie ciepło koców, miłość do matki, jej czerwone usta, natrętną melodię nedorzecznej piosenki i jej głos.

Teraz ta kołysanka przyprawiała go w piekącym skwarze o szaleństwo, ścigając w jego myślach własny „ogon”, gdy szedł. Wypił już całą wodę i wiedział, że najprawdopodobniej umrze. Nigdy się nie spodziewał, że do tego dojdzie, i było mu przykro. Po południu wpatrywał się częściej we własne stopy aniżeli w drogę przed sobą. Nawet diabelska trawa rosła tutaj żółta i karłowata. Skalny zlepieniec rozsypywał się w rumosz. Góry nie wydawały się ani trochę bliższe, choć minęło

już szesnaście dni, odkąd opuścił chatę ostatniego osadnika, obłądnie zdrowego mężczyzny mieszkającego na skraju pustyni. Osadnik miał kruka, pamiętał to, lecz nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

Śledząc wzrokiem swoje podnoszące się i opadające stopy, wsłuchiwał się w nonsensowną rymowankę, która zlewała się w żalospny bełkot w jego głowie. Ciekawiło go, kiedy po raz pierwszy upadnie. Nie chciał upaść, mimo że nikt na niego nie patrzył. To była kwestia dumy Rewolwerowiec wiedział dobrze, co to takiego duma — ta niewidzialna kość, która usztywnia kark.

Zatrzymał się i podniósł nagle wzrok. Zahuczało mu w głowie i przez chwilę miał wrażenie, że całe jego ciało unosi się nad ziemią. Daleko na horyzoncie stały pogrążone we śnie góry. Ale było coś jeszcze, coś, co znajdowało się o wiele bliżej. Być może zaledwie w odległości pięciu mil. Natężył wzrok, lecz oczy miał na pół ślepe od piasku i słońca. Potrząsnął głową i ruszył dalej, w głowie wciąż brzęczała mu rymowanka. Mniej więcej godzinę później padł na ziemię i otarł sobie ręce, z niedowierzaniem spojrzął na małe kropki krwi na zdartej skórze. Krew nie wydawała się wcale rzadsza; wydawała się całkiem zdrowa, tak samo zadowolona z siebie jak pustynia. Stracił kropki, czując do nich ślepą nienawiść. Zadowolona z siebie? Czemu nie? Krew została obsłużona. Na jej cześć złożono ofiarę. Krwawą ofiarę. Krew musiała tylko krążyć... krążyć... krążyć.

Spojrzął na plamy, które pozostały na ziemi, i spostrzegł, że rumosz wsysa je w siebie z niesamowitą szybkością. No i jak ci się to podoba, krwi? Jakie to na tobie wywarło wrażenie?

O Jezu, chyba kompletnie ci odbiło.

Wstał, przyciskając ręce do piersi. Ta rzecz, którą widział wcześniej, wyrosła nagle tuż przed jego oczyma. Tak blisko, że z jego piersi wydarł się okrzyk: zdławione pyłem krakanie. To był budynek. Nie... dwa budynki otoczone przewróconym ogrodzeniem z siatki, w jednym mieściła się stajnia; można to było niezawodnie poznać po kształcie. Drugi był domem mieszkalnym lub gospodą. Przydrożny zajazd dla dylizansów. Rozchwierutany piaskowy domek (wiatr zasypał piachem ściany z desek i zajazd wyglądał jak zamek z piasku, wypalony przez słońce podczas odpływu w garncarskim piecu swoich promieni) rzucał wąski cień, w którym ktoś siedział, opierając się o ścianę. Budynek wydawał się chylić pod jego ciężarem.

A więc to on. Nareszcie. Człowiek w czerni.

Rewolwerowiec stał przez chwilę z rękoma przyciśniętymi do piersi i otwartymi ustami, nieświadom przybranej przez siebie rapsodycznej pozy. Zamiast olbrzymiego, uskrzydłonego podniecenia (bądź też lęku albo podziwu) nie odnajdywał w sobie niczego poza tępym atawistycznym poczuciem winy z powodu odczuwanej chwilę wcześniej dzikiej nienawiści do własnej krwi oraz powtarzających się bez końca słów dziecinnej piosenki.

„... w Hiszpanii mży...”

Ruszył do przodu, wyciągając z kabury rewolwer.

„... gdy dżdżyste przyjdą dni.”

Ostatnie ćwierć mili przebył biegiem, nie starając się w ogóle kryć; i tak nie było się tu zresztą za czym schować. Ścigał go jego własny krótki cień. Nie zdawał sobie sprawy, że twarz zmieniła mu się w szarą, wyszczerzoną, pośmiertną maskę wyczerpania; nie zwracał uwagi na nic prócz siedzącej w cieniu postaci. Dopiero później przyszło mu do głowy, że człowiek w czerni może nie żyć.

Przeskoczył przez pochylone ogrodzenie z siatki (które niemal ze skrucą przełamało się bezgłośnie na pół) i sadząc susami przez oślepiająco jasne, ciche podwórze stajni, podniósł w górę rewolwer.

— Mam cię na muszce! Mam cię na muszce! Jesteś...

Postać poruszyła się niespokojnie i wstała. Mój Boże, przeleciało przez głowę rewolwerowcowi, on zmarniał do cna, co się z nim stało? Człowiek w czerni skurczył się do dwóch stóp i pobiełały mu włosy.

Rewolwerowiec stanął jak wryty w miejscu. Huczało mu w głowie, serce waliło w wariackim tempie i miał wrażenie, że za chwilę umrze.

Zaczerpnął w płuca rozpalone do białości powietrze i na chwilę zwiesił głowę. Kiedy ją ponownie podniósł, zobaczył, że ma przed sobą nie człowieka w czerni, lecz małego chłopca z wyblakłymi od słońca włosami, chłopca, który przyglądał mu się bez większego zainteresowania. Rewolwerowiec gapił się na niego przez chwilę wytrzeszczonymi oczyma, a potem potrząsnął przecząco głową. Chłopiec nie przejął się tym, że przybysz nie przyjmuje do wiadomości jego istnienia; stał tam, ubrany w niebieskie dżinsy z łąką na jednym kolanie oraz prostą brązową koszulę o surowym splocie.

Rewolwerowiec ponownie potrząsnął głową, a potem, trzymając w ręku broń, wszedł pochylony do stajni. Nie potrafił się jeszcze skupić, w wypełnionej drobinami pyłu głowie rozbrzmiewał coraz potężniejszy dudniący ból.

Ciche, mroczne wnętrze stajni eksplodowało skwarem. Rewolwerowiec rozejrzał się dookoła, zezując wybałuszonymi oczyma. Zrobił chwiejnie w tył zwrot i w zrujnowanych wrotach ponownie zobaczył wpatrującego się weń chłopca. Lancet bólu przeciął sennie jego głowę, tnąc od skroni do skroni, dzieląc mózg na dwie połówki pomarańczy.

Schował z powrotem rewolwer do kabury, zatoczył się, podniósł ręce, jakby chciał odpędzić od siebie zjawy, po czym runął na twarz.

\* \* \*

Kiedy się ocknął, leżał na plecach i miał pod głową stertę lekkiego bezwon-  
nego siana. Chłopiec nie zdołał go ruszyć, ale postarał się, żeby było mu w miarę  
wygodnie, i chłodno. Zerkając w dół, spostrzegł, że ma zmoczoną koszulę. Polizał  
wargi i poczuł na języku wodę. Zamrugnął oczyma.

Chłopiec przykucnął przy nim na piętach. Kiedy zobaczył, że rewolwerowiec  
otworzył oczy, dał mu poobijaną blaszaną manierkę z wodą. Rewolwerowiec zła-  
pał ją drżącymi dłońmi i pozwolił sobie na jeden łyk — tylko jeden. Przełknąwszy,  
wypił następny, a potem spryskał resztą wody twarz, głośno prychając. Ładne usta  
chłopca wykrzywiły się w smutnym uśmiechu.

— Chcesz coś zjeść? — zapytał.

— Jeszcze nie teraz — odparł rewolwerowiec.

Głowa bolała go od udaru, a wypita woda przelewała się niespokojnie w brzu-  
chu, jakby nie wiedziała, dokąd ma się udać.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Nazywani się Jake Chambers. Możesz mi mówić Jake.

Rewolwerowiec usiadł i nagle chwyciły go mdłości. Pochylił się do przodu  
i przegrał krótką walkę ze swoim żołądkiem.

— Jest więcej wody — uspokoił go Jake.

Wziął manierkę i ruszył w głąb stajni. Po drodze przystanął i uśmiechnął się  
niepewnie do rewolwerowca. Ten kiwnął do niego głową, a potem położył się  
i podparł głowę rękoma. Chłopiec był zgrabny, przystojny, mógł mieć dziewięć  
lat. Miał mroczną twarz, lecz teraz cienie kładły się na wszystkich twarzach.

W głębi stajni rozległo się dziwne buczenie. Rewolwerowiec podniósł czujnie  
głowę, jego dłonie dotknęły rękojeści rewolwerów. Dźwięk trwał może piętnaście  
sekund, a potem umilkł. Chłopiec wrócił z napełnioną manierką.

Rewolwerowiec wypił wodę drobnymi łykami i tym razem udało mu się jej  
nie wymiotować. Ból w głowie ustępował.

— Nie wiedziałem, co z tobą zrobić, kiedy upadłeś — powiedział Jake. —  
Tam na zewnątrz przez kilka sekund myślałem, że mnie zastrzelisz.

— Wziąłem cię za kogoś innego.

— Za księdza?

Rewolwerowiec spojrzał na niego ostro.

— Jakiego księdza?

Chłopiec zmarszczył lekko brwi.

— Księdza. Obozował na podwórku. Byłem wtedy w tamtym domu. Nie po-  
dobał mi się, więc nie wyszedłem na zewnątrz. Przybył w nocy i następnego dnia  
odszedł. Ukryłbym się i przed tobą, ale spałem, kiedy nadszedłeś. — Spojrzał

gdzieś ponuro ponad Igłową rewolwerowca. — Nie lubię ludzi. Robią mi krzywdę.

— Jak wyglądał ten ksiądz?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Jak ksiądz. Miał na sobie czarne ubranie.

— Kaptur i habit?

— Co to jest habit?

— Długa szata.

Chłopiec pokiwał głową.

— Miał długą szatę i kaptur.

Rewolwerowiec pochylił się nagle do przodu. Wyraz jego twarzy sprawił, że chłopiec nieco się cofnął.

— Jak dawno to było?

— Ja... ja...

— Nie mam zamiaru cię skrzywdzić — wyjaśnił cierpliwie rewolwerowiec.

— Nie wiem. Nie potrafię określić, ile minęło czasu. Wszystkie dni są takie same.

Dopiero teraz rewolwerowiec zaczął się zastanawiać, jakim cudem chłopiec trafił w to miejsce, otoczone ze wszystkich stron milami zabójczej suchej pustyni. Nie powinien sobie jednak tym zaprzętać głowy; przynajmniej na razie.

— Postaraj się zgadnąć. To było dawno?

— Nie. Niedawno. Nie jestem tutaj długo.

Rewolwerowiec znowu poczuł, jak w jego trzewiach płonie ogień. Złapał manierkę i napił się, trzymając ją w drżących lekko rękach. Powróciły do niego słowa kołysanki, lecz tym razem zamiast twarzy matki zobaczył przeciętą blizną twarz Alice, z którą współżył w opustoszałym obecnie mieście Tuli.

— Jak dawno? Tydzień temu? Dwa tygodnie? Trzy?

Chłopiec utkwiał w nim roztargnione spojrzenie.

— Tak.

— To znaczy?

— Tydzień temu. Albo dwa. Nie wyszedłem na zewnątrz. On nawet się nie napił. Pomyślałem, że to może duch. Bałem się. Boję się prawie przez cały czas. — Jego twarz zadrżała niczym rozsadzany dźwiękiem wysokiej nuty kryształ. — Nie rozpałił ogniska. Po prostu tam siedział. Nie wiem nawet, czy zasnął.

A więc był blisko! Bliżej niż kiedykolwiek. Mimo skrajnego odwodnienia rewolwerowcowi spoczęły się trochę dłonie.

— Jest trochę suszonego mięsa — poinformował go chłopiec.

Rewolwerowiec pokiwał głową.

— To dobrze.

Chłopiec wstał i chrupnęło mu cicho w kolanach. Miał zgrabną, wyprostowaną sylwetkę. Pustynia nie wysssała jeszcze z niego żywotnych soków. Skóra na jego

wąskich ramionach, choć opalona, nie była wysuszona ani popękana. Ma w sobie soki, pomyślał rewolwerowiec. Ma w sobie soki i nie pochodzi stąd.

Jake wrócił ze skrawkami suszonej wołowiny, które położył na czymś, co wyglądało jak spalona przez słońce deska od chleba. Mięso było twarde, żyłaste i słone. Rewolwerowca zapiekły owrzodzone usta. Jadł i pił tak długo, aż poczuł się ociężały i odchylił do tyłu. Chłopiec zjadł niewiele.

Rewolwerowiec zmierzył go długim spojrzeniem, które ten wytrzymał, nie spuszczać oczu.

— Skąd się tu wziąłeś, Jake? — zapytał w końcu.

— Nie wiem — odparł chłopiec, marszcząc czoło. — Wiedziałem to, kiedy tu trafiłem, ale teraz wszystko się rozmyło, niczym zły sen po przebudzeniu. Mam dużo złych snów.

— Czy ktoś cię tu przywiózł?

— Nie. Po prostu tu się znalazłem.

— To, co mówisz, nie ma sensu — stwierdził stanowczym tonem rewolwerowiec.

Chłopiec wykrzywił niespodziewanie usta, jakby miał zamiar się rozplakać.

— Nic na to nie poradzę. Po prostu tu się znalazłem, a teraz ty stąd odejdziesz, a ja umrę z głodu, bo zjadłeś prawie całe moje zapasy. Nie prosiłem się tutaj. Wcale mi się tu nie podoba. Jest strasznie.

— Nie użalaj się tak nad sobą. Pogódź się z losem.

— Nie prosiłem się tutaj — powtórzył zadziornie chłopiec.

Rewolwerowiec zjadł kolejny skrawek mięsa, wysysając z niego sól przed połknięciem. Chłopiec stał się częścią gry i wierzył, że mówi prawdę — wcale się tu nie prosił. To niedobrze. On sam. . . on sam się tu prosił. Nie chciał jednak, żeby gra stała się tak brudna. Nie chciał obracać broni przeciwko nieuzbrojonej ludności Tuli; nie chciał zabijać Alice, której twarz znaczyła ta dziwna lśniąca blizna; nie chciał, by zmuszono go do wyboru między obsesją obowiązku a zbrodniczą amoralnością. Człowiek w czerni zaczynał w desperacji pociągać za złe sznurki. . . jeżeli to istotnie on pociągnął za ten konkretny sznurek. Nie w porządku było włączanie w to postronnych osób, zmuszanie ich, by wygłaszali na tej dziwnej scenie kwestie, których nie rozumieli. Pomyślał o Allie. Ona należała przynajmniej na swój własny iluzoryczny sposób do tego świata. Ale ten chłopiec. . . ten cholerny chłopiec. . .

— Opowiedz, co pamiętasz — poprosił Jake'a.

— Jest tego bardzo mało, i przestało się układać w sensowną całość.

— Opowiedz mi. Może ja potrafię odnaleźć sens.

— Pamiętam dom. . . dom, w którym przedtem mieszkałem. Wysoki dom z wieloma pokojami i z patio, z którego można było oglądać inne wysokie domy i wodę. Pamiętam posąg, który stał w wodzie.

— Posąg w wodzie?

— Tak. Posąg pani w koronie, z pochodnią w ręku.

— Zmyślasz to?

— Chyba zmyślam... — zgodził się bezradnie chłopiec. — Pamiętam powozy, które jeździły po ulicach. Duże i małe. Żółte. Dużo żółtych. Szedłem do szkoły. Przy ulicach były cementowe ścieżki. Okna do oglądania i inne posągi ubrane w stroje. Posągi sprzedawały ubrania. Wiem, że to głupio brzmi, ale posągi sprzedawały ubrania.

Rewolwerowiec potrząsnął głową i poszukał na twarzy chłopca śladów kłamstwa. Nie odnalazł ich.

— Szedłem do szkoły — powtórzył z uporem Jake. — i miałem... — Zmrużył oczy i poruszył bezradnie wargami. — Miałem brązową teczkę, a w niej drugie śniadanie, i nosiłem... — znowu bolesna bezradność — ...krawat.

— Co takiego?

— Nie wiem. — Palce chłopca zacisnęły się bezwiednie przy szyi: gest, który rewolwerowcowi kojarzył się ze stryczkiem. — Nie wiem. Wszystko to przepadło — mruknął chłopiec i odwrócił wzrok.

— Czy mogę cię uśpić? — zapytał rewolwerowiec.

— Nie chce mi się spać.

— Mogę cię uśpić i sprawić, że przypomnisz sobie różne rzeczy.

— Jak to zrobisz? — zapytał z niedowierzaniem Jake.

Rewolwerowiec wyjął z taśmy jeden z naboarów i zakręcił nim w palcach zwinnym, płynnym jak oliwa ruchem. Nabój potoczył się lekko od kciuka i palca wskazującego do wskazującego i dużego, potem do dużego i serdecznego, i na koniec do serdecznego i małego. Znikał z pola widzenia i ponownie się pojawiał; przez krótki moment wydawał się unosić w powietrzu, a potem wędrował ponownie między palcami, które poruszały się niczym zasłona z paciorków podczas bryzy. Chłopiec nie odrywał od niego wzroku. Początkowe obawy zastąpiło uczucie czystej przyjemności, potem ekstazy i w końcu niemej pustki. Opadły mu powieki. Nabój tańczył w tę i z powrotem. Oczy Jake'a ponownie się otworzyły. Przez chwilę obserwowały rytmiczny jasny taniec naboju, a potem zamknęły się na dobre. Jego oddech stał się regularny i spokojny. Czy to stanowiło element gry? Owszem. Tkwiły w tym swoiste piękno i logika, podobnie jak w koronkowych deseniach, które okalają błękitne polarne lody. Rewolwerowcowi zdawało się, że słyszy dźwięk dzwoneczków. Nie po raz pierwszy poczuł w ustach gładki, sukienny smak melancholii. Nabój, który obracał z tak niezwykłą gracją między palcami, nagle ożył, stał się fragmentem odchodów potwora. Położył go na dłoni i zacisnął ją z bolesną siłą w pięść. Na świecie dochodziło do takich rzeczy jak gwałt. Gwałt, morderstwo i inne niewyobrażalne praktyki i wszystko to służyło dobru, krwawemu dobru, mitowi, Graalowi, Wieży. Och, Wieża stała tam gdzieś, wznosząc swój czarny czerep ku niebu, i w swoich wyczulonych przez pustynię uszach rewolwerowiec usłyszał niewyraźny słodki dźwięk dzwoneczków.



— Gdzie jesteś? — zapytał.

\* \* \*

„Jake Chambers schodzi po schodach ze swoją teczką. Jest w niej podręcznik do nauki o Ziemi, podręcznik do geografii gospodarczej, jest notes, ołówek oraz drugie śniadanie, które kucharka jego matki, pani Greta Shaw, zrobiła mu w wykładanej chromem i formiką kuchni, gdzie wiecznie furkocze wentylator, pochłaniając niemiłe zapachy, w torbie ma kanapkę z masłem orzechowym i dżemem, kanapkę z kiełbasą, sałatą i cebulą, a także cztery ciasteczka Oreo. Rodzice bynajmniej go nie nienawidzą, po prostu nie zauważają. Abdykowali, pozostawiając go na łasce pani Greta Shaw, niań, guwernantki w lecie oraz Szkoły (która jest Prywatna i Miła, a co najważniejsze, dla białych) w inne części roku. Żadna z tych pań nie udawała nigdy, że jest kimś więcej niż profesjonalistką, najlepszą w swojej dziedzinie. Żadna nie przytuliła go nigdy do ciepłego łona, jak to się na ogół zdarza w powieściach historycznych, które czyta jego matka i do których Jake zaglądał, szukając „pikantnych momentów”. Ojciec nazywa je czasami powieściami historycznymi albo „romansidłami”. „Co ty powiesz”, odpowiada z bezbrzeżnym szyderstwem jego matka za jakimiś zamkniętymi drzwiami, przy których nasłuchuje Jake. Jego ojciec pracuje dla Sieci i Jake potrafiłby go wskazać palcem podczas policyjnej identyfikacji. Prawdopodobnie.

Jake nie wie, że nienawidzi wszystkich profesjonalistów, lecz tak właśnie jest. Ludzie zawsze wprawiali go w zakłopotanie. Lubi schody i nie korzysta ze służbowej windy w swoim budynku. Jego matka, która jest w seksowny sposób chuda, często sypia z chorymi przyjaciółmi.

Teraz jest na ulicy, Jake Chambers jest na ulicy, „znalazł się na bruku”. Jest czysty, dobrze wychowany, sympatyczny i wrażliwy. Nie ma przyjaciół, wyłącznie znajomych. Nigdy nie miał czasu nad tym się zastanawiać, ale sprawia mu to ból. Nie wie albo nie rozumie, że w wyniku długiego obcowania z profesjonalistami nabył dużo ich cech. Pani Greta Shaw robi bardzo profesjonalne kanapki. Dziełi je na ćwiartki i obcina skórkę chleba i kiedy Jake zjada je na długiej przerwie, wygląda, jakby uczestniczył w bankiecie i w drugiej ręce trzymał drinka, a nie sportową powieść ze szkolnej biblioteki. Jego ojciec zarabia mnóstwo pieniędzy, ponieważ jest mistrzem w „podrzynaniu gardeł”, co oznacza, że umieszczając lepszy program w swojej Sieci, doprowadza do zdjęcia słabszego programu w Sieci konkurencyjnej. Ojciec wypala cztery paczki papierosów dziennie. Nie kaszle, lecz uśmiech ma twardy jak noże do steków, które sprzedają w supermarketach.

Jake idzie ulicą. Matka zostawia mu pieniądze na taksówkę, ale jeśli nie pada, Jake chodzi piechotą, wymachując teczką — mały chłopiec, który wygląda jak typowy Amerykanin z blond włosami i niebieskimi oczyma. Zaczęły go już zauważać dziewczęta (przy aprobacie swoich matek), a on nie ucieka przed nimi z nieśmiałą arogancją małego chłopca. Rozmawia z nimi z nieświadomym profesjonalizmem i intryguje je. Lubi geografię i grę w kręgle po południu. Jego ojciec ma udziały w firmie produkującej automaty do ustawiania kręgli, ale w kręgielni, którą odwiedza Jake, nie używają urządzeń firmy jego ojca. Nie wydaje mu się, by się nad tym zastanawiał, ale zastanawiał się.

Idąc ulicą, mija sklep Brendio, gdzie stoją modele ubrane w futra oraz w edwardiańskie, zapinane na sześć guzików garnitury, a także kilka modeli nieubranych w nic; zupełnie gołych. Te modele — te manekiny — są profesjonalne w każdym calu, a on nienawidzi wszelkiego profesjonalizmu. Jest zbyt młody, by mógł się nauczyć nienawidzić samego siebie, lecz ziarno już tam tkwi; zostało zasiane w gorzkiej szczelinie jego serca.

Dochodzi do rogu ulicy i staje z teczką w ręku. Obok z rykiem przejeżdżają pojazdy — posapujące autobusy, taksówki, volkswageny, duża ciężarówka. Jest tylko małym chłopcem, ale nie jest chłopcem przeciętnym i kątem oka dostrzega mężczyznę, który go zabije. To człowiek w czerni; nie widzi jego twarzy, tylko łopoczący płaszcz i wyciągnięte ręce. Pada na jezdnię, wysuwając przed siebie dłoń i nie wypuszczając z ręki teczki zawierającej wyjątkowo profesjonalne drugie śniadanie pani Greta Shaw. Za antyrefleksyjną przednią szybą samochodu widzi przez chwilę przerażoną twarz biznesmena w ciemnoniebieskim kapeluszu, za którego wstążkę zatknięte jest filuterne małe piórko. Na chodniku krzyczy starsza pani — ma na głowie czarny kapelusz z woalką, w woalce nie ma nic filuternego; przypomina welon żałobnika. Jake nie czuje nic prócz zaskoczenia i normalnego dla siebie raptownego zakłopotania — czy tak właśnie wygląda koniec? Łąduje twardo na jezdni, wpatrując się z zalane asfaltem pęknięcie jakieś dwa cale od jego twarzy. Teczka wypada mu z ręki. Zastanawia się, czy nie otarł sobie kolan, i w tej samej chwili najeżdża na niego samochód biznesmena w niebieskim kapeluszu z filuternym piórkiem. To duży niebieski cadillac rocznik 1976 z szesnastocalowymi kołami i karoserią prawie tego samego koloru co kapelusz biznesmena. Łamię chłopcu kręgosłup, miażdży żołądek i wyciska krew, która tryska z jego ust pod wysokim ciśnieniem. Jake się odwraca. Widzi zapalone tylne światła cadillaca i dym smużący z zablokowanych tylnych kół. Samochód przejechał również jego teczkę i zostawił na niej szeroki czarny ślad. Jake odwraca głowę w drugą stronę i widzi dużego żółtego forda zatrzymującego się z piskiem opon o kilka cali od jego ciała. Czarny mężczyzna, który sprzedawał z wózka precele i napoje, biegnie w jego stronę. Krew leci Jake'owi z nosa, uszu, oczu i odbytu. Ma zgniecione genitalia. Nie daje mu spokoju myśl, że musiał sobie bardzo otrzeć kolana. Teraz biegnie do niego, bełkocząc niezrozumiale, kierowca cadillaca.

— Jestem księdzem — odzywa się gdzieś straszliwy spokojny głos. — Przepuście mnie. Akt Skruchy. . .

Jake widzi czarną szatę i ogarnia go nagle przerażenie. To on, człowiek w czerni. Ostatkiem sił odwraca głowę w bok. Jakies radio gra piosenkę grupy rockowej Kiss. Jake widzi sunącą po jezdni własną dłoń, małą, białą i kształtną. Nigdy nie obgryzał paznokci.

Patrzac na swoj dloń, umiera.”

\* \* \*

Rewolwerowiec siedział, pogrążony w zadumie. Był zmęczony, bolało go ciało i myśli przychodziły mu do głowy irytująco wolno.

Naprzeciwko niego spał ten zadziwiający chłopiec. Ręce miał złożone na brzuchu i spokojnie oddychał. Opowiedział swoją historię bez większych emocji, choć głos zadrżał mu pod sam koniec, kiedy przeszedł do fragmentu, w którym mowa była o „księdzu” i „Akcie Skruchy”. Nie opowiedział oczywiście rewolwerowcowi o swojej rodzinie i o dręczącym go poczuciu dezorientującej dychotomii, ale i tak można się było tych rzeczy domyślić. Fakt, iż opisywane przez niego miasto nigdy nie istniało (a jeśli nawet istniało, to wyłącznie w prehistorycznym micie), nie stanowił najbardziej niepokojącej części tej historii, lecz był niepokojący. Cała historia była niepokojąca. Rewolwerowiec obawiał się wynikających z niej implikacji.

— Jake?

— Uhum?

— Chcesz to pamiętać, czy zapomnieć, kiedy się obudzisz?

— Zapomnieć — odparł szybko chłopiec. — Krwawiłem.

— Dobrze. Teraz będziesz spał, rozumiesz? Idź się położyć.

Jake się położył. Wydawał się mały, spokojny i nieszkodliwy. Rewolwerowiec nie wierzył, że jest nieszkodliwy. Otaczała go jakaś groźna aura predestynacji. Nie podobała mu się ta aura, ale polubił chłopca. Bardzo go polubił.

— Jake?

— Ćśśś. . . chcę spać.

— W porządku. Kiedy się obudzisz, nie będziesz z tego nic pamiętał.

— Dobrze.

Rewolwerowiec obserwował go przez krótką chwilę, rozmyślając o swoim własnym chłopięctwie, które normalnie wydawało mu się chłopięctwem kogoś innego — kogoś, kto przeniknął przez jakąś osmotyczną soczewkę i stał się kimś kompletnie innym. Teraz jednak zdawało się wyraźne i bliskie, w stajni było bar-

dzo gorąco. Ostrożnie wypił trochę więcej wody. Potem wstał i ruszył w głąb budynku, żeby zajrzeć do jednego z boksów dla koni, w rogu leżała mała sterta białego siana i porządnie złożony koc, ale nie było zapachu konia, w stajni nie było żadnych zapachów. Słońce wysssało wszystkie i nie pozostawiło w zamian niczego. Powietrze było idealnie neutralne.

Na tyłach stajni znajdowała się mała ciemna klatka ze stojącym pośrodku urządzeniem z nierdzewnej stali. Nie tknęła go korozja ani rozkład. Wyglądało jak wielka maselnica, z lewej strony wystawała z niego chromowana rura, kończąca się nad otworem odpływowym w podłodze. Rewolwerowiec widział podobne do tej pompy w innych dotkniętych posuchą miejscach, nigdy jednak nie natknął się na taką dużą. Nie zastanawiał się nawet, jak głęboko musieli wiercić, zanim trafili na wodę, ukrytą i wiecznie czarną pod powierzchnią pustyni.

Dlaczego nie zabrali ze sobą pompy, kiedy porzucali zajazd?

Może to sprawka demonów.

Wzdrygnął się nagle i na skórze pojawiła mu się, a potem zniknęła gęsia skórka. Podeszedł do kontrolki i nacisnął przycisk. Maszyna zaczęła mruczeć. Po mniej więcej pół minucie z rury trysnął strumień zimnej, czystej wody i polał się do otworu odpływowego, z pompy wyciekło może trzy galony, a potem urządzenie wyłączyło się samo z cichym kliknięciem, w tym miejscu i czasie ta pompa wydawała się tak samo niezwykła jak prawdziwa miłość, a mimo to była konkretna niczym Dzień Sądu — stanowiła ciche przypomnienie czasów, gdy świat nie poszedł jeszcze naprzód. Napędzana była zapewne uranowym prętem, ponieważ w promieniu tysiąca mil nie było tutaj elektryczności i nawet suche akumulatory dawno by się wyczerpały. Rewolwerowcowi wcale się to nie podobało.

Wrócił i usiadł przy chłopcu, który podłożył jedną rękę pod policzek. Wyglądał sympatycznie. Rewolwerowiec wypił trochę więcej wody i skrzyżował nogi, siadając po turecku. Chłopiec, podobnie jak osadnik na skraju pustyni, który trzymał ptaka (Zoltan, przypominał sobie nagle rewolwerowiec, ptak nazywał się Zoltan), stracił poczucie czasu, ale to, że człowiek w czerni znajdował się coraz bliżej, wydawało się nie ulegać kwestii. Nie po raz pierwszy rewolwerowiec zastanawiał się, czy człowiek w czerni celowo nie pozwala mu się dogonić. Może chciał, żeby rewolwerowiec sam wpadł mu w ręce. Próbował sobie bezskutecznie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać ich konfrontacja.

Było mu bardzo gorąco, lecz nie miał już mdłości. Ponownie przypomniawszy sobie słowa rymowanki, tym razem jednak zamiast o matce pomyślał o Corcie — Corcie z twarzą haftowaną bliznami po uderzeniach kamieni, pocisków i tępych narzędzi. Wojennymi bliznami. Zastanawiał się, czy Cort kiedykolwiek kochał tak samo mocno, jak walczył. Wątpił w to. Pomyślał o Aileen i o Martenie, tym niezupełnym czarodzieju.

Rewolwerowiec nie był człowiekiem, który rozpamiętywałby przeszłość; tylko mglista wizja przyszłości oraz zaangażowanie emocjonalne sprawiły, iż nie

stał się osobnikiem bez wyobraźni, tępakiem. Dlatego obecny bieg jego myśli raczej go zdziwił. Każde imię przywoływało kolejne — Cuthberta, Paula, starego Jonasa; i Susan, uroczą dziewczynę w oknie.

*Miłości, o beztroska miłości  
Patrzcie, co sprawiła beztroska miłość.*

Rewolwerowiec roześmiał się ubawiony. „Jestem ostatnim z tego zielonego świata ciepłych odcieni”. Mimo całej swojej nostalgii nie roztkliwił się nad sobą. Świat poszedł nieubłaganie naprzód, lecz jego nogi były ciągle silne, a człowiek w czerni znajdował się bliżej. Rewolwerowiec zasnął.

\* \* \*

Kiedy się obudził, było prawie ciemno. Chłopiec zniknął.

Rewolwerowiec wstał, słysząc, jak trzeszcza mu stawy, i podszedł do drzwi stajni, w ciemności, na werandzie zajazdu tańczył mały płomyk. Ruszył w jego stronę, rzucając długi czarny cień, sunący w ochrowym świetle zachodu.

Jake siedział przy lampie naftowej.

— Nafta była w beczce — powiedział — ale bałem się zapalić ją w domu. Wszystko jest takie suche...

— Dobrze zrobiłeś.

Rewolwerowiec usiadł, nie myśląc o stuletnim pyle, który uniósł się wokół jego pośladek. Płomień lampy ocieniał delikatnymi półtonami twarz chłopca. Wyjął woreczek z tytoniem i skręcił sobie papierosa.

— Musimy porozmawiać — oznajmił.

Jake pokiwał głową.

— Wiesz chyba, że ścigam człowieka, którego widziałeś.

— Masz zamiar go zabić?

— Nie wiem. Muszę się od niego czegoś dowiedzieć. Być może będę musiał nakłonić go, żeby zabrał mnie w pewne miejsce.

— Dokąd?

— Znaleźć Wieżę. — Rewolwerowiec przytrzymał papieros nad kloszem lampy i zaciągnął się; dym uleciał wraz ze zrywającą się nocną bryzą. Jake przyglądał mu się. Na jego twarzy nie widać było strachu ani ciekawości; na pewno nie widać było entuzjazmu. — W związku z tym wyruszam jutro w dalszą drogę — podjął po chwili rewolwerowiec. — Będziesz musiał pójść ze mną. Ile zostało tego mięsa?

— Tylko trochę.

— Kukurydzy?

— Mało.

Rewolwerowiec pokiwał głową.

— Jest tu jakaś piwnica?

— Tak. — Jake wlepił w niego wzrok. Żrenice jego oczu urosły do wielkich, kruchych rozmiarów. — Pociąga się za kółko w podłodze, ale ja tam nie zejść. Boję się, że pęknie drabina i nie zdołam wspiąć się z powrotem, i brzydko tam pachnie. To jedyne miejsce, w którym czuć jakiś zapach.

— Wstaniemy wcześniej i zobaczymy, czy nie ma tam czegoś, co warto by zabrać, a potem spadamy stąd.

— Dobrze — zgodził się chłopiec. — Cieszę się, że nie zabiłem cię, kiedy spałeś — dodał po chwili. — Mam widły i namyślałem się, czy przypadkiem tego nie zrobić. Ale nie zrobiłem tego i teraz nie będę się bał, idąc spać.

— Czego miałbyś się bać?

Chłopiec posłał mu posępne spojrzenie.

— Duchów. Albo tego, że on tu wróci.

— Człowiek w czerni? — zapytał rewolwerowiec.

— Tak. To zły człowiek?

— To zależy, po której jesteś stronie — odparł obojętnym tonem rewolwerowiec, po czym wstał i rzucił papierosa na ziemię. — Idę spać.

Chłopiec spojrzał na niego nieśmiało.

— Czy mogę spać razem z tobą w stajni? — zapytał.

— Oczywiście.

Rewolwerowiec zatrzymał się na schodku i spojrzał w górę. Chłopiec stanął obok niego. Na niebie widać było Gwiazdę Polarną i Marsa. Rewolwerowiec miał wrażenie, że jeśli zamknie teraz oczy, usłyszy kumkanie pierwszych wiosennych żab (i być może ospały stukot piłek, przy którego akompaniamencie odziane tylko w koszule damy ze Wschodniego Skrzydła grały w zapadającym zmierzchu w Krokiet), że poczuje zielony, prawie letni zapach dworskich łąk po pierwszym koszeniu, że dostrzeże Aileen, wychodzącą zza żywopłotu.

Takie dumanie o przyszłości nie było w jego stylu.

Odwrócił się i podniósł lampę.

— Chodźmy spać — powiedział i ruszyli razem do stajni.

\* \* \*

Nazajutrz rano przeszukał piwnicę.

Jake miał rację; pachniała nieładnie. Dobiegał z niej wilgotny, bagnisty odór, od którego zrobiło mu się niedobrze i zakręciło lekko w głowie po aseptycznej bezwonnej pustyni i stajni. Odór kapusty, rzepy i kompletnie przegniłych ziemniaków z długimi ślepymi oczkami. Drabina wydawała się jednak całkiem solidna i zszedł po niej na dół.

Pod nogami miał klepisko, głową dotykał niemal belek sufitu. Tu na dole żyły pająki — niepokojąco duże, z cętkowanymi szarymi odwłokami. Wiele z nich uległo mutacji; niektóre miały oczy na szypułkach, inne nawet po szesnaście nóg.

Rewolwerowiec rozejrzał się, czekając, aż oczy przywykną do mroku.

— Wszystko w porządku? — zawołał nerwowo Jake.

— Tak. — Rewolwerowiec spojrział w róg piwnicy. — Są tutaj puszki. Poczekaj.

Podszedł ostrożnie do starej skrzynki z odsuniętym bokiem i zajrzał do środka, w puszkach były warzywa — zielona i żółta fasolka, a w trzech wołowina.

Nabrał ich, ile zdołał, po czym wspiał się do połowy drabiny i podał Jake'owi, który ukląkł, żeby je odebrać. Rewolwerowiec wrócił po więcej.

Dopiero za trzecim razem usłyszał stęknienie w fundamentach.

Odwrócił się i ogarnęło go przerażenie rodem ze złego snu, uczucie bezsilności i awersji, niczym podczas seksu w wodzie — jedno tonące w drugim.

Fundamenty zbudowano z wielkich bloków piaskowca, które, kiedy zajazd był nowy, prawdopodobnie do siebie równo przylegały, lecz teraz powykrzywiały się pod najdłuższymi kątami. Ściana pokryta była dziwnymi meandrycznymi hieroglifami, z miejsca, gdzie przecinały się dwie głębokie szczeliny, sypał się cieniutki strumyczek piasku, tak jakby coś po drugiej stronie próbowało się z bolesną, nieudolną gorliwością odkopać.

Stęknienie rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze, i po chwili całą piwnicę wypełnił hałas, nieludzki jęk przeszywającego bólu i złowrogiego wysiłku.

— Wyjdź! — wrzasnął Jake. — O Jezu, niech pan stamtąd wyjdzie.

— Uciekaj — polecił mu spokojnie rewolwerowiec.

— Wyjdź! — zawołał ponownie Jake.

Rewolwerowiec nie odpowiedział. Prawą ręką dotknął kabury.

W ścianie była teraz dziura, dziura wielkości monety. Przez kurtynę własnego lęku słyszał tupot stóp uciekającego Jake'a, a potem piasek przestał się sypać. Stękanie umilkło, ale słyhać było równy, wysilony oddech.

— Kim jesteś? — zapytał rewolwerowiec.

Bez odpowiedzi.

— Kim jesteś, Demonie? — zapytał w Wysokiej Mowie Roland i w jego głosie zabrzmiała dawna, grzmiąca moc rozkazu. — Mów, jeśli potrafisz mówić. Mam mało czasu; moje ręce tracą cierpliwość.

— Nie spiesz się — odezwał się przeciągły bełkotliwy głos z wnętrza ściany.

Rewolwerowiec poczuł, jak koszmarnie przerażenie gęstnieje i staje się niemal namacalne. To był głos Alice, kobiety, u której zatrzymał się w mieście Tuli. Ale ona przecież nie żyła; widział, jak pada z dziurą od kuli między oczyma. Miał wrażenie, że przed jego oczyma płyną zjawy.

— Mijaj powoli Tych, Którzy Powołują, rewolwerowcze. Kiedy wędrujesz z chłopcem, człowiek w czerni ma twoją duszę w kieszeni.

— Co to ma znaczyć? Mów!

Oddech jednak ucichł.

Rewolwerowiec stał przez chwilę w bezruchu, a potem jeden z wielkich pająków spadł mu na rękę i pomknął gorączkowo w górę po ramieniu. Westchnąwszy mimowolnie, strącił go i zrobił krok w przód. Nie chciał tego uczynić, ale tak nakazywał zwyczaj. Na nieboszczyka trzeba nieboszczyka, mówiło stare przysłowie; tylko trup potrafi mówić. Podszedł do dziury i walnął w nią pięścią. Piaskowiec rozkruszył się na krawędziach i kiedy rewolwerowiec napiął mięśnie, ręka weszła gładko w ścianę.

I dotknęła czegoś twardego, z wystającymi poszczerbionymi gałkami. Wyciągnął to, w rękę trzymał żuchwę, spróchniałą przy stawach. Zęby sterczały z niej, każdy w inną stronę.

— W porządku — powiedział cicho.

Wepchnął żuchwę do tylnej kieszeni i wspiął się po drabinie, dźwigając niezdarnie ostatnie puszkę. Klapę pozostawił otwartą, w nadziei, że słońce uśmierci pająki.

Jake kuczał na popękanej, pokrytej rumoszem ziemi pośrodku podwórza. Widząc rewolwerowca, krzyknął, cofnął się o kilka kroków, a potem podbiegł do niego z płaczem.

— Myślałem, że to cię zabiło, że to cię zabiło. Myślałem. . .

— Nie zabiło.

Przyciągnął chłopca do siebie i poczuł jego gorącą twarz na piersi i suche ręce na żebrach. Później przyszło mu do głowy, że wtedy właśnie go pokochał — co oczywiście człowiek w czerni planował od samego początku.

— Czy to był demon?

Głos Jake'a był stłumiony.

— Tak. Mówiący demon. Nie musimy już tam więcej wracać. Chodź.

Poszli do stajni i rewolwerowiec zrobił prowizoryczny tobołek z koca, pod którym spał. Koc był gorący i kłujący, ale nie miał pod ręką nic innego. Zrobiwszy to, napełnił wodą bukłaki.

— Będiesz niósł jeden bukłak — powiedział. — Załóż go sobie na ramiona. . . tak jak fakir nosi swojego węża. Widzisz?

— Tak

Chłopiec wziął jeden z bukłaków, spoglądając z podziwem na rewolwerowca.

— Nie jest za ciężki?



— Nie, w sam raz.

— Powiedz prawdę. Nie będę cię nieść, jeśli dostaniesz udaru.

— Nie dostanę udaru. Nic mi nie będzie.

Rewolwerowiec pokiwał głową.

— Idziemy w stronę gór, prawda? — zapytał Jake.

— Tak.

Wyszli na prażące równo słońce. Jake, z głową na wysokości kołyszących się łokci rewolwerowca, szedł po jego prawej stronie, trochę go wyprzedzając. Pokryte surową skórą końce bukłaka sięgały mu prawie do łydek. Rewolwerowiec zarzucił sobie na ramiona dwa kolejne bukłaki, a pod lewą pachą trzymał tobołek z jedzeniem.

Przeszli przez bramę zajazdu i odnaleźli niewyraźne koleiny drogi, którą jeździły dyliżanse. Mniej więcej po piętnastu minutach Jake odwrócił się i pomachał w stronę dwóch budynków, które zdawały się kurczyć w tytanicznej przestrzeni pustyni.

— Do widzenia! — zawołał. — Do widzenia!

Kiedy wspięli się na piaszczystą wydnię i rewolwerowiec obejrzał się przez ramię, zajazd zniknął. Ponownie mieli wokół siebie wyłącznie pustynię.

\* \* \*

Od zajazdu dzieliły ich trzy dni drogi; góry wydawały się zdradliwie bliskie. Widzieli miejsce, gdzie pustynia przechodziła w podgórze — pierwsze nagie wzniesienia i koryto rzeki, przebijające w ponurym triumfie erozji skórę ziemi. Dalej teren ponownie opadał nieco w dół i po raz pierwszy od miesiący albo lat rewolwerowiec zobaczył zieleni, prawdziwą, żywą zieleni. Zobaczył trawę, karłowate świerki, może nawet wierzby — wszystko zasilane topniejącymi wyżej śniegami. Za równiną znowu zaczynały się skały, wznoszące się w gigantycznym zwalistym przepychu ku oślepiającym zaśnieżonym szczytom. Wielki wyłom po lewej stronie wskazywał drogę ku mniejszym zwietrzałym piaskowo-kamiennym urwiskom, skalnym półkom i tarasom. Ich rysunek prawie bez przerwy zasłaniała szara membrana deszczu. Wieczorami zafascynowany Jake obserwował przed snem odległe białe i fioletowe błyskawice, migoczące złowrogo w czystym nocnym powietrzu.

Chłopiec dobrze sobie radził na szlaku. Był twardy i, co więcej, umiał pokonać zmęczenie spokojną siłą woli zawodowca, dla której rewolwerowiec miał wiele uznania. Nie mówił wiele i nie zadawał pytań, nawet na temat kości żuchwy, którą rewolwerowiec obracał w dłoniach, wypalając wieczornego papiero-

sa. Miał wrażenie, że chłopcu bardzo pochlebiało jego towarzystwo — być może nawet czuł się nim zaszczycony — i to go niepokoiło. Został umieszczony na jego drodze („Kiedy wędrujesz z chłopcem, człowiek w czerni ma twoją duszę w kieszeni”) i fakt, że Jake nie opóźniał marszu, otwierał pole bardziej złowrogim dociekaniom.

Z regularną częstotliwością mijali symetryczne szczątki ognisk człowieka w czerni. Rewolwerowiec miał wrażenie, że są teraz znacznie świeższe. Trzeciej nocy był przekonany, że widzi odległą iskierkę drugiego ogniska gdzieś na pierwszych wzgórzach.

Koło godziny drugiej czwartego dnia po opuszczeniu zajazdu Jake zachwiał się i o mało nie upadł.

— Usiądź — powiedział mu rewolwerowiec.

— Nie, nic mi nie jest.

— Usiądź.

Chłopiec posłusznie usiadł. Rewolwerowiec przykucnął, starając się, żeby Jake znalazł się w jego cieniu.

— Napij się.

— Nie powinienem pić przed. . .

— Napij się.

Chłopiec wypił trzy łyki wody. Rewolwerowiec zmoczył koniuszek koca i przyłożył mokry materiał do suchych rozgrzanych nadgarstków i czoła chłopca.

— Od dzisiaj będziemy zawsze odpoczywać po południu o tej porze. Piętnaście minut. Chcesz się przespać?

— Nie.

W oczach chłopca malował się wstyd. Rewolwerowiec spojrzał na niego łagodnie. Machinalnie wyciągnął z taśmy jeden z nabojów i zaczął obracać go między palcami. Chłopiec patrzył zafascynowany.

— To przyjemne — stwierdził.

Rewolwerowiec pokiwał głową.

— Na pewno — mruknął. — Kiedy byłem w twoim wieku — dodał po chwili — mieszkałem w mieście otoczonym murami. Opowiadałem ci o tym?

Chłopiec potrząsnął sennie głową.

— Oczywiście, że nie, i był tam pewien zły człowiek. . .

— Ksiądz?

— Nie — odparł rewolwerowiec — ale wydaje mi się teraz, że ci dwaj są w pewien sposób związani. Może są nawet przyrodnimi braćmi. Marten był czar-noksiężnikiem. . . podobnie jak Merlin. Czy tam, skąd pochodzisz, słyszeli o Merlinie, Jake?

— O Merlinie, Arturze i rycerzach okrągłego stołu — odparł sennym głosem Jake.

Rewolwerowiec poczuł nieprzyjemny skurcz w żołądku.

— Tak — powiedział. — Byłem wtedy bardzo młody...

Ale chłopiec zasnął, siedząc z rękoma skrzyżowanymi na kolanach.

— Kiedy strzelę palcami, obudzisz się. Będziesz świeży i wypoczęty. Rozumiesz?

— Tak.

— Więc połóż się.

Rewolwerowiec wyjął z woreczka swoje przybory i skręcił sobie papierosa. Czuł, że czegoś mu brakuje, w charakterystyczny dla siebie metodyczny sposób poszukał tego czegoś w umyśle i znalazł. Tą brakującą rzeczą było doprowadzające do obłędu poczucie, że musi się spieszyć, przekonanie, że w każdej chwili może zostać w tyle, że trop skończy się i pozostanie mu w ręku urwany sznurek. To poczucie ustąpiło teraz i rewolwerowiec powoli zyskiwał pewność, że człowiek w czerni chce, żeby go dogonił.

Co teraz będzie?

To pytanie było zbyt nieokreślone, by się nim zainteresował. Cuthbert na pewno by się nim zainteresował, żywo zainteresował, ale Cuthbert nie żył i rewolwerowiec mógł tylko podążać dalej, tak jak potrafił.

Pałac skręta i obserwując chłopca, wrócił myślami do Cuthberta, który zawsze się śmiał — umarł ze śmiechem na ustach — do Corta, który nigdy się nie śmiał, i do Martena, który czasami się uśmiechał — w jego wąskoustym milczącym uśmiechu był jakiś niepokojący błysk... niczym w oku, które otwiera się w ciemności i odśłania nabiegłe krwią białko. No i był jeszcze oczywiście sokół. Miał na imię David, na cześć legendarnego chłopca z procą. Dla Davida, nie miał co do tego wątpliwości, nie liczyło się nic poza żądzą zabijania, rozrywania na strzępy i siania terroru. Podobnie jak dla samego rewolwerowca. David nie był dyletantem; grał pośrodku boiska.

Być może, pomyślał, w ostatecznym rozrachunku sokół David był bardziej podobny do Martena niż ktokolwiek inny... i być może wiedziała o tym jego matka Gabrielle.

Miał wrażenie, że żołądek puchnie mu i ugniata boleśnie serce, lecz wyraz jego twarzy wcale się nie zmienił. Patrząc, jak papierosowy dym rozwiewa się w gorącym pustynnym powietrzu, cofnął się myślami w przeszłość.

## Rozdział drugi

Niebo było białe, idealnie białe, w powietrzu rozchodziła się woń deszczu i mocny słodki zapach żywopłotu — zapach dojrzewającej zieleni. Była pełnia wiosny.

David siedział na przedramieniu Cuthberta — mała maszynka do zabijania, ze złocistymi oczyma, które jarzyły się groźnie, nie spozierając na nic. Przymocowana do jego pęt linka oplatała niedbale rękę Cuthberta.

Cort stał w pewnej odległości od obu chłopców — małomówny mężczyzna w połatanych skórzanych spodniach i zielonej bawełnianej koszuli, którą ściągnął wysoko starym szerokim wojskowym pasem. Zieleń jego koszuli zlewała się z żywopłotem i falującą trawą Tylnych Kortów, na których damy nie zaczęły jeszcze grać w Krokiet.

— Przygotuj się — szepnął Roland do Cuthberta.

— Jesteśmy gotowi — odparł zawadiackim tonem Cuthbert. — Prawda, Davey?

Używali niskiej mowy, języka kuchcików i giermków; jeszcze odległy był dzień, kiedy wolno im będzie posługiwać się własnym językiem w obecności innych.

— To wymarzony dzień. Czujesz zapach deszczu? Jest...

Cort podniósł nagle klatkę i opuścił boczną ściankę. Gołąb wydostał się na zewnątrz i poszybował w górę, trzepocząc szybko skrzydłami. Cuthbert pociągnął za linkę, lecz zrobił to zbyt wolno; sokół zerwał się już wcześniej z jego ramienia i nie wystartował najlepiej. Szarpnąwszy skrzydłami, poprawił kurs i wystrzelił w górę, nabierając wysokości, lecąc z szybkością pocisku.

Cort podszedł niedbałym krokiem do obu chłopców, zamachnął się i zdzielił Cuthberta pięścią w ucho. Chłopiec runął bez słowa skargi na ziemię, ale jego wargi rozchyliły się złowrogo, obnażając dziąsła. Strużka krwi wypłynęła powoli z ucha na bujną zieloną murawę.

— Spóźniłeś się — powiedział Cort.

Cuthbert dźwigał się z trudem na nogi.

— Przepraszam, Cort. Po prostu nie...

Cort zamachnął się ponownie i Cuthbert znowu padł na ziemię. Krew popłynęła teraz szybciej.

— Używaj Wysokiej Mowy — wycedził cicho Cort. Miał twardy głos, lekko ochryple od gorzałki. — Okaż skruchę w języku cywilizacji, dla której lepsi od ciebie na zawsze postradali życie, gnido.

Cuthbert znowu podnosił się z ziemi, w jego oczach lśniły łzy, lecz wargi zacisnęły się w wąską nieruchomą kreskę nienawiści.

— Bardzo żałuję — powiedział zduszonym, opanowanym głosem. — Zapomniałem oblicza mojego ojca, którego rewolwery mam nadzieję któregoś dnia nosić.

— Zgadza się, szczeniaku — odparł Cort. — Będziesz zastanawiał się nad tym, co zrobiłeś źle, i podpierał swoje przemyślenia głodem. Nie jesz kolacji, i śniadania.

— Spójrz — zawołał Roland, wskazując w górę.

Sokół wspiął się wysoko nad szybującym gołębiem, rozpostarł masywne muskularne skrzydła i zawisł na chwilę w nieruchomym białym wiosennym powietrzu, a potem złożył je i runął w dół jak kamień. Dwa ptaki zetknęły się i Roland miał przez moment wrażenie, że widzi tryskającą w powietrzu krew... ale mogła go ponieść wyobraźnia. Sokół wydał z siebie skrzek triumfu. Gołąb spadł, trzepocząc, na ziemię i Roland ruszył biegiem w tamtą stronę, zostawiając za sobą Corta i skarconego Cuthberta.

Sokół wylądował obok swojej ofiary i z upodobaniem rozrywał pulchną białą pierś gołębia. Kilka piór opadało powoli w dół.

— David! — zawołał chłopiec, rzucając sokołowi kawałek króliczego mięsa z sakwy. Ptak chwycił je w locie i przełknął, odchylając do tyłu grzbiet i szyję. Roland starał się go ponownie spętać.

Sokół odwrócił się, prawie bezwiednie przeorał skórę na jego przedramieniu, zostawiając długie otwarte skaleczenie, a potem wrócił do swojego posiłku.

Roland jęknął z bólu i ponownie zarzucił linkę. Tym razem udało mu się chwycić pochylony ostry dziób Davida w skórzaną rękawicę, którą miał na dłoni. Dał sokołowi jeszcze jeden kawałek mięsa i założył mu kaptur na głowę. David posłusznie wdrapał się na jego nadgarstek.

Roland wyprostował się dumnie, z sokołem na przedramieniu.

— A to co? — zapytał Cort, wskazując krwawiącą ranę na jego ręce. Chłopiec przygotował się na uderzenie i zacisnął usta, by mimowolnie nie krzyknąć, lecz tym razem nie został ukarany.

— Skaleczył mnie — wyjaśnił.

— Wkurzyłeś go — stwierdził Cort. — Sokół nie boi się ciebie, chłopcze, i nigdy nie będzie się bał. Sokół to boży rewolwerowiec.

Roland spojrział na Corta. Nie miał bujnej wyobraźni i jeżeli w stwierdzeniu instruktora zawarty był jakiś morał, Roland raczej go nie zrozumiał; miał w sobie

dość pragmatyzmu, by uznać, że to jedno z nielicznych głupstw, jakie usłyszał z ust Corta.

Cuthbert podszedł do nich i stojąc w bezpiecznym miejscu, tam gdzie ślepy na jedno oko Cort nie mógł go widzieć, pokazał mu język. Roland nie uśmiechnął się, kiwnął tylko głową.

— Możecie już iść — powiedział Cort, odbierając sokoła. — a ty pamiętaj o swoich medytacjach, gnido, i o swoim poście. Dzisiaj i jutro rano.

— Tak jest — odparł ze sztywną oficjalnością Cuthbert. — Dziękuję za pouczający dzień.

— Uczysz się — potwierdził Cort — ale twój jęzor ma fatalny zwyczaj wysuwania się z głupiej gęby, kiedy instruktor odwrócony jest plecami. Być może nadejdzie kiedyś dzień, gdy ty i on dowiedziecie się, gdzie jest wasze miejsce.

Ponownie uderzył Cuthberta, tym razem solidnie, między oczy i tak mocno, że Roland usłyszał głucho łupnięcie — odgłos, jaki wydaje drewniany młotek, kiedy kuchcik odszpuntowuje beczkę piwa. Cuthbert padł na plecy i jego oczy zasnęła na dłuższą chwilę mgła. Kiedy się rozjaśniły, spojrzął na Corta, w wąskich żrenicach płonęła jasna niczym gołębia krew niezawołowana nienawiść.

Leżąc, pokiwał głową i rozchylił wargi w przerażającym uśmiechu, którego Roland nigdy u niego dotąd nie widział.

— Widzę, że rokujesz jeszcze jakieś nadzieje — stwierdził Cort. — Kiedy uznasz, że uda ci się mnie pokonać, podnieś na mnie rękę, gnido.

— Skąd wiedziałeś? — zapytał Cuthbert przez zaciśnięte zęby.

Cort odwrócił się do Rolanda tak szybko, że ten o mało się nie wywrócił — i wtedy obaj chłopcy leżeliby na trawie, dekorując świeżą zieleń swoją krwią.

— Zobaczyłem to w oczach tego gnojka — oznajmił. — Zapamiętaj to sobie, Cuthbert. To ostatnia lekcja na dzisiaj.

Cuthbert ponownie kiwnął głową i na jego twarzy pojawił się ten sam przerażający uśmiech.

— Bardzo żałuję — stwierdził. — Zapomniałem oblicza mojego...

— Odsuść sobie te brednie — mruknął nagle zobojętniały Cort, po czym obejrzał się na Rolanda. — Idźcie już. Obaj. Jeśli będę musiał jeszcze przez chwilę oglądać wasze głupie gęby, wyrzgam własne flaki.

— Chodź — powiedział Roland.

Cuthbert potrząsnął obolałą głową i podniósł się na nogi. Cort schodził już ze wzgórza swoim kołyszającym się, posuwistym krokiem, wszechpotężny i w jakimś sensie prehistoryczny, w oddali widać było wygoloną na czubku, otoczoną wianuszkami siwych włosów pochyloną głowę.

— Zabiję sukinsyna — oświadczył Cuthbert, nie przestając się uśmiechać.

Na jego czole rósł mistycznie wielki fioletowy guz.

— Ani ty, ani ja tego nie zrobimy — stwierdził Roland, szczerząc zęby. — Kolację zjesz w zachodniej kuchni razem ze mną. Kucharz coś nam da.

— Powie Cortowi.  
— Nie jest jego przyjacielem — odparł Roland, a potem wzruszył ramionami.  
— a jeśli nawet powie, to co?  
Cuthbert uśmiechnął się w odpowiedzi.  
— Jasne. Dobrze. Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak wygląda świat, kiedy ma się głowę z tyłu, obróconą o sto osiemdziesiąt stopni.  
Ruszyli razem przez zielone błonia, rzucając cienie w delikatnym białym wiosennym świetle.

\* \* \*

Kucharz w zachodniej kuchni nazywał się Hax. Olbrzymi mężczyzna w poplamionym potrawami białym fartuchu miał cerę w kolorze surowego oleju, a jego przodkowie byli w jednej czwartej czarni, w jednej czwartej żółci, w jednej czwartej pochodzili z Wysp Południowych, teraz prawie zapomnianych (świat poszedł naprzód), a w jednej czwartej. . . Bóg wie skąd. Obuty w wielkie ciżmy kalifa, przemierzał trzy wysokie zadymione sale niczym traktor na niskim biegu. Należał do tych nielicznych dorosłych, którzy znajdowali wspólny język z dziećmi i którzy kochali je wszystkie, żadnego przy tym nie wyróżniając — nie w landrynkowy sposób, lecz jak to czyni człowiek interesu, dopuszczający czasami wzięcie kogoś w objęcia, podobnie jak dopuszcza się uścisk dłoni po sfinalizowaniu ważnej finansowej transakcji. Kochał nawet tych chłopców, którzy rozpoczęli Szkolenie, chociaż różnili się od innych dzieci: nie byli zbyt wylewni i wydawali się trochę niebezpieczni, nie tak, jak dorośli, ale jak zwykłe dzieci, dotknięte odrobiną szaleństwa. Cuthbert nie był pierwszym uczniem Corta, którego Hax potajemnie dożywiał, w tym momencie stał przy wielkiej elektrycznej kuchni, jednym z sześciu tego typu urządzeń, które działały w całej posiadłości. To było jego niepodzielne królestwo; stojąc w nim, obserwował dwóch chłopców, połykających kawałki gulaszu, który od niego dostali. Wszędzie dookoła w parującym wilgotnym wnętrzu krzatali się podkuchenni i inni posługacze, brzęcząc garnkami, mieszając gulasz i obierając w niższych rewirach ziemniaki i warzywa, w słabo oświetlonej alkowie spiżarni pomywaczka o ziemistej twarzy i włosach związanych ścierką szorowała szczotką podłogę.

Jeden z kuchcików podbiegł do Haxa, prowadząc za sobą żołnierza Gwardii.

— Ten człowiek chce się z tobą widzieć.

— W porządku. — Hax skinął głową do gwardzisty, który odpowiedział takim samym ukłonem. — Idźcie do Maggie, chłopcy. Dostaniecie od niej trochę pasztetu, potem zmywajcie się stąd.

Roland i Cuthbert kiwnęli głowami i poszli do Maggie, która dała im pokazne kawałki pasztetu na dużych talerzach... ale zrobiła to ostrożnie, jakby byli dzikimi psami, które mogły ją pokąsać.

— Zjedźmy na schodach — zaproponował Cuthbert.

— Dobrze.

Usiedli za wielką kamienną kolumnadą, w miejscu, gdzie nie było ich widać z kuchni, i rwali pasztet palcami. Po kilku chwilach zobaczyli cienie, które padły na półkolistą ścianę szerokiej klatki schodowej.

Roland złapał za rękę Cuthberta.

— Chodźmy, ktoś się zbliża.

Cuthbert podniósł zdziwiony wzrok. Usta miał poplamione jagodami. Cienie zatrzymały się. To byli Hax i żołnierz Gwardii. Chłopcy zostali tam, gdzie siedzieli. Gdyby się poruszyli, kucharz i jego towarzysz mogliby ich usłyszeć.

— ...dobry człowiek — mówił gwardzista.

— W Farson?

— Za dwa tygodnie. Może za trzy. Musisz z nami pojechać. Będzie dostawa ze składu... — Szczególnie głośny brzęk garnków i patelni oraz seria połajanek spadających na głowę nieszczęsnego chłopca, który je upuścił, zagłuszyły kolejne słowa. — ...zatrutego mięsa — usłyszeli po chwili głos gwardzisty.

— To ryzykowne.

— Nie pytajcie, co dobry człowiek może zrobić dla was... — wyrecytował gwardzista.

— ...ale, co wy możecie zrobić dla niego. — Hax Westchnął. — Nie pytaj, żołnierzu.

— Wiesz, co to może oznaczać — stwierdził cicho gwardzista.

— Tak, i wiem, co mu jestem winien; nie musisz mi prawić kazań. Kocham go tak samo jak ty.

— Dobrze. Mięso będzie oznaczone do krótkoterminowego przechowania w twoich chłodniach. Ale powinieneś się pospieszyć. Musisz to zrozumieć.

— Czy w Farson są jakieś dzieci? — zapytał ze smutkiem kucharz, ale było to pytanie, na które nie spodziewał się chyba odpowiedzi.

— Dzieci są wszędzie — stwierdził łagodnie gwardzista. — To właśnie o dzieci troszczymy się najbardziej... i on się troszczy.

— Zatrute mięso. To raczej dziwny sposób okazywania troski dzieciom. — Hax wydał z siebie ciężkie świszczące westchnienie. — Czy będą się zwijać z bólu, trzymać za brzuchy i wołać, że chcą do mamy? Chyba tak.

— To będzie przypominało zaśnięcie — wyjaśnił żołnierz, ale ze zbyt dużą pewnością siebie.

— Oczywiście — zaśmiał się Hax.

— Sam to przed chwilą powiedziałeś. Nie pytaj, żołnierzu. Czy chcesz dalej oglądać dzieci pod władzą rewolweru, skoro mogą znaleźć się w rękach tego,



który sprawia, że lew kładzie się przy baranku?

Hax nie odpowiedział.

— Za dwadzieścia minut zaczynam służbę — oznajmił gwardzista. — Daj mi barani udziec. Uszczypnę tylko jedną z twoich rozchichotanych dziewuch i wyjeżdżam.

— Od mojej baraniny nie dostaniesz skrętu kiszek. Robeson.

— Czy możesz... — usłyszeli słowa gwardzisty, lecz potem cienie mężczyzn przesunęły się i głosy ucichły.

Mógłbym ich obu zabić, pomyślał zastygły w bezruchu Roland. Mógłbym ich zabić moim nożem, poderżnąć gardła jak wieprzom. Zerknął na swoje dłonie, pobrudzone sosem, jagodami i ziemią po szkoleniu.

— Rolandzie.

Popatrzył na Cuthberta. Spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę w przesyconym woniami półmroku i Roland rozpoznał smak ciepłej rozpacz, napływający do gardła. To, co poczuł, mogło stanowić pewien rodzaj śmierci — było czymś tak samo brutalnym i ostatecznym jak śmierć gołębia na białym niebie nad polem ćwiczeń, w głowie miał mętlik. Hax? Hax, który nałożył mu kiedyś na nogę kompres? Hax? A potem coś zatrasnęło się w jego umyśle i temat został zamknięty.

Pełna humoru, inteligentna twarz Cuthberta nie wyrażała w tym momencie nic — kompletnie nic, w jego oczach los kucharza był już przesądzony. Hax nakarmił ich i kiedy poszli na schody się najeść, przyprowadził, w nie ten co trzeba róg kuchni, gwardzistę o nazwisku Robeson i odbyli tam swoje małe, zdradzieckie *tete-a-tete*. To wszystko, w oczach Cuthberta Roland ujrzał, że Hax zginie za zdradę, tak jak zmija ginie w swojej jamie. To i nic więcej, w ogóle nic.

Oczy Cuthberta były oczyma rewolwerowca.

\* \* \*

Ojciec Rolanda wrócił właśnie z wyżyn i jego strój zupełnie nie pasował do draperii i szyfonowych ozdób głównej sali audiencyjnej, do której chłopcu zezwolono wchodzić dopiero od niedawna, w ramach przywilejów przysługujących tym, którzy rozpoczęli szkolenie.

Ubrany był w czarne dzinsy i roboczą niebieską koszulę. Zakurzony i poplamiony płaszcz, rozdarty w jednym miejscu do podszewki, zarzucił niedbale na ramię, nie przejmując się tym, jak bardzo ten płaszcz i on sarn kłóci się z eleganckim wystrojem sali. Był rozpaczliwie chudy; obwisłe bujne wąsy wydawały się ciągnąć w dół jego głowę, gdy patrzył na syna. Zawieszane przy biodrach rewolwery ustawione były pod idealnym kątem do dłoni. Wytarte rękojeści z drzewa

sandałowego sprawiały wrażenie matowych i sennych w przyćmionym świetle komnaty.

— Główny kuchmistrz — mruknął cicho. — Kto by pomyślał! Tory, które wysadzono na końcowej stacji na wyżynach. Zdychające stada w Hendrickson, a może nawet... kto by pomyślał! Kto by pomyślał!

Przyjrzał się uważniej synowi.

— To spadło na ciebie jak grom.

— Jak sokół. To spada na człowieka jak sokół — odparł Roland i roześmiał się; nie dlatego, że rozbawiła go cała sytuacja, lecz dlatego, że uderzyła go zaskakująca trafność porównania.

Ojciec uśmiechnął się.

— Tak — dodał Roland. — To mnie chyba dręczy.

— Był z tobą Cuthbert. Pewnie powiedział już swojemu ojcu.

— Tak.

— Hax nakarmił was obu, kiedy Cort...

— Tak.

— A Cuthbert? Myślisz, że jego też to dręczy?

— Nie wiem.

Tego rodzaju rozważania niezbyt interesowały Rolanda. Nie obchodziło go, jak jego uczucia wyglądają w porównaniu z innymi.

— Dręczy cię to, bo wiesz, że skazałeś go na śmierć?

Roland wzruszył mimowolnie ramionami, czując nagle, że nie podoba mu się to sondowanie jego motywów.

— Mimo to doniosłeś.

Oczy chłopca zrobiły się szerokie.

— Jak mogłem tego nie uczynić? Zdrada to...

Ojciec machnął szybko ręką.

— Jeśli skłoniły cię do tego tanie książkowe ideały, zrobiłeś to niepotrzebnie. Wolałbym raczej, żeby wszyscy mieszkańcy Farson padli od trucizny.

— Nie dlatego to zrobiłem! — wyrzucił z siebie gwałtownie. — Chciałem go zabić! Chciałem zabić ich obu! Kłamcy! Węże! Oni...

— Mów dalej.

— Oni mnie zranili — dokończył wojowniczo Roland. — Coś mi zrobili. Coś we mnie zmienili. Chciałem ich za to zabić.

Ojciec pokiwał głową.

— To już coś lepszego. Nie moralność, ale ty nie powinienesz się kierować moralnością, w gruncie rzeczy... — mruknął, zerkając na syna — moralność może być ci zawsze obca. Nie jesteś tak szybki jak Cuthbert albo syn Wheelera. Dzięki temu możesz być groźny.

Roland, do tej pory znecierpliwiony, poczuł, jak ogarnia go jednocześnie dumna i zakłopotanie.

— On...

— Zawiśnie.

Chłopiec pokiwał głową.

— Chcę to zobaczyć.

Roland senior odrzucił do tyłu głowę i ryknął śmiechem.

— No, może nie taki groźny, jak myślałem... może tylko głupi.

Nagle zacisnął usta, wysunął szybką jak błyskawica rękę i złapał chłopca boleśnie za ramię. Ten skrzywił się, lecz nie cofnął. Ojciec patrzył mu przez chwilę w oczy. Chłopiec nie spuścił wzroku, choć było to trudniejsze niż nałożenie kaptura sokołowi.

— W porządku — mruknął ojciec i niespodziewanie odwrócił się, żeby odejść.

— Ojczy?

— Co?

— Czy wiesz, o kim oni mówili? Wiesz, kim jest dobry człowiek?

Ojciec obejrzał się i zmierzył go baczny spojrzeniem.

— Tak, chyba wiem.

— Jeśli go złapiecie — oświadczył Roland, w charakterystyczny dla siebie rozważny sposób mozolnie cedząc słowa — nikt poza Haxem nie będzie musiał... nie będzie musiał dać szyi.

Ojciec uśmiechnął się półgębkiem.

— Być może przez pewien czas. Ale w końcu ktoś zawsze musi, jak to oryginalnie ująłeś, dać szyję. Ludzie domagają się tego. Wcześniej czy później, jeżeli nie ma zdrajcy, ludzie wymyślają go sobie.

— Tak — przytaknął Roland, natychmiast przyswajając sobie tę prawdę... prawdę, której miał już nigdy nie zapomnieć. — Ale jeśli go złapiecie...

— Nie — odparł stanowczo ojciec.

— Dlaczego?

Przez moment wydawało mu się, że ojciec uchyli rąbka tajemnicy, lecz on rozmyślił się.

— Sądzę, że dosyć już powiedzieliśmy. Odejdź.

Roland chciał mu powtórzyć, żeby nie zapomniał o swojej obietnicy, gdy nadejdzie dzień egzekucji Haxa, ale był wyczulony na nastroje ojca. Podejrzewał, że chce się pieprzyć. Odsunął od siebie szybko tę myśl. Wiedział, że matka i ojciec to robią... robią tę rzecz, którą robi się razem, i był w miarę dobrze poinformowany, na czym to polega, jednak wyobrażenie tego aktu zawsze go krępowało i budziło dziwne poczucie winy. Kiedy kilka lat później Susan opowiedziała mu historię Edypa, przyswoił ją sobie w milczeniu, rozmyślając o dziwnym krwawym trójkącie stworzonym przez jego ojca, matkę i Martena — określanego w pewnych kręgach mianem dobrego człowieka, a może był to czworokąt, jeśli ktoś chciał się do niego przyłączyć.

— Dobranoc, ojczy — powiedział.

— Dobranoc, synu — odparł z roztargnieniem ojciec i zaczął rozpinać koszulę, w jego myślach chłopiec dawno już wyszedł. Jaki ojciec, taki syn.

\* \* \*

Wzgórze Wisielców wznosiło się przy drodze do Farson — w czym tkwiła swoista poezja, która mogła wywrzeć wrażenie na Cuthbercie, lecz nie na Rolandzie. Na nim wywarło wrażenie wspaniałe i złowrogie rusztowanie, rysujące się na tle jaskrawobłękitnego nieba, czarny prostokąt, który górował nad drogą dla dyliżansów.

Dwaj chłopcy zostali zwolnieni z Porannych Ćwiczeń — Cort przeczytał listy od ich ojców, poruszając mozolnie wargami i kiwając kilka razy głową. Skończywszy, spojrział na niebieskofioletowe poranne niebo i jeszcze raz kiwnął głową.

— Zaczekajcie tu — powiedział, po czym ruszył do pochylonej kamiennej chaty, która służyła mu za kwaterę i wrócił z kromką przaśnego chleba. Przełamał ją i dał każdemu z nich połowę.

— Kiedy będzie już po wszystkim, niech każdy z was położy to pod jego stopami. Zróbcie dokładnie, jak powiedziałem, bo inaczej dam wam wycisk w przyszłym tygodniu.

Nie rozumieli, o co chodzi, dopóki tam nie przyjechali, dosiadając obaj wąża należącego do Cuthberta. Zjawili się pierwsi, całe dwie godziny przed przybyciem następnego widza i cztery godziny przed egzekucją. Wzgórze Wisielców było puste — jeśli nie liczyć gawronów i kruków. Ptaki były wszędzie i oczywiście wszystkie były czarne. Siedziały, kracząc na twardej desce, która wystawała nad zapadnią — maszyną śmierci. Przycupnęły na skraju platformy, walczyły o miejsce na schodkach.

— Zostawiają ich — mruknął Cuthbert. — Na źer ptakom.

— Wejźmy na górę — zaproponował Roland.

Cuthbert spojrział na niego z przerażeniem.

— Myślisz, że...

Roland przerwał mu gestem dłoni.

— Przyjechaliśmy całe wieki za wcześnie. Nikt tu nie przyjdzie.

— Dobrze.

Podeszli powoli do szubienicy i rozeźlone ptaki zerwały się do lotu, kracząc i krążąc niczym tłum gniewnych, wywłaszczonych wieśniaków. Ich sylwetki odcinały się płaską czernią od czystego porannego nieba.

Roland po raz pierwszy poczuł rozmiar spoczywającej na nim odpowiedzial-

ności. To nie było szlachetne drewno, cząstka budzącej grozę maszyny Cywilizacji; to były zwykłe spalone sosnowe deski, upstrzone białymi odchodami ptaków. Ptasie gówno było wszędzie — na schodach, balustradzie, platformie — i śmierdziało.

Utkwił w swoim towarzyszczu zdumiony, wystraszony wzrok i zobaczył, że ten spogląda na niego z tym samym wyrazem twarzy.

— Nie mogę — szepnął Cuthbert. — Nie mogę tego oglądać.

Roland potrząsnął powoli głową. Zdał sobie sprawę, że tkwi w tym jakaś nauka, nie jasna i pogodna, lecz coś, co było odwieczne, kalekie i okryte rdzą. Dlatego ojcowie pozwolili im tu przyjść, i ze swoją typową upartą instynktowną zaciekłością przyswoił to sobie, czymkolwiek to było.

— Możesz, Bert — powiedział.

— Nie zasnę dziś w nocy.

— No, to nie zaśniesz — odparł Roland, nie rozumiejąc, co ma jedno do drugiego.

Cuthbert złapał go nagle za rękę i na widok malującego się w jego oczach niemego bólu Rolanda na nowo ogarnęły wątpliwości. Żałował gorzko, że w ogóle poszli do kuchni tamtej nocy. Ojciec miał rację. Lepsza od tego byłaby śmierć wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci w Farson.

Ale czymkolwiek miała okazać się ta nauka, ta okryta rdzą, na pół zakopana w ziemi rzecz, nie zamierzał z niej tak łatwo rezygnować, nie zamierzał wypuszczać jej z rąk.

— Nie wchodźmy na górę — powiedział Cuthbert. — Wszystko już zobaczyliśmy.

I Roland pokiwał niechętnie głową, czując, jak siła, z którą uczepił się tamtej rzeczy, słabnie. Wiedział, że Cort powaliłby obu na ziemię, a potem zmusił, by weszli na platformę krok po przeklętym kroku... czując na podniebieniu smak świeżej krwi. Cort zawiązałby prawdopodobnie nowy powróż na belce i założył każdemu z nich na szyję stryczek; Cort kazałby im stanąć nad zapadnią, żeby poczuli ją pod stopami; i Cort gotów był sprawić im lanie, gdyby którykolwiek zapłakał lub przestał kontrolować swój pęcherz, i miałby oczywiście rację. Po raz pierwszy w życiu Roland poczuł, że nienawidzi własnego dzieciństwa. Chciał mieć posturę, odciski i pewność siebie dorosłego mężczyzny.

Z premedytacją oderwał drzazgę od balustrady, po czym schował ją do kieszeni na piersi i odwrócił się.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał Cuthbert.

Roland chciał popisać się rezolucją, powiedzieć, że to przynosi szczęście, ale spojrzał tylko na Cuthberta i potrząsnął głową.

— Żeby to mieć — odparł. — Żeby to zawsze mieć.

Zeszli z szubienicy, usiedli i czekali. Po mniej więcej godzinie zaczęli się gromadzić pierwsi widzowie, w większości rodziny, które przyjechały rozklekotany-

mi furami i bryczkami, przywożąc ze sobą śniadania — kosze zimnych naleśników z poziomkowym dżemem. Roland poczuł, że z głodu burczy mu w brzuchu, i zdesperowany ponownie pytał się w duchu, na czym polega całe dostojństwo tego wydarzenia. Wydawało mu się, że Hax, przemierzający w brudnym białym fartuchu swoją zadymioną podziemną kuchnię, ma w sobie więcej dostojństwa niż to wszystko, z niezdrowym oszołomieniem obracał w palcach drzazgę z szubienicznego drewna. Cuthbert leżał obok niego, przybrawszy obojętny wyraz twarzy.

W rezultacie egzekucja nie okazała się niczym nadzwyczajnym i Roland był zadowolony. Haxa przywieziono otwartym wozem, ale poznać go można było tylko po wielkim brzuchu; oczy przewiązano mu szeroką czarną opaską, która opadała na twarz. Kilka osób cisnęło w niego kamieniami, lecz większość jadła dalej śniadanie.

Rewolwerowiec, którego chłopiec nie znał (cieszył się, że losu nie wyciągnął jego ojciec), ostrożnie wprowadził grubego kucharza po schodkach. Dwaj gwardziści Straży wspięli się tam już wcześniej i stali po obu stronach zapadni. Kiedy Hax i rewolwerowiec weszli na górę, ten ostatni zarzucił powróż na poziomą belkę, a potem założył kucharzowi stryczek na szyję i ściągnął węzeł tak, by znalazł się dokładnie pod jego lewym uchem. Wszystkie ptaki odleciały, lecz Roland wiedział, że czekają.

— Czy chcesz coś wyznać? — zapytał rewolwerowiec.

— Nie mam nic do wyznania — odparł Hax. Jego głos był wyraźny i dziwnie dostojny mimo zasłaniającej usta opaski. Materiał falował lekko w podmuchach słabego przyjemnego wiatru. — Nie zapomniałem oblicza mojego ojca; był ze mną przez cały czas.

Roland spojrział ostro na tłum i zaniepokoiło go to, co tam zobaczył. Uczucie sympatii? A może podziwu? Zapyta o to ojca. Kiedy zdrajców nazywa się bohaterami (albo bohaterów zdrajcami, dodał w duchu, marszcząc brwi), nadchodzą mroczne czasy. Żałował, że nie rozumie tego lepiej. Przez moment pomyślał o Corcie i o chlebie, który od niego dostali. Poczuł falę wzdąry; zbliżał się dzień, kiedy Cort będzie musiał mu służyć. Ale chyba nie Cuthbertowi; Cuthbert ugnie się chyba pod ciosami Corta i zostanie paziem albo koniuszym (względnie, co nieskończenie gorsze, wyperfumowanym dyplomata, wycierającym kąty sal audiencyjnych lub spoglądającym w fałszywe kryształowe kule ze zgrzybiałymi królami i księżętami). On nim nie zostanie. Wiedział o tym.

— Rolandzie?

— Jestem.

Wziął Cuthberta za rękę i ich palce zwały się w żelaznym uścisku.

Deska opadła. Hax runął w dół, w nagłej ciszy rozległ się dźwięk podobny do tego, który w chłodną zimową noc wydaje eksplodujący w kominku sosnowy sęk.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Kucharz wierzgnął nogami, które uło-

żyły się w kształt litery Y; w tłumie rozległy się gwizdy zadowolenia; Gwardziści Straży przestali prężyć pierś i zaczęli niedbale zbierać rzeczy. Rewolwerowiec zszedł powoli po schodach, dosiadł swojego konia i odjechał, nie zwracając uwagi na grupkę piknikowiczów, którzy musieli uciekać przed kopytami.

Tłum szybko się przerzedził i po czterdziestu minutach chłopcy zostali sami na małym wzniesieniu, które wcześniej wybrali. Ptaki wróciły, żeby przyjrzeć się nowej ofierze. Jeden przycupnął na ramieniu Haxa, jakby ten był jego dobrym znajomym, i zaczął dziobać jasne błyszczące kółko, które kucharz nosił zawsze w prawym uchu.

— W ogóle nie jest do siebie podobny — stwierdził Cuthbert.

— Owszem, jest — odparł z przekonaniem Roland, kiedy szli w stronę szubienicy, trzymając w rękach chleb.

Cuthbert sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Stanęli pod belką i spojrzeli na obracającego się powoli wisielca. Cuthbert sięgnął ręką w górę i dotknął w przyływie odwagi owłosionej kostki. Ciało zaczęło się obracać w drugą stronę.

A potem szybko przełamali chleb i rozsypali okruszyny pod dyndającymi stopami. Kiedy odchodzili, Roland obejrzał się tylko raz. Teraz były tam tysiące ptaków. Chleb — domyślał się tego mgliście — stanowił zatem symbol.

— To było dobre — oświadczył nagle Cuthbert. — To... to... to mi się podobało. Naprawdę.

Roland nie był wstrząśnięty; cała scena specjalnie go nie obeszła. Wydawało mu się jednak, że potrafi ją zrozumieć.

— Nie wiem, czy mi się podobało — stwierdził — ale coś w tym było, z całą pewnością.

Dopiero dziesięć lat później kraj został zajęty przez dobrego człowieka, ale wtedy Roland był już rewolwerowcem. Jego ojciec zginął, a on sam stał się matkobójcą. Świat poszedł naprzód.

## Rozdział trzeci

— Popatrz — powiedział Jake, podnosząc rękę.

Rewolwerowiec spojrział w górę i poczuł, jak coś chrupnęło mu w plecach. Od dwóch dni przemierzali pierwsze wzgórza i choć ich bukłaki były ponownie prawie puste, nie miało to teraz znaczenia. Wkrótce będą mieli tyle wody, ile tylko zdołają wypić.

Jego wzrok pobiegł za podniesionym palcem Jake'a, nad wznoszącą się zieloną równiną, ku nagim lśniącym skałom i wąwozom, i jeszcze wyżej ku samemu ośnieżonemu szczytowi.

Daleko i niewyraźnie (to mógł być jeden z tych pyłków, które tańczą przed oczyma, gdyby nie fakt, że wcale nie zniknął) zobaczył nie większego od małej kropki człowieka w czerni, który wspinał się po zboczu, z zajadłym uporem — mikroskopijna mucha na olbrzymiej granitowej ścianie.

— Czy to on? — zapytał Jake.

Przyglądając się wykonującemu akrobatyczne sztuczki, odpersonalizowanemu pyłkowi, rewolwerowiec nie czuł nic prócz nagłego smutku.

— To on, Jake.

— Myślisz, że go dogonimy?

— Nie po tej stronie. Po drugiej, i nie uda nam się to, jeśli będziemy stać i o tym gadać.

— Góry są takie wysokie — stwierdził Jake. — Co jest po drugiej stronie?

— Nie wiem — odparł rewolwerowiec. — Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek to wiedział. Może kiedyś wiedzieli. Chodź, chłopcze.

Ruszyli pod górę. Poruszane ich stopami drobne kamyki i piasek sypały się na pustynię, która ciągnęła się za ich plecami — płaska, spieczona, niemająca końca. Przed nimi, daleko przed nimi, człowiek w czerni wspinał się coraz wyżej i wyżej. Nie sposób było stwierdzić, czy się ogląda. Zdawał się przesadzać jednym susem głębokie przepaści, zdawał się wspinać bez trudu po pionowych ścianach. Raz czy dwa zniknął z pola widzenia, zawsze jednak spostrzegali go ponownie, aż do chwili, gdy zapadła fioletowa kurtyna zmierzchu. Kiedy pod wieczór rozbili obóz, chłopiec niewiele się odzywał. Rewolwerowiec zastanawiał się, czy domyśla się



tego, co sam już przeczuwał. Przypomniwał sobie spoconą, skonsternowaną, pod-  
ekscytowaną twarz Cuthberta. Przypomniwał sobie okruszyny chleba. Przypomniwał  
sobie ptaki. To kończy się zawsze w ten sposób, pomyślał. Po raz kolejny kończy  
się w ten sposób. Są dążenia i drogi, które zawsze prowadzą do przodu i wszystkie  
kończą się w tym samym miejscu — miejscu egzekucji.

Z wyjątkiem być może drogi do Wieży.

Chłopiec, jego ofiara, z twarzą, która w świetle ich niewielkiego ogniska wy-  
dawała się niewinna i bardzo młoda, zasnął, żując swoją fasolę. Rewolwerowiec  
okrył go szorstkim kocem i sam ułożył się do snu.

# **Wyrocznia i Góry**

Chłopiec znalazł wyrocznie i ta o mało go nie zniszczyła.

Jakieś niejasne przecucie obudziło rewolwerowca w aksamitnej ciemności, która okryła ich o zmierzchu niczym tafla studziennej wody. Wcześniej on i Jake dotarli do porośniętej trawą, prawie płaskiej oazy nad pierwszym łańcuchem wzgórz. Już niżej, wspinając się z mozołem w zabójczym słońcu, słyszeli cykanie świerszczy, które pocierały o siebie kusząco odnóża w wiecznie zielonych, leżących nad nimi wierzbowych gajach. Rewolwerowiec zachowywał wewnętrzny spokój, a chłopiec przynajmniej jego pozory, i to napełniało Rolanda dumą. Lecz Jake nie był w stanie ukryć dzikiego błysku w oczach — białych i błyszczących niczym u konia, który zwietrzył wodę i którego jedynie cienkie lejce woli jego pana powstrzymują przed znarowieniem, konia, którego zdoła utrzymać w ryzach zrozumienie, ale nie ostroga. Rewolwerowiec mógł zmierzyć pragnienie Jake'a szaleństwem, do jakiego cykanie świerszczy doprowadzało jego własne ciało. Ręce wydawały się szukać ostrych, kaleczących dłonie łupków, kolana błagały, by zdarł je do żywego mięsa, pozostawiając rozognione od soli rany.

Słońce katowało ich przez całą drogę; nawet o zachodzie, przybrawszy odcień nabrzmiałej gorączkowej czerwieni, prażyło perwersyjnie przez wąską, jakby naciętą nożem, szczelinę między skałami po lewej stronie, oślepiając ich i zmieniając każdą kroplę potu w pryzmat bólu.

A potem pojawiła się trawa: z początku pojedyncze żółte źdźbła, uczezione jałowej ziemi tam, dokąd docierały spływające z upiorną witalnością ostatnie krople wody. Wyżej były kępy wiedźmowego ziela, z początku rzadkie, potem zielone i cuchnące... i w końcu pierwszy słodki zapach prawdziwej trawy, rosnącej wraz z pastewną tymotką w cieniu karłowatych jodeł. Rewolwerowiec dostrzegł przemijający w cieniu brązowy błysk. Wyciągnął broń i ustrzelił królika, nim Jake zdążył krzyknąć ze zdumienia. Chwilę później wsunął rewolwer z powrotem do kabury.

— Tutaj — powiedział.

Wyżej trawa przechodziła w zieloną dżunglę wierzb, szokującą po sterylnej spieczonej bezkresnej pustyni. Płynął tam zapewne strumień, być może nawet kilka, i panował większy chłód, lepiej jednak było rozbić obóz tutaj, na otwartej przestrzeni. Chłopiec gonił resztkami sił, a w mrocznym gąszczu mogły żerować wysysające krew nietoperze. Potrafiły wyrwać Jake'a ze snu, bez względu na to, jak głęboko zasnął, a jeśli były wampirami, obaj mogli się już nigdy nie obudzić... przynajmniej na tym świecie.

— Przyniosę trochę drewna — zaproponował chłopiec.

Rewolwerowiec uśmiechnął się.

— Nie, nie musisz. Posiedź sobie, Jake.

Czyje to były słowa? Jakiejś kobiety.

Chłopiec usiadł. Kiedy rewolwerowiec wrócił, Jake spał na trawie. Wielka modliszka wykonywała ablucje na sprężystej łodydze jego włosa. Rewolwerowiec

rozpalił ognisko i poszedł po wodę.

Wierzbowa dżungla sięgała głębiej, niż przypuszczał, i w gasnącym świetle dnia można było w niej pobłądzić. Ale udało mu się znaleźć strumień, strzeżony przez liczne żaby i rzekotki. Napełnił jeden z bukłaków i zastygł w bezruchu. Dźwięki, które wypełniały noc, wyzwoliły w nim niepokojącą zmysłowość, uczucie, którego nie zdołała obudzić nawet Allie, kobieta, z którą sypiał w Tuli. Zmysłowość i dupczenie są w końcu dość dalekimi kuzynami. Przypisał to nagłej porażającej zmianie w stosunku do pustyni. Miękki półmrok wydawał się prawie dekadentki.

Wrócił do obozu i oparł ze skóry królika, czekając, aż nad ogniskiem zagotuje się woda, z mięsa królika i warzyw z ostatniej puszkii udało mu się przyrządzić znakomity gulasz. Obudził Jake'a i patrzył, jak je, półprzytomnie, lecz łączywie.

— Zostaniemy tu jutro — oznajmił.

— A człowiek, którego ścigasz... ten ksiądz?

— On nie jest księdzem, i nie przejmuj się. Dogonimy go.

— Skąd wiesz?

W odpowiedzi rewolwerowiec mógł tylko potrząsnąć głową. Przeczucie, że tak się stanie, tkwiło w nim głęboko... ale nie było to dobre przeczucie.

Po posiłku umył puszki, z których jedli (dziwiąc się ponownie, jak można tak marnować wodę). Gdy się odwrócił, Jake znowu spał. Rewolwerowiec poczuł w piersi znajome falowanie, które sprawiło, że pomyślał o Cuthbercie. Cuthbert był rówieśnikiem Rolanda, wydawał się jednak o wiele młodszy.

Kiedy papieros zwisał mu z ust, wrzucił go do ogniska. Spojrzał w jasny żółty płomień, tak odmienny, o wiele czystszy od tego, jakim paliło się diabelskie ziele. Powietrze było cudownie chłodne. Położył się plecami do ogniska, z daleka, z wąwozu, który wiódł w głąb gór, dobiegał niemilkący niski pomruk grzmotu. Rewolwerowiec zasnął, i przyśnił mu się sen.

\* \* \*

„Susan, jego ukochana, umierała na jego oczach.

Trzymany za ręce przez dwóch wieśniaków, z szyją uwięzioną w wielkiej zarzewiałej żelaznej kunie, patrzył, jak umiera. Nawet przez gryzący swąd ognia czuł wilgotny zapach lochów... i widział kolor własnego szaleństwa. Susan, uroczą dziewczyną z okna, córka koniucha. Czerniała w płomieniach, jej skóra pękała z trzaskiem.

— Chłopiec! — krzyczała. — Rolandzie, chłopiec!

Odwrócił się, pociągając za sobą swoich prześladowców. Kuna pękła przy

szy i usłyszał ochryple zdławione dźwięki, które wydobywały się z jego gardła. W powietrzu unosił się przyprawiający o mdłości słodkawy zapach przypiekanego mięsa.

Chłopiec spoglądał na niego z okna osadzonego wysoko nad dziedzińcem, tego samego okna, skąd Susan, dzięki której stał się mężczyzną, śpiewała kiedyś stare piosenki: „Hey Jude”, „Ease on Down the Road” i „Hundred Leagues to Banberry Cross”. Stał w oknie, niczym alabastrowy posąg świętego w katedrze. Oczy miał z marmuru w jego czole tkwił szpikulec.

Rewolwerowiec poczuł zduszony świdrujący wrzask, który sygnalizował rodzące się w jego trzewiach szaleństwo.”

— Nnnnnnnnn... . .

\* \* \*

Roland stłumił okrzyk bólu, czując, jak coś go parzy. Usiadł sztywno wyprostowany w ciemnościach, wciąż czując wokół siebie sen, dławiący go niczym obroza, którą miał założoną na szyję. Miotając się i obracając we śnie, wsadził rękę między gasnące polana.

Przyłożył dłoń do twarzy i poczuł, jak sen umyka. Przed oczyma pozostał mu tylko wyraźny obraz gipsowo białego Jake’a, świętego oddanego na pastwę demonom.

— Nnnnnnnnnnn... . .

Trzymając w rękach dwa odbezpieczone rewolwery, omiół wzrokiem mistyczny mrok wierzbowego gaju. W gasnącym blasku ogniska jego oczy wyglądały jak dwa czerwone otwory strzelnicze.

— Nnnnnnn-nnn... . .

Jake.

Rewolwerowiec zerwał się z ziemi i pognał przed siebie. Na niebo wzeszedł gorzki krąg księżycy i widać było ślad, jaki chłopiec pozostawił w rosie. Pochylił głowę pod pierwszymi wierzbami, przeskoczył przez strumień, rozbryzgując wodę (jego ciało syciło się nią nawet teraz) i poślizgnął się na błotnistym drugim brzegu. Wierzbowe witki smagały go po twarzy. Drzewa rosły tutaj gęściej i zasłoniły księżyc. Ich pnie stały w skośnych cieniach. Trawa, teraz dochodząca do kolan, siekła go po nogach, na pół zgniłe, martwe gałęzie sięgały ud i jader. Rewolwerowiec zatrzymał się, podniósł głowę i przez chwilę węszył w powietrzu. Pomógł mu lekki powiew wiatru. Chłopiec oczywiście nie pachniał zbyt pięknie; dotyczyło to zresztą ich obu. Nozdrza rewolwerowca rozchyliły się jak u małpy. Odór potu był słaby, tłusty, niezaprzeczalny. Rewolwerowiec przebił się przez

gąszcz trawy, jeżyn i połamanych konarów i przebiegł tunelem, który tworzyły zwisające gałęzie wierzb i sumaków. Mech opadał mu na ramiona, czepiał się go szarymi smętnymi wąsami.

Pokonawszy ostatnią barykadę wierzb, wybiegł na polanę, z której otwierał się widok na gwiazdy i najwyższy szczyt pasma, bielejący niczym czaszka na niewyobrażalnej wysokości.

Stał tam krąg wysokich czarnych kamieni, które w świetle księżyca wyglądały jak jakaś nierealna pułapka na zwierzęta. Pośrodku znajdował się kamienny stół... ołtarz. Bardzo stary, wsparty na potężnej bazaltowej podstawie.

Chłopiec stał przed ołtarzem, kołysząc się w przód i w tył. Opuszczone po bokach ręce trzęsły mu się, jakby ktoś naładował je prądem. Kiedy rewolwerowiec zawołał go głośno po imieniu, Jake odpowiedział tym samym nieartykułowanym pomrukiem negacji. Zasłonięta częściowo lewym ramieniem, zacierająca się w mroku twarz wydawała się jednocześnie przerażona i zachwycona, i było coś jeszcze.

Rewolwerowiec wszedł w krąg. Jake krzyknął, cofnął się i podniósł w górę ręce. Teraz jego twarz była lepiej widoczna — dawała się opisać. Rewolwerowiec zobaczył na niej lęk i grozę walczącą o lepsze z niemal bolesnym grymasem rozkoszy.

Miał wrażenie, że dotyka go duch wyroczeni, *succubus*. Lędźwie wypełniło mu nagle różowe światło, światło, które było jednocześnie miękkie i twarde. Poczuł, jak jego głowa obraca się, a język puchnie i staje się boleśnie wrażliwy nawet na pokrywającą go ślinę.

W ogóle nie myśląc, wyciągnął na pół zgniłą kość zuchwy z kieszeni, w której tkwiła, odkąd odnalazł ją w jamie Mówiącego Demona w przydrożnym zajeździe, w ogóle nie myśląc, lecz nie przeszkodziło mu to działać na podstawie czystego instynktu. Trzymając przed sobą wykrzywioną w prehistorycznym uśmiechu zuchwę, wyciągnął sztywno drugą rękę i rozczapierzył pierwszy i ostatni palec w starożytnym widlastym znaku odczyniającym zły urok.

Fala zmysłowości uleciała niczym zerwana z okna kotara.

Jake ponownie krzyknął.

Rewolwerowiec podszedł do niego i podsunął zuchwę przed oczy, w których malowały się sprzeczne uczucia. Wilgotny bełkot bólu. Chłopiec próbował odwrócić wzrok, lecz nie zdołał. Oczy stanęły nagle w słup, odsłaniając białka, i upadł. Jego ciało osunęło się miękko na ziemię, jedna ręka musnęła ołtarz. Rewolwerowiec przykleknął na jedno kolano i podniósł go. Po długim marszu przez pustynię chłopiec był zdumiewająco lekki, odwodniony niczym listopadowy liść.

Wszędzie dookoła Roland czuł obecność istoty, która żyła w kamiennym kręgu i furkotała teraz z gniewną zazdrością — odebrano jej zdobycz. Kiedy opuścił krąg, aura frustracji i zazdrości osłabła. Zaniósł Jake'a do obozu. Gdy tam dotarli, nieświadome konwulsje chłopca przeszły w głęboki sen. Rewolwerowiec przysta-

nał na chwilę przy szarych szczątkach ogniska. Oświetlona księżycową poświatą twarz Jake'a przypomniła mu ponownie kościelnego świętego, wyrzeźbionego z niespotykanej czystości alabastru. Nagle uściskał chłopca, uświadamiając sobie, że go kocha. Wydawało mu się, że słyszy dobiegający gdzieś z wysoka śmiech człowieka w czerni.

\* \* \*

Jake krzyczał; to go obudziło. Wcześniej przywiązał go mocno do jednego z rosnących nieopodal krzaków i chłopiec był głodny i podenerwowany. Sądząc po słońcu, zbliżało się wpół do dziesiątej.

— Dlaczego mnie związałeś? — zapytał z oburzeniem Jake, kiedy rewolwerowiec poluzował grube węzły koca. — Nie miałem zamiaru uciekać!

— Uciekłeś — odparł rewolwerowiec i uśmiechnął się, widząc minę Jake'a. — Musiałem po ciebie pójść. Chodziłeś we śnie.

Jake zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

— Naprawdę?

Rewolwerowiec pokiwał głową i nagle wyjął z kieszeni zuchwę. Przysunął ją do twarzy chłopca, a ten cofnął się i zasłonił ramieniem.

— Widzisz?

Jake kiwnął z zakłopotaniem głową.

— Muszę teraz na jakiś czas odejść — powiedział rewolwerowiec. — Może mnie nie być przez cały dzień. Więc słuchaj dokładnie. To ważne. Jeśli nie wrócę przed zachodem słońca. . .

Na twarzy Jake'a odbił się lęk.

— Zostawiasz mnie! — Rewolwerowiec spojrzał mu szczerze w oczy. — Nie — stwierdził po chwili Jake. — Chyba nie.

— Kiedy odejdę, nie chcę, żebyś się stąd ruszał, a jeśli poczujesz się dziwnie. . . w jakikolwiek sposób. . . weź tę zuchwę i przytrzymaj ją w dłoniach.

Na twarzy chłopca odbiły się: nienawiść, wstręt i zakłopotanie.

— Nie potrafię. . . po prostu nie potrafię.

— Potrafisz. Może będzie to konieczne. Zwłaszcza po południu. To ważne. Rozumiesz?

— Dlaczego musisz odejść? — wybuchnął Jake.

— Po prostu muszę.

Dostrzegł kolejny fascynujący błysk stali pod łagodną powierzchnością chłopca, błysk tak samo tajemniczy jak opowieść o jego rodzinnym mieście, gdzie budynki były tak wysokie, że naprawdę sięgały chmur.

— W porządku — mruknął.

Rewolwerowiec położył ostrożnie żuchwę na ziemi obok szczątków ogniska. Leżąc w trawie, szczyrzyła zęby niczym jakaś zwietrzała skamielina, która ujrzawszy światło dnia po trwającej pięć tysięcy lat nocy. Jake nie chciał na nią patrzeć. Miał pobladłą, wymizerowaną twarz. Rewolwerowiec zastanawiał się, czy nie uśpić go i nie zadać kilku pytań, lecz uznał, że niewiele to przyniesie pożytku, i bez tego wiedział, że duch kamiennego kręgu jest z pewnością demonem i najprawdopodobniej również wyrocnią. Demonem bez kształtu, wyłącznie czymś w rodzaju seksualnego powabu, obdarzonego zdolnościami profetycznymi. Zastanawiał się zgryźliwie, czy to nie dusza Sylvii Pittston, gigantycznej niewiasty, której religijne prestidigitatorstwo doprowadziło do ostatecznego upadku miasta Tuli, ale wiedział, że to nie ona. Kamienie w kręgu były starożytne; to konkretne siedlisko demona. Wzniesiono na długo przed nastaniem prehistorii. Znał jednak całkiem dobrze zaklęcia i nie sądził, by chłopiec musiał posłużyć się magią żuchwy. Głos i umysł wyroczeni będą zbyt zaabsorbowane nim samym, a on musiał poznać pewne rzeczy mimo ryzyka. . . które było wysokie. Ze względu na Jake'a i na samego siebie desperacko pragnął je poznać.

Otworzył swój woreczek i pogrzebał w nim, odsuwając na bok suche listki tytoniu, aż trafił palcami na zawinięty w biały papier mikroskopijny przedmiot. Przez chwilę ważył go w ręku, patrząc z roztargnieniem w niebo. Wreszcie odwinął papier i położył na dłoni zawartość — białą tabletkę, której krawędzie pokruszyły się w trakcie wędrówki.

Jake spojrzał na niego z zaciekawionym.

— Co to jest?

Rewolwerowiec parsknął śmiechem.

— Kamień filozoficzny — odparł. — Cort opowiadał nam, że meskalinę stworzyli Starzy Bogowie, sikając na pustynię.

Jake zrobił zdziwioną minę.

— To narkotyk — wyjaśnił rewolwerowiec. — Ale nie taki, który cię usypia. Po tym jesteś przez jakiś czas bardziej pobudzony.

— Jak po LSD — stwierdził z miejsca chłopiec i znowu zrobił zdziwioną minę.

— Co to takiego?

— Nie wiem — mruknął Jake. — Tak mi się wymknęło. Myślę, że to się wzięło. . . no, wiesz. . . z tego, co było wcześniej.

Rewolwerowiec pokiwał głową, lecz wątpliwości pozostały. Nigdy nie słyszał, żeby meskalinę nazywano LSD, nawet w starych książkach Martena.

— Czy to ci nie zaszkodzi? — zapytał Jake.

— Nigdy dotąd nie zaszkodziło — odparł rewolwerowiec, zdając sobie sprawę, że udzielił wymijającej odpowiedzi.

— Nie podoba mi się to.



— Nie szkodzi.

Rewolwerowiec ukląkł przed bukłakiem, nabrał wody do ust i połknął tabletkę. Tak jak zawsze, poczuł natychmiastową reakcję w ustach: wydawały się przepełnione śliną. Usiadł przy wygasłym ognisku.

— Kiedy zaczniesz się z tobą coś dziać? — zapytał Jake.

— Nie tak prędko. Cicho.

Jake umilkł i obserwował podejrzliwie rewolwerowca, który przystąpił spokojnie do rytuału czyszczenia rewolwerów. Po jakimś czasie wsunął je z powrotem do kabur.

— Daj mi swoją koszulę, Jake — powiedział.

Chłopiec ściągając niechętnie spłowiałą koszulę przez głowę i podał rewolwerowcowi.

Ten wyciągnął igłę z bocznego szwu dzinsów i nici z pustego miejsca na nabój przy pasie i zaczął zszywać długie rozdarcie na jednym z rękawów. Kiedy skończył i oddał koszulę, zaczęła działać meskalina — miał uczucie, że zaciska mu się żołądek i wszystkie mięśnie przestawiają się na wyższy bieg.

— Muszę iść — oznajmił, wstając.

Chłopiec uniósł się, z zatroskaną twarzą, a potem z powrotem usiadł.

— Uważaj — powiedział. — Proszę.

— Pamiętaj o żuchwie — przypomniał mu rewolwerowiec.

Odchodząc, położył dłoń na głowie Jake'a i zmierzwił jego włosy koloru kukurydzy. Własny gest zaskoczył go, i parsknął śmiechem. Jake patrzył za nim z pełnym niepokojem uśmiechem, aż zniknął między wierzbami.

Rewolwerowiec podążał prosto do kamiennego kręgu, przystając tylko raz, by napić się zimnej wody ze strumienia. Zobaczył swoje odbicie w niewielkim oczku wodnym, okolonym mchem i nenufarami, i przez chwilę przyglądał mu się, urzeczony niczym Narcyz. Jego mózg zaczął reagować na narkotyk, zwalniasz bieg myśli i wyraźnie pogłębiając konotacje każdej idei, każdego świadectwa zmysłów. Rzeczy nabrały ciężaru i rozmiarów, które dotąd pozostawały niezauważalne. Rewolwerowiec wyprostował się i wbił wzrok w splątany gąszcz wierzb, przez który przebijało się złocistą ukośną smugą słońce. Zanim ruszył dalej, śledził przez chwilę grę pyłków i malutkich fruwających drobin.

Narkotyk często wprawiał go w niepokój; jego osobowość była zbyt silna (albo może zbyt prosta), by sprawiało mu przyjemność zrzucenie skóry, obnażenie się, odsłonięcie na silniejsze emocje, które łechtały go niczym kocie wąsy. Tym razem jednak był względnie spokojny. To dobrze.

Wyszedł na polanę i stanął w kręgu, pozwalając luźno biec myślom. Owszem, reakcja była teraz szybsza i mocniejsza. Trawa wrzeszczała na niego zielenią; wydawało mu się, że jeśli pochyli się i wytrze o nią ręce, zielona farba pokryje wszystkie palce i całe dłonie. Opanował figlarną pokusę, by to sprawdzić.

Wyroczenia się nie odzywała. Nie czuł seksualnego pociągu.

Podszedł do ołtarza i na chwilę przy nim stanął. Koherentne myślenie było teraz niemal niemożliwe. Jego zęby dziwnie się czuły w szczękach. Na świecie było za dużo światła. Wspiął się na ołtarz i położył na plecach. Jego umysł stał się dżunglą dziwnych myśli-roślin, których nigdy przedtem nie widział ani nie podejrzewał, że istnieją; wierzbową dżunglą, która wyrosła bujnie wokół strumienia meskaliny. Niebo było wodą i unosił się zawieszony nad jej taflą. Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy, który wydawał się jednak odległy i pozbawiony znaczenia.

Przypomniał sobie fragment starego wiersza, nie tamtej rymowanki, o nie; jego matka bała się leków i konieczności ich zażywania (podobnie jak bała się Corta i konieczności korzystania z usług tego dręczyciela chłopców); ten wiersz usłyszał od jednego z Danów mieszkających na północ od pustyni, tam gdzie ludzie żyli wśród maszyn, które na ogół nie działały. . . a jeśli działały, czasami pożerały ludzi. Wiersz tłukł mu się po głowie, przypominając (w charakterystyczny dla meskalinowego transu luźny sposób) śnieg padający w szklanej kuli, którą miał jako dziecko — mistyczny i na pół fantastyczny śnieg.

*Poza zasięgiem rodzaju ludzkiego  
Kropelka piekła, dotyk dziwnego. . .*

W drzewie, które rosnęło nad ołtarzem, pojawiły się twarze. Rewolwerowiec wpatrywał się w nie z niedbałym urzeczeniem. Oto smok, zielony i podrygujący. Oto leśna nimfa, dająca znaki konarami ramion. Oto żywa trupia czaszka pokryta śluzem. Twarze. Twarze.

Trawa na polanie nagle się pochyliła i zafalowała.

„Idę.”

„Idę.”

Poczuł niewyraźne mrowienie. Jak daleko zaszedłem, pomyślał. Od baraszkowania w słodkim sianie z Susan aż do tego miejsca.

Przywarła do niego ciałem utkanym z wiatru, piersiami pachnącymi jaśminem, różą i kapryfolium.

— Przepowiedz przyszłość — powiedział.

W ustach czuł metal.

Westchnienie. Niewyraźny odgłos płaczu. Przyrodzenie rewolwerowca podniosło się i stwardniało. Nad sobą i nad wyzierającymi z liści twarzami widział góry — twarde, brutalne, poszczerbione.

Ciało napierało na niego, walczyło z nim. Poczuł, jak jego dłonie zaciskają się w pięści. Wyrocznia zesała mu wizję Susan. Nad sobą miał Susan, uroczą Susan z okna, czekającą nań z rozpuszczonymi na plecach włosami. Odrzucił do tyłu głowę, ale jej twarz podążyła za jego wzrokiem.

„Jaśmin, róża, kapryfolium, stare siano. . . zapach miłości. Kochaj mnie.”

— Przepowiedz przyszłość — powtórzył.

„Proszę”, zapłakała wyrocznia. „Nie bądź zimny. Zawsze tu tak zimno. . .”

Dłonie sunące po jego ciele, manipulujące, rozpalające w nim ogień. Przyciągające go. Czarna szpara wyuzdanej rozpusty. Wilgotna i ciemna. . .

Nie. Sucha. Zimna. Sterylna.

„Miej odrobinę litości, rewolwerowcze. Och proszę, błagam o zmiłowanie. Litości!”

Czy ulitowałabyś się nad chłopcem?

„Jakim chłopcem? Nie znam żadnego chłopca. To nie chłopców potrzebuję. Och, proszę.”

„Jaśmin, róża, kapryfolium. Suche siano ze swoim zapachem letniej koniczyny. Olejek ze starożytnych urn. Szaleństwo zmysłów.”

— Później — powiedział.

„Teraz. Proszę. Teraz.”

Pozwolił, by jego umysł odsunął się od niej, stał się antytezą uczucia. Wiążące nad nim ciało znieruchomiało i jakby krzyknęło. Między skrońmi poczuł gwałtownie przeciąganą linę — to jego umysł był liną, szarą, splecioną z wielu włókien. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko cichy szmer jego oddechu i szum wiatru, pod którego tchnieniem zielone twarze na drzewach unosiły się, mrugały, wykrzywiały w grymasie. Nie śpiewał żaden ptak.

Jej uścisk osłabł. Znów rozległ się cichy szloch. Musiał to załatwić szybko; wiedział, że w przeciwnym razie ona odejdzie. Pozostanie oznaczało dla niej utratę sił, być może nawet jej własny rodzaj śmierci. Czuł, jak przesuwają się, by opuścić kamienny krąg. Wiatr torturował trawę.

— Przepowiednia — powiedział.

Srogie słowo.

Usłyszał płaczące, zmęczone westchnienie. Był już prawie gotów udzielić jej łaski, o którą błagała, ale przypomniał sobie Jake’a. Gdyby ostatniej nocy choć trochę się spóźnił, zastałby go martwego lub obłąkanego.

„Więc zaśnij.”

— Nie.

„Więc zapadnij w półsen.”

Rewolwerowiec odwrócił wzrok ku twarzom w liściach. Dla jego rozrywki zaczęło się już tam przedstawienie. Rodziły się przed nim i upadały światy. Na lśniących piaskach, gdzie w abstrakcyjnych elektronicznych konwulsjach mozoły się niespożyte maszyny, powstawały i chyliły się ku upadkowi imperia. Koła, które niegdyś kręciły się bezgłośnie i szybko, teraz zwolniły, zaczęły skrzypieć i zgrzytać, stanęły. Piasek zasypał nierdzewne stalowe rynsztoki koncentrycznych ulic pod ciemnymi firmamentami, na których gwiazdy świeciły niczym zimne klejnoty, i wszędzie tam hulał słabnący wiatr zmian, niosąc ze sobą cynamonowy zapach późnego października. Rewolwerowiec patrzył, jak świat idzie naprzód.

I zapadł w półsen.

\* \* \*

„Trzy. To liczba twojego przeznaczenia.”

Trójka?

„Tak, trójka jest mistyczna. Trójka stoi w sercu mantry.”

Jaka trójka?

„Widzimy tylko we fragmentach i w tym miejscu zwierciadło wyroczni po-ciemniało.”

Powiedz mi, co możesz.

„Pierwszy jest młody, ciemnowłosy. Stoi na krawędzi rozboju i morderstwa. Opętał go demon. Imię demona brzmi HEROINA.”

Jaki to demon? Nie znam go, nawet z dziecinnych opowieści.

„Widzimy tylko we fragmentach, a w tym miejscu zwierciadło wyroczni po-ciemniało. Są inne światy, rewolwerowcze, i są inne demony. Te wody są głębo-  
kie.”

A drugi?

„Przybywa na kołach. Ma żelazny umysł, ale jego serce i oczy są miękkie. Nic więcej nie widzę.”

A trzeci?

„W łańcuchach.”

Człowiek w czerni? Gdzie on jest?

„Blisko. Będziesz z nim mówił.”

O czym będziemy mówić?

„O Wieży.”

Co z chłopcem? Co z Jake'em?

„...”

Opowiedz mi o chłopcu!

„Chłopiec jest twoją furtką do człowieka w czerni. Człowiek w czerni jest twoją furtką do trójki. Trójka poprowadzi cię do Mrocznej Wieży.”

Jak? Jak to możliwe? Dlaczego tak musi być?

„Widzimy tylko we fragmentach, a w tym miejscu zwierciadło...”

Niech cię diabli wezmą!

„Nie weźmie mnie żaden diabeł.”

Nie traktuj mnie protekcjonalnie. Jestem silniejszy od ciebie.

„...”

Więc jak cię nazywają? Gwiazdną dziwką? Kurwą wiatrów?

„Jedni żywią się miłością, która nawet w tych smutnych złych czasach pojawia się w pradawnych miejscach. . . Inni, rewolwerowcze, żywią się krwią, z tego, co wiem, nawet krwią małych chłopców.”

Czy chłopiec może zostać oszczędzony?

„Tak.”

W jaki sposób?

„Zatrzymaj się, rewolwerowcze. Rozbij obóz i ruszaj na Zachód. Na zachodzie wciąż potrzebni są ludzie, którzy zarabiają na życie bronią palną.”

Jestem zaprzysiężony. Przysięgłem na rewolwery mojego ojca i na zdradę Martena.

„Martena już nie ma. Człowiek w czerni pożarł jego duszę. To już wiesz.”

Przysięgłem.

„W takim razie bądź przeklęty.”

Rób ze mną, co chcesz, dziwko.

\* \* \*

Gotowość.

Cień zawisł nad nim, pokrył go. Nagłą ekstazę zakłócała tylko galaktyka bólu, słabego i jasnego niczym wybuchające czerwone karły, w szczytowym momencie ich kopulacji ukazały mu się nieproszone twarze: Sylvii Pittston, Alice, kobiety z Tuli, Susan, Aileen i setki innych.

I w końcu, po chwili, która trwała wieczność, odsunął się od niej, ponownie w pełni władz umysłowych, skonany i zde gustowany.

„Nie! To nie wystarczy! To. . .”

— Puść mnie — powiedział. Usiadł i, próbując wstać, o mało nie spadł z ołtarza. Dotknęła go nieśmiało

(„kapryfolium, jaśmin, słodki różany olejek”)

a on odepchnął ją gwałtownie, padając na kolana.

Podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył ku granicy kręgu. Przekroczywszy ją, czuł, jak wielki ciężar spada mu z ramion. Kiedy zaczerpnął tchu, z gardła wydarł mu się krótki szloch. Odchodząc, czuł jej obecność. Stała przy kratkach swojego więzienia, patrząc, jak się oddala. Zastanawiał się, ile może minąć czasu, nim ktoś inny pokona pustynię i odnajdzie ją, wygłodniałą i samotną. Przez moment poczuł się bardzo mały w obliczu przemijania.

\* \* \*

— Jesteś chory!

Widząc rewolwerowca, który wyszedł zza drzew, powłócząc nogami, Jake poderwał się z ziemi. Wcześniej siedział tuż przy ognisku, z kością żuchwy przed kolanami, obgryzając nerwowo królicze kości. Teraz podbiegł do rewolwerowca z tak zboląłą miną, że Roland poczuł paskudny ciężar zbliżającej się zdrady — zdrady, która, czuł to, mogła stać się pierwszą z wielu.

— Nie — odparł. — Nie jestem chory. Tylko zmęczony. Padam z nóg. Możesz to wywalić — dodał, wskazując niedbałym gestem kość żuchwy.

Jake odrzucił ją szybko i gwałtownie, po czym wytarł dłonie o koszulę.

Rewolwerowiec usiadł — nieomal padł — czując ból w stawach i w poobijanej spuchniętej głowie. Zdawał sobie sprawę, że to smutne konsekwencje zażycia meskaliny. Jego krocze również pulsowało tęnym bólem. Skręcił sobie papierosa z niespieszną, bezmyślną starannością. Jake obserwował go. Rewolwerowiec zapragnął nagle wyjawić mu, czego się dowiedział, a potem porzucił ze zgrozą ten pomysł. Zastanawiał się, czy jakaś jego część — umysł albo dusza — nie ulega właśnie dezintegracji.

— Prześpimy się tutaj — stwierdził. — Jutro ruszamy w góry. Trochę później przejdę się i zobaczę, może uda się upolować coś na kolację. Teraz muszę się przespać, w porządku?

— Jasne.

Rewolwerowiec kiwnął głową i położył się. Kiedy się obudził, na niewielkiej trawiastej polanie kładły się długie cienie.

— Rozpal ognisko — polecił Jake'owi, rzucając mu hubkę i krzesiwo. — Potrafisz się tym posługiwać?

— Tak, chyba tak.

Rewolwerowiec ruszył w stronę wierzbowego gaju, a potem skręcił w lewo, omijając go, w miejscu, gdzie zaczynało się otwarte wzniesienie, schował się w cieniu. Słyszał stąd wyraźnie ciche klik-klink-klik-klink krzeszącego iskry Jake'a. Stał bez ruchu przez dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut, w końcu nadeszły trzy króliki i pociągnął za spust. Zabił dwa najtłustsze, oprawił ze skóry, wypatroszył i wrócił do obozu. Jake zdążył zapalić ognisko, woda już się gotowała.

Rewolwerowiec pokiwał z uznaniem głową.

— Dobrze się spisałeś.

Chłopiec pokraśniał z radości i bez słowa oddał mu krzesiwo i hubkę.

W czasie gdy gotował się gulasz, rewolwerowiec wykorzystał ostatnie promienie słońca, żeby wrócić do wierzbowego gaju. Przy pierwszym oczku wodnym

ściął twarde pędy, które rosły blisko bagnistego brzegu. Później, gdy Jake zaśnie i wypali się ognisko, miał zamiar spleść je w liny, które mogły im się przydać, w gruncie rzeczy jednak nie spodziewał się, by wspinaczka okazała się szczególnie trudna. Miał wrażenie, że wszystko zostało już przesądzone, i przestał się temu dziwić. Pędy zakrwawiły zielonym sokiem jego ręce, kiedy niósł je tam, gdzie czekał na niego Jake.

\* \* \*

O świcie wstali i spakowali się w pół godziny. Rewolwerowiec miał nadzieję, że ustrzeli kolejnego królika na łące, ale czasu było niewiele, a żaden się nie pokazał. Tobołek z jedzeniem był teraz tak mały, że mógł go z łatwością nieść Jake. Chłopiec zahartował się; było to wyraźnie widać.

Rewolwerowiec niósł bukłaki, które napełnił świeżą wodą z jednego ze strumieni. Tors owinął trzema linami z pędów. Obeszli szerokim łukiem kamienny krąg (rewolwerowiec obawiał się, że chłopca może ogarnąć lęk, ale kiedy mijali ołtarz, idąc górą, Jake spojrzał na niego przelotnie i zaraz potem zainteresował się szybującym wysoko ptakiem). Wkrótce drzewa zrobiły się mniejsze i nie tak bujne. Miały powykrzywiane pnie, ich korzenie wydawały się walczyć z ziemią, wysysając z niej z udręką soki.

— To wszystko jest takie stare — stwierdził ponuro Jake, kiedy zatrzymali się, żeby odpocząć. — Czy nie ma tu niczego młodego?

Rewolwerowiec uśmiechnął się i trącił go łokciem.

— Ty jesteś młody.

— Czy wspinaczka będzie trudna?

Spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Góry są wysokie. Nie wydaje ci się, że wspinaczka powinna być trudna?

Jake zmierzył go roztargnionym spojrzeniem.

— Nie — odpowiedział.

Ruszyli w dalszą drogę.

Słońce stało w zenicie krócej, niż wtedy, gdy przemierzali pustynię, a potem podjęło wędrówkę, zwracając im ich cienie. Skalne półki wyrastały ze zboczy niczym zakopane w ziemi poręcze olbrzymich foteli. Trawa była pożółkła i wyschnięta. Na koniec drogę przecięła im głęboka jak komin szczelina i musieli wspiąć się na niewielką osypującą się skałę, żeby ją ominąć. Stary granit pokruszył się, pozostawiając podobne do szczebli rysy i zgodnie z tym, czego się obaj spodziewali, wspinaczka okazała się dość prosta. Po jakimś czasie zatrzymali się na szerokiej na cztery stopy półce i spojrzeli na pustynię otaczającą góry niczym

wielkie żółte łapsko. Świeciła ku nim z oddali białą tarczą, która raziła oko, a w dalszej odległości rozmywała się w falach rozgrzanego powietrza. Rewolwerowiec uświadomił sobie z pewnym zdziwieniem, że o mało tam nie zginął, z miejsca, w którym stali, delektując się nowym dla nich chłodem, pustynia z pewnością wydawała się imponująca, lecz nie zabójcza.

Po chwili ruszyli dalej, pokonując osypiska kamieni i wspinając się na czworakach po nakrapianej kwarcem i miką pochyłej skale. Granit był przyjemnie ciepły w dotyku, ale powietrze zdecydowanie chłodniejsze. Późnym popołudniem rewolwerowiec usłyszał odgłos grzmotu, wznoszące się przed nimi góry zasłaniały jednak widok na drugą stronę, gdzie padał deszcz.

Kiedy cienie przybrały barwę fioletu, rozbili obóz pod skalnym nawisem. Rewolwerowiec rozpostarł koc, tworząc z niego rodzaj namiotu. Usiedli w jego wejściu i patrzyli, jak niebo osłania świat peleryną. Jake zwiesił nogi, które dyndały nad przepaścią. Rewolwerowiec skrzył sobie wieczornego papierosa i zmierzył go rozbawionym spojrzeniem.

— Nie obracaj się we śnie — powiedział — bo możesz obudzić się w piekle.

— Nie będę się obracał — odparł poważnym tonem Jake. — Moja mama mówi... — dodał i nagle urwał.

— Co takiego mówi?

— Że śpię jak zabity — dokończył Jake.

Rewolwerowiec zobaczył, że drżą mu wargi i próbuje powstrzymać łzy. To tylko mały chłopiec, pomyślał i przeszył go ból, zimny niczym wbijający się w czoło lodowy sopel. To tylko mały chłopiec. Dlaczego? Głupie pytanie

Gdy jakiś chłopiec, zraniony na ciele lub duszy, zadawał je, krzycząc, Cortowi, tej pokiereszowanej starej machinie bojowej, której zadaniem było nauczenie synów rewolwerowców początków tego, czego musieli się nauczyć, Cort odpowiadał mu: „,,Dlaczego” to zakrzywiona litera i nie sposób jej wyprostować... nigdy nie zastanawiaj się dlaczego, po prostu wstawaj, ofermo. Wstawaj! Dzień jest jeszcze młody!”

— Dlaczego tutaj jestem? — zapytał Jake. — Dlaczego wyleciało mi z głowy wszystko, co było przedtem?

— Ponieważ ściągnął cię tu człowiek w czerni — odpowiedział rewolwerowiec. — I z powodu Wieży. Wieża stoi... jakby w punkcie przecięcia energii, w czasie.

— Nie rozumiem tego!

— Ja też — przyznał rewolwerowiec. — Ale coś się dzieje, w moim własnym czasie. Świat poszedł naprzód, mówimy... zawsze to mówiliśmy. Teraz jednak posuwa się szybciej. Coś się stało z czasem.

Siedzieli w milczeniu. Spod ich stóp zerwał się wiatr, niezbyt mocny, lecz kąśliwy, i zaświstał w skalnej szczelinie.

— Skąd pochodzisz? — zapytał Jake.



— Z miejsca, które już nie istnieje. Znasz Biblię?

— Jezus i Mojżesz. Jasne.

Rewolwerowiec uśmiechnął się.

— Zgadza się. Mój kraj miał biblijną nazwę. Nazywał się Nowy Kanaan. Kra-  
ina mlekiem i miodem płynąca, w biblijnym Kanaanie grona winnej latorośli były  
podobno tak wielkie, że ludzie musieli wozić je sankami. U nas nie rosły takie  
duże, ale to był słodki kraj.

— Słyszałem o Ulisesie — oznajmił z wahaniem Jake. — Czy o nim też piszą  
w Biblii?

— Może — odparł rewolwerowiec. — Teraz księga zaginęła. . . cała zaginęła,  
z wyjątkiem fragmentów, których musiałem nauczyć się na pamięć.

— Ale inni. . .

— Nie ma innych — przerwał rewolwerowiec. — Jestem ostatni.

Na niebie pojawił się wąski wyjąłowiony księżyc i spojrzał z ukosa na rumo-  
wisko, na którym siedzieli.

— Czy był ładny? Ten twój kraj?

— Był piękny — odpowiedział z roztargnieniem. — Były tam pola, rzeki  
i mgły o poranku. Ale te rzeczy są tylko ładne. Tak mówiła moja matka. . . i do-  
dawała, że jedyne prawdziwe piękno opiera się na porządku, miłości i świetle.

Jake mruknął bez przekonania.

Pałac papierosa, rewolwerowiec przypominał sobie przeszłość — wieczory  
w wielkiej centralnej sali, setki bogato odzianych postaci, sunących dostojnym  
krokiem w rytmie walca albo szybszej polki, Aileen wspartą na jego ramieniu, jej  
oczy jaśniejsze od najdroższych klejnotów, kryształowe żyrandole, których elek-  
tryczne światło migotało w świeżo ułożonych fryzurach kurtyzan oraz ich nieco  
cynicznych gachów. Sala była ogromna — wyspa światła, której czasu powstania  
nie sposób było określić, podobnie jak nie sposób było określić wieku całego Cen-  
tralnego Miejsca, składającego się z prawie stu kamiennych zaników. Od chwili  
kiedy tam ostatnio był, minęło dwanaście lat i odchodząc stamtąd wówczas, by  
wyruszyć śladem człowieka w czerni, odwracał z bólem twarz. Już wtedy jed-  
nak, przed dwunastu laty, ściany runęły, dziedzińce zarosły zielskiem, nietoperze  
zagnieździły się między wielkimi belkami centralnej sali, a w galeriach szumia-  
ły jaskółcze skrzydła. Pola, na których Cort uczył ich strzelania z łuku, obcho-  
dzenia się z bronią palną i sokołnictwa, zarosły trawą, tymotką i dzikim winem,  
w wielkiej rozbrzmiewającej echem kuchni, gdzie Hax utrzymywał kiedyś swój  
własny wonny dwór, żyła groteskowa kolonia Powolnych Mutantów, które łypały  
na niego ze spowitej w litościwym mroku spiżarni i zakamarków pod kolum-  
nami. Ciepłe opary, przesycone niegdyś drażniącym nozdrza zapachem wołowej  
i wieprzowej pieczeni, zostawiły po sobie wilgotny lepki mech, a w kątach, tam  
gdzie nie ośmielały się zapuszczać nawet Powolne Mutanty, rosły ogromne białe  
muchomory. Kłapa do wielkiej dębowej piwniczki była otwarta i wydobywał się

z niej odór najwyraźniejszy ze wszystkich — ostra woń wina, które zmieniło się w ocet, woń, która zdawała się symbolizować z bezapelacyjną nieuchronnością wszystko, co składa się na rozkład i zgniliznę. Pozostawienie tego za sobą i zwrócenie twarzy na południe nie wymagało od niego wewnętrznej walki — ale kiedy odchodził, bolało go serce.

— Czy wybuchła jakaś wojna? — zapytał Jake.

— Nawet lepiej — odparł rewolwerowiec i wyrzucił jarzący się niedopałek. — Wybuchła rewolucja. Wygraliśmy wszystkie bitwy i przegraliśmy wojnę. Tej wojny nikt nie wygrał, z wyjątkiem może szabrowników. Przez długie lata zbierali jeszcze bogate łupy.

— Żałuję, że mnie wtedy nie było — stwierdził z zadumą Jake.

— To był inny świat — powiedział rewolwerowiec. — Pora się obrócić.

Chłopiec, którego prawie nie widać było w mroku, obrócił się na drugi bok i zwinął pod okrywającym go luźno kocem. Rewolwerowiec może jeszcze przez godzinę pełnił przy nim wartę, snując długie trzeźwe myśli. Tego rodzaju medytacje były dla niego czymś nowym, na swój melancholijny sposób słodkim, aczkolwiek kompletnie pozbawionym praktycznego znaczenia: nie istniało inne rozwiązanie problemu Jake'a prócz tego, który zaproponowała wyrocznia i który nie wchodził po prostu w grę, w tej sytuacji mogły tkwić przesłanki tragedii, lecz rewolwerowiec tego nie widział; spostrzegał wyłącznie fatum, które było tam zawsze, w końcu górę wzięło jego bardziej naturalne usposobienie i zasnął głębokim, pozbawionym wizji snem.

\* \* \*

Nazajutrz wspinaczka stała się trudniejsza. Posuwali się w stronę wąskiej, przypominającej literę V szczeliny, którą wiodła droga przez góry. Rewolwerowiec wspinał się powoli, nie widząc potrzeby pośpiechu. Ślad człowieka w czerni nie odcisnął się w martwym kamieniu, ale rewolwerowiec wiedział, że szedł przed nimi tą drogą — nie tylko dlatego, że on i Jake widzieli wcześniej, jak podąża nią, mały i podobny do robaka. Jego zapach przynosił każdy chłodny powiew wiatru. Był oleisty i zgryźliwy, tak samo gorzki jak zapach diabelskiego ziela.

Włosy Jake'a urosły i kręciły się teraz lekko na opalonym karku. Wspinał się dzielnie, stawiając pewnie stopy i nie okazując lęku przestrzeni, kiedy pokonywali pionowe uskoki i pięli się po pokrytych występami ścianach. Dwa razy wdrapał się tam, gdzie nie udało się to rewolwerowcowi, i przymocował linę, po której ten zdołał wspiać się w górę.

Nazajutrz rano wspinali się w zimnych wilgotnych strzępach chmur, które za-

słoniły leżące niżej spiętrzone zbocza. Tu i ówdzie, w głębszych szczelinach, pojawiły się połacie twardego ziarnistego śniegu, który błyszczał jak kwarc i miał suchą piaskową fakturę. Tego popołudnia znaleźli pojedynczy ślad stopy, odcisnięty na jednej ze śnieżnych połaci. Jake przyglądał mu się przez chwilę ze straszliwą fascynacją, jakby spodziewał się, że człowiek w czerni zmaterializuje się w miejscu, gdzie pozostawił ślad. Rewolwerowiec poklepał go po ramieniu i wskazał ręką do przodu.

— Ruszaj. Robi się późno.

Rozbili obóz w ostatnich promieniach słońca na szerokiej płaskiej półce na północny wschód od szczeliny, która wiodła w głąb gór. Powietrze było mroźne; ich oddechy zamieniały się w obłoczki pary. Rozbrzmiewający w czerwono-fioletowej poświacie wilgotny pomruk grzmotu był nierzeczywisty, lekko obłądny.

Rewolwerowiec myślał, że chłopiec zechce się od niego czegoś dowiedzieć, ten jednak nie zadał mu żadnych pytań. Prawie natychmiast zapadł w sen. Rewolwerowiec poszedł za jego przykładem. Ponownie przyśniły mu się mroczne lochy w głębi ziemi i ponownie Jake jako alabastrowy święty z gwoździem przebijającym czoło. Obudził się z jękiem i instynktownie sięgnął po kość żuchwy, spodziewając się dotknąć trawy starożytnego gaju. Zamiast niej poczuł pod ręką skałę, a w płucach zimne, rozrzedzone powietrze. Jake spał przy jego boku, ale nie miał spokojnego snu; kręcił się i mamrotał niezrozumiale, ścigając własne upiory. Rewolwerowiec położył się z powrotem i z ciężkim sercem zasnął.

Minął kolejny tydzień, nim dotarli do końca początku — początku, którym dla rewolwerowca był trwający dwanaście lat powikłany prolog, od ostatecznego upadku jego rodzinnych stron i zebrania pozostałej trójki. Dla Jake'a furką była dziwna śmierć w innym świecie. Dla rewolwerowca była nią jeszcze dziwniejsza śmierć — niekończący się pościg za człowiekiem w czerni w świecie pozbawionym map i pamięci. Cuthbert i inni odeszli, wszyscy odeszli: Randolph, Jamie de Curry, Aileen, Susan, Marten (tak, wywlekli go i doszło do wymiany strzałów i nawet ten owoc okazał się gorzki). Aż w końcu ze starego świata pozostała tylko trójka — niczym trzy budzące grozę karty ze straszliwej talii tarota: rewolwerowiec, człowiek w czerni i Mroczna Wieża.

Tydzień po tym jak Jake zobaczył ślad, rewolwerowiec stanął na krótki moment twarzą w twarz z człowiekiem w czerni. Miał wówczas wrażenie, że potrafi zrozumieć brzemiennie implikacje samej Wieży; ten moment wydawał się trwać wiecznie.

Kontynuując wędrówkę na południowy zachód, pokonali mniej więcej połowę drogi przez gigantyczne górskie pasmo, w momencie gdy wydawało im się, że wspinać się po raz pierwszy naprawdę trudna (wiszące nad nimi lodowe nawisy i skalne ostrogi przyprawiały rewolwerowca o nieprzyjemny zawrót głowy), zaczęli schodzić bokiem wąskiej przełęczy. Zygzakowatą ścieżką dotarli

na dno kanionu, gdzie po oblodzonych kamieniach płynął rozhukany strumień, zasilany wodą spadającą z leżącego gdzieś wyżej stawu.

Po południu tego dnia chłopiec przystanął i spojrzął przez ramię na rewolwerowca, który mył twarz w strumieniu.

— Czuję jego zapach — powiedział.

— Ja też.

Góry wystawiły przed nimi ostatnią linię obrony — potężny blok niepokonanego granitu, którego szczyt ginał w zasnutej chmurami nieskończoności. Za każdym zakrętem strumienia rewolwerowiec spodziewał się zobaczyć wysoki wodospad i gładką skałę, która zagrodzi im dalszą drogę. Ale górskie powietrze skracało w dziwny sposób odległość i dopiero nazajutrz stanęli przed wielką granitową ścianą.

Rewolwerowiec ponownie miał wrażenie, że coś ciągnie go do przodu. Nie mógł oprzeć się przekonaniu, że wszystko znalazło się wreszcie w jego zasięgu, w końcu musiał się powstrzymać, żeby nie biec kłusem.

— Zaczekaj!

Chłopiec nagle się zatrzymał. Strumień zakręcał przed nimi pod kątem prostym; woda kipiała i pieniała się z olbrzymią energią, obmywając wielki piaskowcowy głaz. Przez cały ranek szli w cieniu gór; wąwóz robił się coraz węższy.

Jake gwałtownie dygotał i pobladła mu twarz.

— O co chodzi?

— Wracajmy — szepnął Jake. — Szybko stąd wracajmy.

Rewolwerowiec miał twarz jak z drewna.

— Słucham?

Chłopiec próbował powstrzymać drżenie podbródka. Zza ciężkiego kamiennego wału wciąż dobiegał pomruk gromu, regularny niczym warkot wgryzających się w ziemię maszyn. Rąbek nieba, który widzieli, przybrał odcień burzliwej gotyckiej szarości. Nad ich głowami walczyły zimne i ciepłe powietrzne prądy.

— Proszę! Proszę! — Chłopiec podniósł pięść, jakby chciał uderzyć rewolwerowca w pierś.

— Nie.

Jake spojrzął na niego ze zdumieniem.

— Masz zamiar mnie zabić. On zabił mnie za pierwszym razem, ty zabijesz mnie teraz.

Rewolwerowiec poczuł na końcu języka kłamstwo i wymówił je.

— Nic ci nie będzie — oznajmił i po chwili dodał jeszcze większe kłamstwo.

— Zaopiekuję się tobą.

Jake poszarzał na twarzy i nie powiedział nic więcej. Wyciągnął niechętnie rękę, pokonał razem z rewolwerowcem ostry zakręt i wtedy właśnie zobaczyli przed sobą skalną ścianę i człowieka w czerni.

Stał nie więcej niż dwadzieścia stóp nad nimi, po prawej stronie wodospadu, który tryskał z wielkiego poszczerbionego otworu w skale. Niewidoczny wiatr marszczył i szarpał jego szatę i kaptur, w jednej ręce trzymał laskę, drugą wyciągnął ku nim w drwiącym geście pozdrowienia. Wyglądał jak prorok; i pod tym pochmurnym niebem, stojąc wysoko na skalnej półce, wydawał się prorokiem zagłady. Jego głos był głosem Jeremiasza.

— Rewolwerowcze! Jakże trafnie wypełniasz przepowiednie starożytnych! Dzień dobry ci, dzień dobry, dzień dobry!

Roześmiał się i swoim śmiechem zagłuszył ryk spadającej wody.

Bez jednej myśli i bez żadnego wspomagania rewolwerowiec wyciągnął z kabur swoją broń. Chłopiec schował się skulony za jego prawym ramieniem.

Roland wypalił trzy razy, nim zdołał opanować zdradzieckie dłonie — mosiężne tony wystrzałów odbiły się echem od wznoszących się dookoła kamiennych ścian doliny, zagłuszając szum wody i wiatru.

Odłamki po pierwszym strzale odprysnęły od skały nad głową człowieka w czerni; odłamki po drugim na lewo, odłamki po trzecim na prawo od jego kaptura. Wszystkie trzy strzały były chybione.

Człowiek w czerni roześmiał się — zdrowym serdecznym śmiechem, nic sobie nie robiąc z zamierającego echa wystrzałów.

— Czyżbyś chciał uśmiercić tak szybko wszystkie swoje pytania, rewolwerowcze?

— Zejdź na dół — powiedział Roland. — Odpowiedzi są wokół nas.

Ponownie rozległ się potężny szyderczy śmiech.

— To nie twoich pocisków się boję, Rolandzie. Przerażeniem napełnia mnie twój koncept odpowiedzi.

— Zejdź na dół.

— Chyba po drugiej stronie — odparł człowiek w czerni. — Po drugiej stronie odbędziemy dłuższą naradę. — Jego oczy spoczęły na Jake'u. — Tylko my obaj — dodał.

Chłopiec cofnął się z cichym jękiem, a człowiek w czerni się odwrócił... jego habit załopotał niczym skrzydło nietoperza... i zniknął w skalnej szczelinie, z której z furją lała się woda. Rewolwerowiec całą siłą woli powstrzymał się od posłania za nim pocisku. „Czyżbyś chciał uśmiercić tak szybko wszystkie swoje pytania, rewolwerowcze?”

Teraz słychać było tylko szum wiatru i wody, dźwięki, które rozbrzmiewały w tym opuszczonym miejscu od tysiąca lat, a jednak tuż przed chwilą był tu człowiek w czerni. Po dwunastu latach Roland zobaczył go z bliska, rozmawiał z nim, i człowiek w czerni wyśmiał go.

„Po drugiej stronie odbędziemy dłuższą naradę.”

Chłopiec spojrział na niego potulnym wzrokiem. Cały drżał. Przez chwilę rewolwerowcowi wydawało się, że na jego twarz nakłada się twarz Alice, kobiety

z Tuli. Blizna na jej czole lśniła niczym nieme oskarżenie i poczuł do nich obojga głęboką niechęć (dopiero później uświadomił sobie, że zarówno blizna Alice, jak gwóźdź, który przebijał w jego snach czoło Jake'a, znajdują się dokładnie w tym samym miejscu). Jake domyślał się chyba, w jakim kierunku biega jego skojarzenia, z chłopca ust wydarł się jęk. Nie trwał długo; chłopiec zdusił go, zaciskając usta. Starał się zachowywać jak prawdziwy mężczyzna, być może mężczyzna, który w swoim czasie sam zostałby rewolwerowcem.

„Tylko my obaj.”

Gdzieś w mrocznym, nieokreślonym zakamarku swojego ciała rewolwerowiec poczuł ogromne i bezbożne pragnienie, pragnienie, którego nie mogło zaspokoić żadne wino. Światy drżały nieomal w zasięgu jego palców, a on w jakiś instynktowny sposób starał się nie ulec deprawacji, zdając sobie jednocześnie chłodno sprawę, że takie starania są daremne i zawsze takimi pozostaną.

Było południe. Podniósł wzrok, pozwalając, by niespokojne światło pochmurnego dnia oświetliło po raz ostatni zbyt wrażliwe słońce jego własnej prostolinijności. Tak naprawdę nikt nie płaci za to srebrem, pomyślał. Za jakiegokolwiek wyrządzone zło — konieczne bądź też inne — płaci się własną skórą.

— Chodź ze mną albo zostań — powiedział.

Chłopiec zmierzył go niemym spojrzeniem, i dla rewolwerowca — w tym ostatecznym i istotnym rozstaniu się z zasadami moralnymi — przestał być Jake'em i stał się tylko chłopcem, bezosobowym bytem, który można było przesuwać i używać.

Coś krzyknęło w wietrznym bezruchu; usłyszeli to obaj, on i chłopiec.

Rewolwerowiec ruszył przed siebie i po chwili Jake podążył w ślad za nim. Razem wdrapali się po skale obok chłodnego jak stal wodospadu i stanęli tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał człowiek w czerni, i razem weszli tam, gdzie zniknął. Pochłonęła ich ciemność.

# **Powolne mutanty**

Rewolwerowiec mówił powoli do Jake'a w unoszących się i opadających inkantacjach snu.

— Było nas trzech: Cuthbert, Jamie i ja. Nie powinniśmy tam się zakradać, ponieważ żaden z nas nie przeszedł jeszcze próby, która pozwoliłaby nam pożegnać się z dzieciństwem. Gdyby nas złapano, Cort zdarłby z nas pasy. Ale nikt nas nie złapał. Nie wydaje mi się, żeby złapano kogokolwiek z tych, którzy zakradli się tam przed nami. Chłopcy muszą przywdziewać na osobności spodnie swoich ojców, muszą przechadzać się w nich dumnie przed lustrem, a potem wieszać potajemnie z powrotem w szafie; to było coś takiego. Ojciec udaje, że nie widzi inaczej zawieszonych spodni ani wąsów, które wymalowali sobie pastą do butów pod nosem. Rozumiesz?

Chłopiec nie odpowiedział. Nie odezwał się ani słowem, odkąd przestało im przyświecać światło dnia. Rewolwerowiec przemawiał hektycznie, gorączkowo, żeby zagłuszyć jego milczenie. Nie oglądał się za siebie, kiedy szli mrocznym podziemnym korytarzem, lecz chłopiec robił to. Rewolwerowiec śledził mijający dzień w miękkim zwierciadle jego policzka: najpierw był to odcień gasnącego różu; potem mlecznego szkła; potem bladego srebra, potem ostatniej wieczornej poświaty, w końcu nie zobaczył nic. Skrzesał ogień i ruszyli dalej.

Teraz obozowali. Nie słyszeli echa kroków człowieka w czerni. Może też się zatrzymał, żeby odpocząć, a może przelatywał bez żadnych świateł pozycyjnych przez spowite w mroku pieczary.

— Bal urządzano raz do roku w Wielkiej Sali — mówił dalej rewolwerowiec. — Nazywaliśmy ją Salą Przodków. Ale to była po prostu Wielka Sala.

Do ich uszu dotarł odgłos kapiącej wody.

— Rytuały godowe. — Rewolwerowiec parsknął pogardliwie i bezduszne skały zmieniły jego śmiech w rżenie wariata. — w dawnych czasach, twierdziły książki, witano w ten sposób wiosnę, a jednak cywilizacja, sam rozumiesz. . .

Urwał, nie potrafiąc opisać zmiany, jaką sygnalizowało to zmechanizowane słowo; nie potrafiąc opisać śmierci romantyzmu i jego przyziemnego sterylne-go pogrobowca, podtrzymywanego przy życiu sztucznym oddechem splendoru i ceremonii; geometrycznych umizgów wielkanocnego balu, pojawiających się w miejscu szalonych gryzmołów miłości, których treści mógł się jedynie mgliście domyślać; pustego przepychu zamiast grzesznych niszczących pasji, które mogły niegdyś doprowadzić dusze do zguby.

— Uczynili z tego coś dekadenceckiego — dodał. — Zabawę. Grę.

W jego głosie zabrzmiała cała podświadoma odraza ascetyka. Gdyby jego twarz była lepiej widoczna, można by na niej dostrzec nowe uczucia — szorstkość i smutek. Ale to, co przede wszystkim tworzyło jego siłę, nie zanikło w nim ani nie osłabło. Na twarzy rewolwerowca wyraźnie malował się brak wyobraźni.

— Lecz wielkanocny bal. . . — podjął po chwili. — Sam bal. . .

Chłopiec nie odzywał się.



— Wisiało tam pięć kryształowych żyrandoli z ciężkiego szkła. Oświetlenie było elektryczne. Wszystko skąpane było w świetle, cała Wielka Sala była jedną wielką wyspą światła. Zakradliśmy się na jeden ze starych balkonów, które podobno nie były zbyt bezpieczne. Ale my byliśmy w końcu małymi chłopcami. Staliśmy tam wysoko i wszystko widzieliśmy. Nie pamiętam, żeby któryś z nas się odzywał. Po prostu się gapiliśmy, całymi godzinami się gapiliśmy. Przy wielkim kamiennym stole siedzieli, przyglądając się tancerzom, rewolwerowcy i ich kobiety. Kilku rewolwerowców tańczyło, jedynie kilku, i to tych młodszych. Inni przez cały czas siedzieli i miałem wrażenie, że to światło, cywilizowane światło, wprawia ich w lekkie zażenowanie. Należeli do tych, których darzono respektem i których się bano, byli strażnikami, lecz w tym tłumie kawalerów i ich miękkich kobiet wyglądali niczym stajenni... Cztery okrągłe stoły ugięły się pod jedzeniem i przez cały czas się obracały. Od siódmej wieczorem aż do rana z kuchni bez przerwy donoszono półmiski. Stoły kręciły się niczym zegary, a my czuliśmy zapach pieczonej wieprzowiny, wołowiny, homarów, kurczaków i pieczonych jabłek. Były lody i słodczy. Na wielkich płonących rożnach piekło się mięso. Marten siedział przy mojej matce i ojcu... widziałem ich nawet z tak dużej wysokości... i matka zatańczyła raz z Martenem, wirując niespiesznie po sali. Inni rozstąpili się i bili brawo, kiedy taniec się skończył. Rewolwerowcy nie klaskali, lecz mój ojciec powoli wstał i wyciągnął do niej ręce, a ona podeszła do niego z uśmiechem. To był kluczowy moment, chłopcze. Taki moment, który musi zdarzać się przy samej Wieży, gdy rzeczy schodzą się razem, łączą i tworzą moc w czasie. Mój ojciec opanował sytuację, został uznany i wyróżniony. Marten był tym, który go uznał; mój ojciec tym, który wykonał ruch, a jego żona, moja matka, była tą, która ich połączyła. Zdrajczynią... Mój ojciec był ostatnim władcą światła.

Rewolwerowiec spojrział na swoje ręce. Chłopiec w dalszym ciągu nic nie mówił. Miał zatroskaną twarz.

— Pamiętam, jak tańczyli — kontynuował cicho opowieść. — Moja matka i czarownik Marten. Pamiętam, jak tańczyli, powoli wirując, razem i oddzielnie, stawiając starodawne godowe kroki. — Spojrział z uśmiechem na chłopca. — Ale to przecież nic nie znaczyło, wiesz. Ponieważ władza została przekazana w sposób, o którym nikt z nich nie wiedział, lecz który wszyscy rozumieli, i moja matka przypadła w udziale temu, kto dzierżył i sprawował tę władzę. Czyż nie tak było? Czyż nie podeszła do niego, kiedy skończył się taniec? Nie uścisnęła jego dłoni? Czy nie bili im braw? Czyż cała sala nie rozbrzmiewała brawami, kiedy ci picusie i miękkie damy oklaskiwali ich i wychwalali? Czyż nie tak było?

Gdzieś daleko w ciemności kapąła gorzka woda. Chłopiec milczał.

— Pamiętam, jak tańczyli — powtórzył cicho rewolwerowiec. — Pamiętam, jak tańczyli...

Spojrzał na niewidoczne kamienne sklepienie i przez moment zdawało się,

że obrzuci je zniewagami, zaatakuje, wyzwie — te nieme masy niewrażliwego granitu, których kamiennym wnętrzościom powierzyli swe kruche istnienie.

— Jaka ręka mogła trzymać nóż, który pozbawił życia mojego ojca? — zapytał.

— Jestem zmęczony — szepnął żałośnie chłopiec.

Rewolwerowiec umilkł, a chłopiec położył się i podsunął sobie dłoń pod policzek. Skwierczący przed nimi mały płomyk już się dopalał. Rewolwerowiec skręcił sobie papierosa. Zdawało się, że wciąż widzi kryształowe żyrandole w szyderczej izbie swojej pamięci; wciąż słyszy okrzyki aplauzu, pustego w wydrążonym świecie, który już wówczas toczył beznadziejną walkę z szarym oceanem czasu. Wyspa światła gorzko go zraniła i wołałby jej nigdy nie oglądać, wołałby nie oglądać tego, jak przyprawiono rogi jego ojcu.

Przyglądając się chłopcu, wydmuchiwał dym z ust do nosa. Jak robimy dla siebie wielkie kręgi w ziemi, pomyślał. Ile czasu minie, nim zobaczymy znowu światło dnia?

Zasnął.

Kiedy jego oddech stał się długi, równy i regularny, chłopiec otworzył oczy i spojrzał na rewolwerowca z uczuciem, które było bardzo bliskie miłości. Ostatni płomyk odbijał się przez chwilę w jednej z jego źrenic, a potem utonął w niej i chłopiec zapadł w sen.

Rewolwerowiec stracił w dużym stopniu poczucie czasu na pustyni, która była niezmienna; do reszty stracił je teraz w tych pozbawionych światła podziemnych korytarzach. Żaden z nich nie miał czym zmierzyć upływającego czasu i idea godzin straciła dla nich wszelkie znaczenie, w pewnym sensie znaleźli się poza czasem. Dzień mógł być tygodniem, tydzień dniem. Szli, kładli się spać, jedli skąpy posiłek. Towarzyszył im jedynie nieprzerwany szum wody, drażącej drogę przez skałę. Podążali jej szlakiem i pili ją z nasyconych solami mineralnymi płytkich sadzawek. Chwilami rewolwerowcowi zdawało się, że widzi pod ich powierzchnią ulotne, podobne do gromnic dryfujące światełka, ale były to zapewne tylko projekcje jego mózgu, który nie zapomniał jeszcze światła. Mimo to ostrzegł chłopca, żeby nie wsadzał nogi do wody.

Dalmierz w jego głowie nieprzerwanie wiódł ich dalej.

Ścieżka przy podziemnej rzece (ponieważ była to ścieżka: wyrównana i lekko obniżona w stosunku do terenu po obu stronach) prowadziła stale w górę, ku źródłom, w regularnych odstępach mijali przekrzywione kamienne słupy, z których wystawały żelazne kółka; być może uwiązywano przy nich kiedyś woły lub konie pocztowe, w stojących przy każdym z nich stalowych butlach osadzono elektryczne pochodnie — teraz wszystkie martwe i ciemne.

W trakcie trzeciego popasu chłopiec trochę się oddalił. Rewolwerowiec słyszał cichą rozmowę kamyków poruszanych jego stopami.

— Ostrożnie — powiedział. — Nie widzisz, gdzie stąpasz.

— Czołgam się. Tu są. . . ja cię kręcę!

— Co takiego?

Rewolwerowiec ukucnął i dotknął dłonią rękojeści rewolweru. Przez chwilę trwała cisza. Natężał na próżno wzrok.

— To chyba tory kolejowe — stwierdził w końcu niepewnym tonem chłopiec.

Rewolwerowiec wstał i stawiając przed sobą ostrożnie stopy, żeby nie wpaść w dziurę, ruszył powoli w stronę jego głosu.

— Tutaj.

Z mroku wysunęła się ręka i musnęła jego twarz. Chłopiec świetnie sobie radził w ciemności, lepiej niż on. Jego oczy wydawały się rozszerzać tak bardzo, że ginął w nich wszelki kolor. Rewolwerowiec zobaczył to, gdy skrzesał ogień, w łonie gór nie było niczego, co mogłoby posłużyć za opał, a to, co zabrali ze sobą, szybko obracało się w popiół. Pokusa skrzesania ognia była chwilami prawie nie do opanowania.

Chłopiec stał przy pochyłej skalnej ścianie, wzdłuż której biegły, znikając gdzieś w mroku, metalowe druty. Na każdy z nich nanizane były czarne kolby, które mogły być kiedyś przewodnikami prądu. Niżej, zaledwie kilka cali nad kamiennym podłożem, biegły szyny z lśniącego metalu. Co mogło po nich kiedyś mknąć? Rewolwerowiec mógł sobie tylko wyobrazić czarne elektryczne pociski lecące przez tę wieczną noc z budzącymi grozę, świecącymi z przodu oczyma. Nigdy nie słyszał o takich rzeczach. Ale na świecie prócz demonów były także szkielety. Spotkał kiedyś pustelnika, który zdobył quasi-religijną władzę nad trzódką żalosnych poganiaczy bydła dzięki temu, że miał starożytną pompę benzynową. Pustelnik kucnął, obejmując ją zaborczym gestem, i wygłaszał niekończące się szalone, posępne kazania. Co jakiś czas kładł między nogami wciąż błyszczącą stalową dyszę, dołączoną do zgniłego gumowego węża. Na pompie znajdował się całkowicie czytelny (choć nadgryziony przez rdzę) legendarny napis o nieznanym znaczeniu: AMOCO. Bezołowiowa. Amoco stało się totemem boga gromodzierzcy i czcili go, wyrzynając w szalonym transie owce.

Wraki, pomyślał rewolwerowiec. Pozbawione znaczenia wraki zagubione na piaskach, które były niegdyś morzami.

A teraz te szyny.

— Pójdziemy wzdłuż nich — powiedział.

Chłopiec nie odezwał się ani słowem.

Rewolwerowiec zgasił ogień i poszli spać. Kiedy się obudził, chłopiec, który wstał wcześniej, siedział na jednej z szyn, obserwując go niewidzącym spojrzeniem w ciemności.

Ruszyli wzdłuż torów niczym ślepcy, rewolwerowiec pierwszy, chłopiec w ślad za nim. Towarzyszył im miarowy szum płynącej po prawej stronie rzeki. Nie rozmawiali ze sobą i tak minęły im trzy okresy pomiędzy przebudzeniem

się a udaniem na spoczynek. Rewolwerowiec nie czuł potrzeby, by się nad czymś konkretnie zastanawiać albo coś planować. Miał pozbawione wizji sny.

Po trzecim popasie dosłownie wpadli na drezynę.

Rewolwerowiec walnął o nią piersią, a idący obok chłopiec uderzył się w czoło i z krzykiem przewrócił się na ziemię.

Rewolwerowiec natychmiast skrzesał ogień.

— Nic ci się nie stało?

Jego słowa zabrzmiały ostro, prawie wrogo. Chłopiec skrzywił się.

— Nic — odpowiedział.

Trzymając się ostrożnie za głowę, potrząsnął nią, żeby upewnić się, czy rzeczywiście nie doznał żadnego urazu. Po chwili przyjrzeni się temu, na co wpadli. Na torach stała płaska metalowa platforma z podobną do huśtawki dźwignią pośrodku. Rewolwerowiec nie miał pojęcia, co to może być, ale chłopiec od razu się zorientował.

— To drezyna — powiedział.

— Co takiego?

— Dreżyna — powtórzył niecierpliwie chłopiec. — Taka jak na starych filmach. Zobacz.

Wdrapał się na platformę, podszedł do dźwigni i starając się przesunąć ją w dół, cały się na niej uwiesił, z ust wydarło mu się stęknienie. Dreżyna potoczyła się z cichą beczasowością po torach i stanęła kilkanaście cali dalej.

— Trochę ciężko chodzi — stwierdził przepaszającym tonem chłopiec.

Rewolwerowiec wskoczył na platformę i opuścił dźwignię. Pojazd ruszył posłusznie do przodu, a potem się zatrzymał. Pod stopami czuł obracający się wał napędowy. Dreżyna spodobała mu się — z wyjątkiem pompy w przydrożnym zajeździe, była to pierwsza widziana przez niego od lat stara maszyna, która funkcjonowała jak trzeba — lecz również zaniepokoiła. Dzięki niej dotrą do celu o wiele szybciej. Kolejny pocałunek śmierci, pomyślał. Wiedział, że człowiek w czerni chciał, żeby ją znaleźli.

— Sprytne, nie? — mruknął chłopiec i w jego głosie zabrzmiała skrajna niechęć.

— Co to są filmy? — zapytał rewolwerowiec.

Jake ponownie nie odpowiedział. Przez chwilę stali w czarnym milczeniu niczym w grobie, z którego umknęło życie. Rewolwerowiec słyszał, jak funkcjonują jego organy wewnętrzne, i słyszał oddech chłopca. To było wszystko.

— Stań po jednej stronie. Ja stanę po drugiej — powiedział Jake. — Musisz pompować sam, aż się porządnie rozpędzi. Wtedy będę mógł ci pomóc. Najpierw pchasz ty, potem ja. Możemy ruszać. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparł rewolwerowiec.

— Ale musisz pompować sam, dopóki się nie rozpędzi — powtórzył chłopiec, wbijając w niego wzrok.

Rewolwerowiec zobaczył nagle wyraźnie przed oczyma Wielką Salę rok po wiosennym balu, zrujnowaną podczas rewolty, wojny domowej i inwazji. Chwilę później ujrzał Allie, kobietę z blizną, odrzucaną do tyłu przez kule, które ją zabiły, w ślad za nią pojawiła się śmiertelnie sina twarz Jake'a, a potem Susan, wykrzywiona i zalana łzami. Wszyscy moi starzy przyjaciele, pomyślał i wstrętnie się uśmiechnął.

— Pcham — oznajmił.

I opuścił dźwignię.

\* \* \*

Toczyli się w ciemności, teraz szybciej, nie musząc macać przed sobą rękoma. Po jakimś czasie nieużywany od wieków mechanizm przetarł się i drezyna potoczyła się rażniej. Chłopiec nie próbował się wcale oszczędzać i rewolwerowiec pozwalał mu na krótkie zmiany — w większości jednak pompował sam silnymi skłonami, przy których napinały się mięśnie jego klatki piersiowej. Rzeka towarzyszyła im czasami bliżej, czasami dalej po prawej stronie. Raz zahuczała głośniejsze, jakby przepływała przez kruchnę jakiejś prehistorycznej katedry. Innym razem jej szum prawie zupełnie ucichł.

Szybkość i powiew wiatru zdawały się zastępować im wzrok i umieszczały z powrotem w ramach czasu. Rewolwerowiec oceniał, że jadą z prędkością od dziesięciu do piętnastu mil na godzinę, przez cały czas wznosząc się pod łagodnym, prawie niedostrzegalnym kątem, który zwodniczo wysysał z niego siły. Kiedy się zatrzymywali zasypiał kamiennym snem. Jedzenie prawie się im skończyło. Żaden z nich tym się nie przejmował.

Rewolwerowiec nie odczuwał napięcia przed zbliżającą się kulminacją, lecz było ono tak samo realne i rosnące, jak fizyczne zmęczenie po jeździe drezyną. Zbliżali się do końca początku. Czuł się niczym artysta wypchnięty na scenę na kilka minut przed podniesieniem kurtyny; stojąc w wymaganej pozie, z wykutą na blachę pierwszą kwestią, słyszał niewidoczną publiczność, która sadowiła się w fotelach i przewracała kartki programów, w brzuchu miał wielką pulsującą gulę nikczemnego oczekiwania i z radością witał wysiłek, który pozwalał mu zasnąć.

Chłopiec odzywał się coraz rzadziej; tylko raz, w trakcie ostatniego popasu przed atakiem Powolnych Mutantów, zapytał go prawie nieśmiało o pasowanie.

Rewolwerowiec opierał się o dźwignię, trzymając w ustach papierosa nabitego tytoniem z szybko topniejących zapasów. Kiedy chłopiec zadał mu to pytanie, zapadał właśnie w swój pozbawiony wizji sen.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć? — zapytał.

— Po prostu chcę — odparł chłopiec i umilkł, w jego głosie brzmiał dziwny upór, jakby chciał ukryć zakłopotanie. — Zawsze zastanawiałem się, jak to jest, kiedy się dorasta — dodał po chwili. — w większości opowiadają o tym same kłamstwa.

— To nie było dorastanie — odparł rewolwerowiec. — Ja nie dorosłem od razu. To się działo stopniowo w różnych miejscach. Widziałem kiedyś, jak wie-szają człowieka. To składało się na dorastanie, choć wtedy o tym nie miałem po-jęcia. Dwanaście lat temu zostawiłem dziewczynę w miejscu, które nazywało się Królewskim Miastem. To też się na to składało. Ale w danym momencie nigdy o tym nie wiedziałem. Uświadamiałem to sobie dopiero później. — z pewnym za-żenowaniem zdał sobie sprawę, że uchyla się od odpowiedzi. — Przypuszczam, że pasowanie stanowiło część dorastania — powiedział niemal z urazą. — Było oficjalne. Prawie stylizowane; miało w sobie coś z tańca. — Roześmiał się nie-przyjemnie. — Coś z miłości. Miłość i umieranie to całe moje życie — dodał.

Chłopiec się nie odezwał.

— Trzeba się było sprawdzić w walce — zaczął rewolwerowiec.

\* \* \*

Lato było upalne.

Sierpień spadł na ziemię niczym wysysający krew kochanek, niszcząc grunty i plony dzierzawców, zmieniając w białą sterylną równinę pola wokół zamkowego miasta. Kilka mil na zachód, niedaleko granicy, która wyznaczała kres cywilizo-wanego świata, zaczęły się już walki. Wszystkie doniesienia były złe i wszystkie blakły w obliczu upału, który zapanował w tym centralnym miejscu. Bydło sta-ło z wywieszonymi jęzorami w rzeźnych zagrodach. Świnie chrząkały obojętnie, niepomne ostrzonych na jesień noży. Ludzie narzekali na podatki i pobór, tak jak czynili to zawsze; ale nic nie kryło się za apatycznymi jasełkami polityki. Cen-trum wystrzępiło się w niczym lichy dywanik, który zbyt często prano, wieszano, suszono i deptano. Nitki i supły osnowy, która trzymała ostatnie klejnoty na szyi świata, rozplatały się. Rzeczy nie trzymały się już razem. Tego lata ziemia wstrzy-mała oddech przed nadchodzącym zaćmieniem.

Chłopiec siedł korytarzem kamiennego zamku, który był jego domem, wy-czuwając to wszystko, ale nie rozumiejąc. On także był pusty i niebezpieczny.

Minęły trzy lata od egzekucji kucharza, który zawsze gotów był nakarmić łak-nących. Chłopiec nabrał ciała. Ubrany tylko w spłowiałe dżinsowe spodnie, skoń-czył czternaście lat i miał szeroką pierś i długie nogi dojrzałego mężczyzny. Nie przespał się jeszcze z kobietą, ale strzelały za nim oczyma dwie młode dziewczuchy

pracujące u kupca w Zachodnim Mieście. Czuł, jak reaguje na to jego ciało, i teraz odczuwał to mocniej. Nawet w chłodnym korytarzu był zlany potem.

Przed sobą miał apartamenty matki. Chciał minąć je i wspiać się na dach, gdzie czekał go lekki wietrzyk i przyjemność ręki. Przechodząc obok drzwi, usłyszał wzywający go głos.

— Hej, ty! Chłopcze!

To był Marten, czarownik — ubrany z podejrzaną, niepokojącą niedbałością w obcisłe niczym rajtuzy czarne wełniane spodnie i rozchyloną do połowy piersi białą koszulę. Miał zmierzwione włosy i uśmiechnięte usta, lecz szyderczy grymas, który wykrzywił jego rysy, znamionował wyłącznie chłód.

Chłopiec spojrział na niego bez słowa.

— No, wchodź! Nie stój tak na korytarzu. Twoja matka chce z tobą mówić — ponaglił go czarownik.

Lecz matka chłopca najwyraźniej wcale nie chciała go widzieć. Siedziała w fotelu z niskim oparciem przy dużym oknie w salonie, tym, które wychodziło na rozgrzane, obojętne kamienie centralnego dziedzińca. Ubrana w luźną domową suknię, zerknęła na chłopca tylko raz — jej wargi rozchylił szybki, smutny uśmiech podobny do promyka jesienno słońca, padającego na wodę w strumieniu. Poza tym w trakcie całej rozmowy przyglądała się bez przerwy własnym dłoniom.

Widował ją teraz rzadko i wspomnienie dziecięcych kołysanek uleciało niemal z jego pamięci. Była dla niego ukochaną nieznajomą. Czuł niesprecyzowany lęk i zrodziła się w nim zapiekła nienawiść do Martena, prawej ręki ojca (a może było na odwrót?).

Po mieście zaczęły oczywiście krążyć już plotki, których, jak mu się szczerze wydawało, w ogóle nie słyszał.

— Dobrze się czujesz? — zapytała cicho matka, przyglądając się swoim dłoniom.

Marten stał przy niej, uśmiechając się do obojga. Jego ciężka ręka spoczywała niepokojąco blisko miejsca, gdzie jej białe ramię łączyło się z białą szyją. Brązowe oczy matki były ciemne, prawie czarne.

— Tak — odpowiedział chłopiec.

— Nauka idzie ci dobrze?

— Staram się.

Oboje wiedzieli, że nie był tak błyskotliwy i inteligentny jak Cuthbert ani nawet tak szybki jak Jamie. Był kujonem, zakutą pałą.

— A David? — Znała jego słabość do sokoła.

Chłopiec spojrział na Martena, który uśmiechał się protekcjonalnie.

— Ma za sobą najlepsze lata — powiedział.

Matka chyba się skrzywiła; twarz Martena na moment pociemniała; jego dłoń ścisnęła mocniej jej ramię, a potem matka spojrzała przez okno na gorące białe

niebo i wszystko wróciło do normy.

To szarada, pomyślał chłopiec. Gra. Kto tu z kim gra?

— Masz szramę na czole — powiedział wciąż uśmiechnięty Marten. — Zamierzasz być wojownikiem jak twój ojciec, czy może jesteś po prostu zbyt wolny?

Tym razem matka na pewno się skrzywiła.

— Jedno i drugie — odparł chłopiec.

Popatrzył Martenowi prosto w oczy i boleśnie się uśmiechnął. Nawet tu, w salonie, było bardzo gorąco.

Marten przestał nagle szczerzyć zęby.

— Możesz już iść na dach, chłopcze — powiedział. — Przypuszczam, że masz tam sprawę do załatwienia.

Marten pomylił się jednak, nie docenił go. Do tej pory ich rozmowa prowadzona była w atmosferze parodii i poufałości, w niskim języku. Teraz jednak chłopiec odezwał się w Wysokiej Mowie.

— Moja matka jeszcze mnie nie odprawiła, słuگو.

Twarz Martena skrzywiła się, jakby smagnął go harapem. Chłopiec usłyszał, jak matka wymawia ze strachem i smutkiem jego imię. Mimo to nie przestał się uśmiechać i zrobił krok w przód.

— Czy złożysz mi hołd, słuگو? W imię mojego ojca, któremu służysz?

Marten gapił się na niego, nie wierząc własnym oczom.

— Odejdź — powiedział łagodnie. — Odejdź i zatrudnij czymś rękę.

Chłopiec wyszedł, uśmiechając się.

Gdy zamykał za sobą drzwi i skręcił z powrotem tam, skąd przyszedł, usłyszał szloch matki. Szloch, który zwiastował czyjąś śmierć.

A potem usłyszał śmiech Martena.

Z uśmiechem na ustach, ruszył, by poddać się próbie.

Jamie rozmawiał akurat z przekupkami i widząc, że Roland przecina pole ćwiczeń, podbiegł, żeby powtórzyć mu ostatnie plotki o rozlewie krwi i buntach na zachodzie.

Nie powiedział jednak ani słowa. Znali się od niemowlęcych lat; jako chłopcy często tłukli się na pięści i tysiące razy przeczesywali mury, w obrębie których się urodzili.

Chłopiec szedł dalej, omiatając go niewidzącym wzrokiem i boleśnie się uśmiechając. Zmierzał w stronę chaty Corta, w której spuszczone rolety strzeły wnętrza przed obłądnym skwarem. Cort uciał sobie popołudniową drzemkę, by móc w maksymalnym stopniu delektować się wieczorną wyprawą do zagubionych w labiryncie podzamecza plugawych burdeli.

W nagłym błysku intuicji Jamie domyślił się, co się zaraz wydarzy. Ogarnięty lękiem i ekstazą, wahał się, czy iść razem z Rolandem, czy pobiec po innych chłopców.



A potem coś wyrwało go z transu i ruszył w stronę zabudowań, wołając Cuthberta, Allena i Thomasa, w upalnym powietrzu jego nawoływania brzmiały piskliwie i słabo. Wiedzieli. . . wszyscy wiedzieli w podskórny sposób, w jaki wiedzą chłopcy, że Roland pierwszy z nich spróbuje przekroczyć granicę. Teraz jednak było na to za wcześnie.

Jadowity uśmiezek na twarzy Rolanda wywarł na nim większe wrażenie aniżeli wszelkie wieści o wojnach, buntach i czarach. To było coś ciekawszego niż słowa, które padały z bezzębnych ust nad upstrzonymi przez muchy główkami sałaty.

Roland zbliżył się do domku swojego nauczyciela i kopnął w drzwi, które otworzyły się i odbiły od białej wapnem ściany. Nigdy wcześniej tu nie był. Zobaczył przed sobą urządzone po spartańsku brązową, chłodną kuchnię. Stół. Dwa proste krzesła. Dwie komody. Wyblakłe linoleum, poznaczone czarnymi śladami biegnącymi od piwniczki do stołu i do kuchennego blatu, nad którym wisiały noże.

Prywatne miejsce człowieka publicznego. Ostatnia przystań szalonego nocnego hulaki, który pokochał surową miłością trzy pokolenia chłopców i wielu z nich pasował na rewolwerowców.

— Cort!

Chłopiec kopnął stół, który przeleciał przez kuchnię i uderzył w blat. Wiszące na ścianie noże posypały się na podłogę, migotliwe niczym bierki.

Z drugiej izby dobiegły odgłosy przeciągania się i senne chrząknięcie. Chłopiec nie wszedł tam, wiedząc, że to podstęp. . . wiedząc, że Cort natychmiast się obudził i stoi teraz przy drzwiach, łypiąc zdrowym okiem, gotów złamać kark nieostrożnemu intruzowi.

— Cort, chcę z tobą mówić, sługo!

Teraz odezwał się w Wysokiej Mowie i Cort otworzył drzwi. Był ubrany tylko w cienkie szorty — pokryty od stóp do głów bliznami i węzłami mięśni, krępy mężczyzna z krzywymi nogami i okrągłym wystającym brzuchem. Chłopiec wiedział z doświadczenia, że ten brzuch jest sprężysty jak stal. Zdrowe oko tkwiło w pokiereszowanej, poobijanej łysej głowie.

Złożył mu formalny ukłon.

— Nie będziesz mnie dłużej uczył, sługo. Dziś ja nauczę ciebie.

— Wcześniej się do mnie wybrałeś, mazgaju — odparł niedbale Cort. On także odezwał się w Wysokiej Mowie. — O pięć lat za wcześnie, jak mi się zdaje. Zapytam cię jedynie raz. Czy chcesz się wycofać?

Roland uśmiechnął się jadowicie i boleśnie. Dla Corta, który widział uśmiechy na wielu śliskich od krwi, oświetlonych szkarłatną łuną polach honoru i hańby, stanowiło to wystarczającą odpowiedź. . . być może jedyną, w którą był w stanie uwierzyć.

— To fatalnie — stwierdził obojętnym tonem Cort. — Byłeś najbardziej obiecującym uczniem... muszę powiedzieć, że najlepszym od dwudziestu paru lat. Przykro będzie patrzeć, jak ponosisz klęskę i idziesz na zatracenie. Ale świat poszedł naprzód. Zbliżają się złe czasy. — Chłopiec się nie odzywał (i gdyby go o to poproszono, nie potrafiłby sensownie wytłumaczyć, co w niego wstąpiło), lecz jego straszliwy uśmiech po raz pierwszy nieco złagodniał. — A jednak więzy krwi to więzy krwi... bez względu na czary i rewoltę na zachodzie — oświadczył posępnie Cort. — Jestem twoim sługą, chłopcze. Będę wykonywał twe rozkazy i z całego serca składam ci teraz hołd... jeśli nawet to się już nigdy nie powtórzy.

I Cort, który tłukł go, kopał, ranił do krwi, przeklinał, wykpiwał i wyzywał od ostatnich, przykleknął na jedno kolano i skłonił głowę.

Chłopiec dotknął z admiracją jego odsłoniętego, skórzastego karku.

— Powstań, sługo, w imię miłości.

Cort powoli się podniósł. Pod obojętną maską złobionej głębokimi zmarszczkami twarzy krył się chyba ból.

— To wielka strata. Wycofaj się, chłopcze. Złamię swą własną przysięgę. Wycofaj się i zaczekaj.

Chłopiec nie odpowiedział.

— Bardzo dobrze. — Głos Corta stał się oschły i rzeczowy. — Za godzinę. Ty wybierasz broń.

— Przyniesiesz swój kij?

— Zawsze go noszę.

— Ile razy ci go odebrano, Cort? — zapytał chłopiec.

Chodziło mu o to, ile osób wkroczyło na kwadratowy dziedziniec za Wielką Salą i opuściło go jako młodzi rewolwerowcy.

— Dzisiaj nikt nie odbierze mi mojego kija — wycedził powoli Cort. — Żałuję tego. Tę próbę można odbyć tylko raz, chłopcze. Za nadgorliwość wymierza się taką samą karę jak za słabość. Naprawdę nie możesz zaczekać?

Chłopiec przypomniał sobie, wysokiego niczym góry, stojącego nad nim Martena.

— Nie — odparł.

— Bardzo dobrze. Jaką broń wybierasz?

Nie odpowiedział.

Cort odsłonił w uśmiechu poszczerbione zęby.

— Na początek całkiem mądrze. Za godzinę. Zdajesz sobie sprawę z tego, że najprawdopodobniej nigdy już nie zobaczysz swojego ojca ani tego miejsca?

— Wiem, co oznacza banicja — odparł cicho Roland.

— Teraz odejdz.

Chłopiec odszedł, nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

W piwniczce pod stodołą panował złudny chłód; w powietrzu unosił się zapach pajęczyn i podskórnej wody. Choć i tu wpadały wszędobylskie promienie słońca, nie czuć było skwaru; chłopiec trzymał w niej sokoła i ptak wyraźnie to sobie chwalił.

David był stary i nie wypuszczał się już na podniebne łowy. Jego pióra straciły promienny blask sprzed trzech lat, lecz oczy w dalszym ciągu były nieruchome i przeszywające. Powiadają, że nie uda ci się zaprzyjaźnić z sokołem, jeśli sam nim nie jesteś: samotnym, przelotnie tylko goszczącym na tej ziemi, pozbawionym przyjaciół i potrzeby ich posiadania. Sokół nie splanca moralnych długów.

Był teraz starym sokołem. Chłopiec miał nadzieję (a może odznaczał się zbyt ubogą wyobraźnią, żeby mieć nadzieję? Może po prostu to wiedział?), że on sam jest młody.

— Haj — powiedział cicho i wyciągnął rękę w stronę żerdzi.

Sokół zszedł na jego dłoń i stanął tam nieruchomo, bez kaptura. Chłopiec sięgnął drugą ręką do kieszeni i wyjął z niej skrawek suszonego mięsa. Sokół wyrwał go zgrabnie pomiędzy palców i mięso zniknęło w jego dziobie.

Roland zaczął go bardzo ostrożnie gładzić. Gdyby zobaczył to Cort, prawdopodobnie by nie uwierzył, ale Cort nie wierzył, że dla chłopca nadszedł czas próby.

— Myślę, że dzisiaj umrzesz — powiedział, gładząc sokoła. — Myślę, że zostaniesz złożony w ofierze, podobnie jak wszystkie te ptaszki, na których cię uczyliśmy. Pamiętasz? Nie? Nieważne. Po dzisiejszym dniu to ja będę sokołem.

David stał na jego nadgarstku, cichy, nieporuszony, obojętny na to, czy będzie żył, czy umrze.

— Jesteś stary — stwierdził z zadumą chłopiec. — I być może nie należysz nawet do moich przyjaciół. Jeszcze rok temu zamiast tego małego kawałka mięsa wolałbyś wydziobać mi oczy, prawda? Cort by się uśmieł. Ale jeśli zakradniemy się dość blisko... co ty na to, ptaku? Starość czy przyjaźń?

David nie zareagował.

Chłopiec nałożył mu kaptur, zabrał pęta, które wisały przy skraju żerdzi, i wyszedł z sokołem ze stodoły.

\* \* \*

Dziedziniec za Wielką Salą w gruncie rzeczy nie był wcale dziedzińcem, lecz

zielonym korytarzem, którego ściany tworzył splątany, gęsty żywopłot. Rytuał pasowania odbywał się tam od niepamiętnych czasów, na długo przed Cortem i jego poprzednikiem, który zmarł od rany zadanej mu w tym miejscu przez czyjąś nadgorliwą rękę. Wielu chłopców opuszczało ten korytarz od strony wschodniej, skąd wchodził zawsze nauczyciel; opuszczali go jako mężczyźni. Wschodnie drzwi prowadziły ku Wielkiej Sali, ku cywilizacji i intrygom oświeconego świata. Znacznie więcej, pobitych i pokrwawionych, wymykało się drzwiami zachodnimi, przez które zawsze wchodził chłopcy, wymykało się jako chłopcy do końca życia. Na zachodzie były góry i mieszkali osadnicy; dalej były gęste dzikie lasy, a jeszcze dalej pustynia. Chłopiec, który stawał się mężczyzną, przechodził z krainy mroku i ciemnoty do królestwa światła i odpowiedzialności. Chłopiec, który został pobity, mógł już tylko uciekać, zawsze uciekać. Korytarz był gładki i zielony niczym boisko. Miał dokładnie pięćdziesiąt jardów długości.

Przy każdym końcu tłoczyli się na ogół widzowie i krewni, ponieważ rytuał można było zwykle zapowiedzieć bardzo dokładnie — najczęściej odbywał się, gdy kandydat kończył osiemnaście lat (ci, którzy nie przystąpili do niego do dwudziestego piątego roku życia, popadali w zapomnienie jako wolni strzelcy, niezdolni do poddania się brutalnemu, rozstrzygającemu wszystko sprawdzianowi).

Tego dnia nie było tam jednak nikogo oprócz Jamiego, Cuthberta, Allena i Thomasa, którzy, autentycznie przerażeni, stali z rozdziawionymi gębami przy wejściu dla chłopców.

— Gdzie masz broń, głupcze? — syknął zbolałym szeptem Cuthbert. — Zapomniałeś zabrać broń!

— Mam ją — odparł spokojnie chłopiec. Zastanawiał się mgliście, czy wieści dotarły już do głównych budynków, do jego matki i do Martena. Ojciec był na polowaniu i miał wrócić dopiero za kilka tygodni. Roland trochę tego żałował, czuł bowiem, że przyjąłby jego decyzję ze zrozumieniem, a może nawet aprobatą. — Czy Cort przyszedł?

— Cort już tu jest.

Głos dobiegł z drugiego końca korytarza i w polu widzenia pojawił się ubrany w krótki podkoszulek nauczyciel. Na czole miał grubą skórzaną opaskę, chroniącą oczy przed potem, w ręku trzymał kij żelaznego drzewa, z jednej strony zaostroszony, z drugiej tępy i wygładzony.

— Czy przybywasz tu z poważnym zamiarem, chłopcze? — zaczął litanie, której wszyscy wybrani z racji swego wysokiego urodzenia uczyli się od wczesnego dzieciństwa w oczekiwaniu na dzień, kiedy mieli szansę zostać mężczyznami.

— Przybywam tu z poważnym zamiarem, nauczycielu.

— Czy przybywasz jako banita z domu twojego ojca?

— Przybywam jako banita, nauczycielu.

I miało już tak pozostać, chyba że pokona Corta. Jeśli Cort pokona jego, do

końca życia czeka go los banity.

— Czy przybywasz z wybraną przez siebie bronią?

— Przybywam z nią, nauczycielu.

— Jaka jest twoja broń?

Na tym polegała przewaga nauczyciela: miał sposobność dostosowania planu walki do procy, włóczni albo sieci przeciwnika.

— Moją bronią jest David, nauczycielu.

Cort zawahał się tylko przez moment.

— Zatem stajesz naprzeciw mnie, chłopcze?

— Staję.

— Więc się pospiesz.

Z tymi słowami Cort ruszył korytarzem, przerzucając z ręki do ręki swoją pikę. Chłopiec wyszedł mu na spotkanie i z ust jego kolegów wydarło się trzepotliwe jak ptak westchnienie.

„Moją bronią jest David, nauczycielu.”

Czy Cort pamiętał? Czy w pełni zrozumiał? Jeśli tak, wszystko było prawdopodobnie stracone. Sukces zależał od zaskoczenia. . . i od tego, ile jeszcze wigoru miał w sobie sokół. Czy będzie tylko siedział obojętnie na ręku chłopca, podczas gdy Cort pozbawi go przytomności uderzeniem swojej piki? Czy nie poszybujecie w wysokie gorące niebo?

Chłopiec poluzował osłabłymi palcami kaptur sokoła i stanął w miejscu. Zobaczył, że oczy Corta spoczęły na ptaku i otwierają się szeroko ze zdumienia. Powoli zaświtało w nich zrozumienie.

Teraz.

— Bierz go! — krzyknął chłopiec, podnosząc rękę.

I David pomknął niczym cichy brązowy pocisk do przodu. Machnął raz, drugi i trzeci masywnymi skrzydłami i wbił się dziobem i szponami w twarz Corta.

— Haj! Roland! — zawołał pijany ze szczęścia Cuthbert.

Cort zatoczył się do tyłu i stracił równowagę. Kij z żelaznego drzewa na próżno młócił powietrze nad jego głową. Sokół zmienił się w falującą pierzastą plamę.

Chłopiec skoczył do przodu, wysuwając przed siebie rękę ze zgiętym sztywno łokciem.

Mimo to mało brakowało, by Cort okazał się od niego szybszy. Ptak zasłaniał dziewięćdziesiąt procent jego pola widzenia, ale kij uniósł się ponownie tępym końcem do przodu i Cort zrobił z zimną krwią jedyną rzecz, która mogła w tym momencie odwrócić bieg wydarzeń. Uderzył się trzy razy w twarz, napinając nieubłagane bicepsy.

Sokół odpadł od niego połamany i poskręcany. Jedno skrzydło trzepotało gorączkowo o ziemię. Zimne oczy drapieżnika wpatrywały się dziko w ociekającą krwią twarz nauczyciela. Chore oko Corta sterczało teraz ślepo z oczodołu.

Chłopiec kopnął go z całej siły w skroń. To powinno zakończyć walkę; stopę miał odrętwiałą po jedynym uderzeniu Corta, które doszło celu, lecz mimo to powinno zakończyć walkę. Nie zakończyło. Rysy Corta zwiotczały, chwilę później jednak rzucił się do przodu, próbując złapać go za nogę.

Chłopiec uskoczył, potknął się i wyciągnął jak długi na ziemi. Gdzieś z oddali dobiegł go krzyk Jamiego.

Cort dźwignął się na nogi. Szykował się do zakończenia walki. Chłopiec nie miał już nad nim przewagi. Przez moment patrzyli na siebie, uczeń i stojący nad nim nauczyciel z zakrwawioną lewą połową twarzy i łypiącą spod opuszczonej powieki wąską, białą szparką chorego oka. Tej nocy Cort nie miał już odwiedzić burdelu.

Coś rozorało nagle dłoń chłopca. To był dziobiący go na oślep sokół, David. Miał połamane oba skrzydła. To niewiarygodne, że jeszcze żył.

Chłopiec złapał go niczym kamień, nie zwracając uwagi na kłujący dziób, który rwał na strzępy skórę jego nadgarstka. Gdy Cort zbliżył się, cisnął w górę sokoła.

— Haj! David! Zabij!

Ułamek sekundy później Cort zasłonił słońce i zwałił się na niego całym swym ciężarem.

Ptak znalazł się między nimi.

Chłopiec poczuł, jak twardy kciuk szuka jego oczodołu. Odwrócił głowę, podnosząc równocześnie udo, żeby zasłonić się przed wbijającym się w jego krocze kolanem Corta. Kantem dłoni uderzył mocno trzy razy w twardy pień karku. Przypominało to łupanie kamienia.

Nagle Cort wydał z siebie głucho stęknienie i cały zadygotał. Chłopiec zobaczył kątem oka jego rękę, która szukała upuszczonego kija. Zwinawszy się wpół, kopnął kij tak, by znalazł się poza jej zasięgiem. David wbił szpony jednej łapy w prawe ucho Corta, a drugą kaleczył bezlitośnie jego policzek, rozrywając go na strzępy. Pachnąca miedzią ciepła krew tryskała na twarz chłopca.

Pięść Corta spadła na ptaka, łamiąc mu grzbiet. Po drugim uderzeniu szyja Davida wygięła się pod nienaturalnym kątem. Mimo to szpony trzymały dalej. Cort nie miał już ucha; w jego czaszce ziała z boku czerwona dziura. Po trzecim ciosie ptak odpadł, uwalniając twarz nauczyciela.

Chłopiec uderzył go kantem dłoni w grzbiet nosa, łamiąc wąską kość. Trysnęła krew.

Rozczapierzona dłoń Corta rozorała pośladki chłopca. Roland przeturlał się na bok, znalazł kij i uklęknął.

Cort również uklęknął i uśmiechnął się. Twarz miał zalaną posoką. Jedyne widzące oko obracało się wściekle w oczodole. Złamany nos przekrzywił się na bok, z obu policzków zwisały płaty skóry.

Chłopiec zaciskał w rękach kij niczym czekający na piłkę pałkarz.

Cort zgiął się wpół i ruszył na niego.

Chłopiec był gotów. Kij zatoczył płaski łuk i rąbnął z głuchym trzaskiem w czaszkę Corta. Nauczyciel upadł na bok i utkwiał w chłopcu niewidzące leniwe spojrzenie. Spomiędzy warg wypłynęła mu wąska strużka śliny.

— Poddaj się albo umrzesz — powiedział chłopiec. W ustach czuł mokrą watę.

I Cort uśmiechnął się. Odpływał już i przez cały następny tydzień miał leżeć w swojej chacie, pogrążony w czarnym letargu, lecz teraz czepiał się świadomości z całą siłą swego bezbarwnego, bezlitosnego życia.

— Poddaję się, rewolwerowcze. Poddaję się z uśmiechem — oznajmił i zamknął zdrowe oko.

Rewolwerowiec potrząsnął nim łagodnie, lecz stanowczo. Inni chłopcy zdążyli go już otoczyć. Ręce swędziły ich, żeby poklepać go po plecach bądź też podrzucić triumfalnie w górę, ale bali się trochę, czując nowy, dzielący ich dystans. Choć właściwie nie raziło ich to tak bardzo, jak można się było spodziewać. Między Rolandem i resztą zawsze istniał pewien dystans.

Cort zatrzepotał powieką i otworzył oko.

— Klucz — powiedział rewolwerowiec. — Należy mi się z racji urodzenia, nauczycielu. Jest mi potrzebny.

Jego przywilejem było posiadanie rewolwerów — nie ciężkich rewolwerów ojca z rękojeściami z drzewa sandałowego — lecz tak czy inaczej rewolwerów. Dostępnych tylko nielicznym. Rozstrzygającej, ostatecznej broni, w zbrojowni pod koszarami, gdzie zgodnie ze starodawnym prawem miał teraz zamieszkać, z daleka od matczynej piersi, wisiała broń, której wolno mu było używać jako kadetowi, ciężkie niezgrabne przedmioty ze stali i niklu. Tych samych używał jako kadet jego ojciec, a do niego teraz należała zwierzchnia władza — przynajmniej nominalnie.

— Więc sytuacja jest aż tak krytyczna? — zamruczał jak przez sen Cort. — To jest takie pilne? Obawiałem się tego, a jednak wygrałeś.

— Klucz!

— Sokół... to był kapitalny ruch. Kapitalna broń. Jak długo musiałeś tresować sukinsyna?

— Nigdy nie tresowałem Davida. Zaprzyjaźniłem się i nim. Klucz.

— Pod moim pasem, rewolwerowcze.

Oko ponownie się zamknęło.

Roland sięgnął pod pas Corta, czując uciskający jego palce brzuch, potężne mięśnie, które teraz zwiotczały i zapadły w sen. Klucz był na mosiężnym kółku. Zamknął go w dłoni, powstrzymując szaloną pokusę, by cisnąć go wysoko pod niebo w zwycięskim geście.

Kiedy się wyprostował i powoli odwrócił do innych, ręka Corta poszukała jego stopy. Roland na moment stężał, obawiając się ostatniego desperackiego ataku,

lecz Cort spojrzał tylko na niego i pokiwał pokaleczonym palcem.

— Teraz zasnę — wyszeptał spokojnie. — Być może na zawsze, nie wiem. Nie będę cię dłużej uczył, rewolwerowcze. Pokonałeś mnie i uczyniłeś to dwa lata wcześniej niż twój ojciec, który był najmłodszy. Ale pozwól, że udzielę ci rady.

— Jakiej rady? — zapytał niecierpliwie Roland.

— Wstrzymaj się.

— Że jak? — wyrwało mu się z ust.

— Pozwól, by wyprzedziła cię fama i legenda. Są tacy, którzy o to zadbają. — Cort spojrzał gdzieś za ramię rewolwerowca. — Swoją drogą, to głupcy. Niechaj wyprzedzi cię fama. Niechaj rośnie twój cień. Niech twoja twarz pokryje się zarostem. Niech ściemnieje. — Uśmiechnął się groteskowo. — Kiedy tylko da im się trochę czasu, słowa mogą nawet zaczarować czarodzieja. Rozumiesz, o co mi chodzi, rewolwerowcze?

— Tak.

— Czy skorzystasz z mojej ostatniej rady?

Rewolwerowiec zakołysał się na piętach — przykucnięta, zadumana postać, w której można było dojrzeć cień mężczyzny. Spojrzał na niebo, które nabierało głębi, purpurowiało. Skwar dnia osłabł; burzowe chmury na zachodzie zapowiadały deszcz. Widły błyskawic dźgały odległe o wiele mil łagodne wzgórza. Za nimi wznosiły się góry, a jeszcze dalej wysokie fontanny krwi i obłędu. Rewolwerowiec był zmęczony, zmęczony do szpiku kości, a może jeszcze bardziej.

Ponownie spojrzał na Corta.

— Dziś wieczorem pochowam mojego sokoła, nauczycielu, a potem pójdę do miasta i uprzedzę wszystkich, którzy będą się o ciebie martwić w burdelu.

Wargi Corta rozchyliły się w bolesnym uśmiechu i zasnął.

Rewolwerowiec spojrzał na chłopców.

— Zróbcie nosze i odnieście go do domu — powiedział. — A potem sprowadźcie pielęgniarkę. Nie, lepiej dwie pielęgniarki. Dobrze?

Wbijali w niego wzrok, sparaliżowani onieśmieleniem, którego nie byli w stanie przełamać. Czekali, czy nad jego głową nie pojawi się ognista korona, a twarz nie zmieni się w pysk wilkołaka.

— Dwie pielęgniarki — powtórzył rewolwerowiec i uśmiechnął się.

Chłopcy odwzajemnili uśmiech.

— Ty cholerny koniuchu! — wrzasnął nagle Cuthbert, szczerząc zęby. — Nie zostawiłeś nam do obgryzienia nawet jednej kostki.

— Świat nie kończy się za dwa tygodnie — stwierdził rewolwerowiec, cytując z uśmiechem stare przysłowie. — Allen, ty maślany dupku. Rusz tyłek.

Allen zajął się sporządzeniem noszy; Thomas i Jamie pobiegli razem do głównego budynku i izby chorych.



Rewolwerowiec i Cuthbert spojrzeli na siebie. Zawsze byli ze sobą najbliżej — tak blisko, jak to możliwe, biorąc pod uwagę mroczne strony ich charakterów, w oczach Cuthberta płonął nieskrywany entuzjazm i rewolwerowiec miał wielką ochotę poradzić mu, by nie stawał do próby w ciągu najbliższego roku, a nawet osiemnastu miesięcy, w wypadku gdyby on sam ruszył na zachód. Przeżyli jednak razem bardzo wiele i nie sądził, by mógł wygłaszać tego rodzaju rady, nie ryzykując, że zostaną potraktowane jako przejaw protekcjonalności. Zaczynam kombinować, przeleciało mu przez głowę i był tym lekko skonsternowany, a potem przypomniał sobie o Martenie i matce i na jego wargach pojawił się uśmiech szalbierza.

Będę pierwszy, pomyślał, nareszcie zdając sobie z tego tak naprawdę sprawę, chociaż przedtem dumał o tym wiele razy, aż do ogłupienia. Będę pierwszy.

— Chodźmy — rzucił.

— Z przyjemnością, rewolwerowcze.

Wyszli przez wschodnie drzwi okolonego żywopłotem korytarza. Thomas i Jamie wracali już z pielęgniarkami, które wyglądały jak duchy w ciężkich białych szatach, ozdobionych czerwonymi krzyżami.

— Czy mam ci pomóc z sokołem? — zapytał Cuthbert.

— Tak — odparł rewolwerowiec.

Później, kiedy przyszedł zmierzch, a wraz z nim ulewne burzowe deszcze; kiedy po niebie przetaczały się ogromne widmowe chmury, błyskawice zaś skąpały w błękitnym ogniu kręte uliczki podzamcza; kiedy konie stały w stajniach ze spuszczoneymi łbami i obwisłymi ogonami, rewolwerowiec wziął sobie kobietę i przespał się z nią.

To było szybkie i dobre. Gdy dobiegło końca i leżeli obok siebie bez słowa, o dachy zagrzechotał krótko grad. Gdzieś daleko na dole ktoś grał ragtime „Hey Jude”. Umysł rewolwerowca zwrócił się do wewnątrz. To właśnie w tej zbryzganej gradem ciszy po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może być również ostatni.

\* \* \*

Rewolwerowiec nie opowiedział oczywiście chłopcu tego wszystkiego, lecz Jake i tak musiał domyślić się większości. Już wcześniej zdał sobie sprawę, że to wyjątkowo pojętny chłopiec, niewiele różniący się pod tym względem od Cuthberta, a nawet Jamiego.

— Śpisz? — zapytał.

— Nie.

— Czy rozumiałeś, co ci opowiedziałem?

— Czy rozumiałem? — powtórzył chłopiec z ostrożnym szyderstwem. — Czy rozumiałem? Chyba żartujesz?

— Nie — odparł rewolwerowiec, ale trochę się zjeżył.

Nigdy wcześniej nie opowiadał nikomu o swojej inicjacji, budziła w nim bowiem ambiwalentne uczucia. Sokół stanowił oczywiście jak najbardziej akceptowalną broń, lecz był również fortelem, i zdradą. Pierwszą z wielu. „Czy przygotowuję się do tego, by rzucić chłopca człowiekowi w czerni?”

— Zrozumiałem — stwierdził Jake. — To był rodzaj gry, prawda? Czy dorośli zawsze muszą prowadzić gry? Czy wszystko musi być pretekstem do kolejnej gry? Czy mężczyźni w ogóle dojrzewają, czy tylko stają się pełnoletni?

— Nie wiesz jeszcze wszystkiego — mruknął rewolwerowiec, starając się powstrzymać budzący się w nim powoli gniew.

— Nie. Ale wiem, czym jestem dla ciebie.

— Czym mianowicie? — zapytał cierpko rewolwerowiec.

— Pokerowym sztonem.

Rewolwerowiec miał ochotę podnieść z ziemi jakiś kamień i rozwalić mu głowę. Zamiast tego ugryzł się w język.

— Idź spać — powiedział. — Chłopcy muszą dużo spać.

Przypomniał sobie słowa Martena: „Odejdź i zatrudnij czymś rękę.”

Siedział sztywno w ciemności, przerażony (po raz pierwszy w swoim życiu; po raz pierwszy przerażony czymkolwiek) pogardą do samego siebie, na jaką mógł się skazać.

\* \* \*

Po następnym popasie tory zbliżyły się do podziemnej rzeki i natknęli się na Powolne Mutanty.

Jake zobaczył pierwszego i głośno krzyknął.

Rewolwerowiec, który wpatrywał się prosto przed siebie, regularnie unosząc i opuszczając dźwignię, odwrócił głowę w prawo, w pewnej odległości od torów zobaczył plamę zgniłej zieleni, okrągłą i słabo pulsującą, w nozdrzach poczuł odór — słaby, nieprzyjemny, wilgotny.

Zielona plama była twarzą, twarz była anormalna. Nad spłaszczonym nosem widać było owadzie guzkowate oczy, które przyglądały im się bez wyrazu. Rewolwerowiec poczuł we wnętrzościach i kroczu atawistyczne mrowienie. Zaczął trochę szybciej pompować.

Jarząca się twarz zgasła.

— Co to było? — zapytał z drzeniem chłopiec. — Co...

Słowa uwięzły mu w gardle, gdy minęli trzy kolejne jarzące się słabo postaci, które obserwowały ich, stojąc bez ruchu między torami i niewidoczną rzeką.

— To Powolne Mutanty — wyjaśnił rewolwerowiec. — Nie sądzę, żeby sprawiły nam kłopot. Są prawdopodobnie tak samo przerażone naszym widokiem, jak my...

Jedna z postaci ruszyła z miejsca i pokuśtykała w ich stronę, jarząc się i zmieniając w oczach. Miała twarz zagłodzonego idioty. Słabo widoczne nagie ciało było kłbowiskiem zakończonych przyssawkami mackowatych kończyn.

Chłopiec ponownie krzyknął i przywarł niczym przerażony pies do nogi rewolwerowca.

Jedna z macek popęzła po płaskiej platformie drezyny. Cuchnęła wilgocią, mrokiem, obcością. Rewolwerowiec puścił dźwignię i wyciągnął broń. Kula trafiła w czoło postać o twarzy zagłodzonego idioty. Mutant runął do tyłu i bagienny blask jego twarzy przygasł niczym zaćmiony księżyc. Jaskrawa krecha wystrzału wyryła ślad na ciemnych siatkówkach ich oczu, w powietrzu czuć było pochodzącą z innego świata gorącą woń spalonego prochu.

Mutantów było coraz więcej. Żaden nie atakował otwarcie, ale zbliżały się do torów — milczący ohydny tłum gapiów.

— Być może będziesz musiał za mnie pompować — powiedział rewolwerowiec. — Potrafisz?

— Tak.

— Więc przygotuj się.

Jake stanął bliżej w pełnej gotowości. Rewolwerowiec patrzył tylko na te Powolne Mutanty, które mijali, nie odwracając głowy, nie ogarniając wzrokiem więcej, niż było trzeba. Chłopiec wydzielał z siebie aurę czystej grozy, tak jakby jego podświadomość wypłynęła w jakiś sposób przez pory i sformowała telepatyczną tarczę.

Rewolwerowiec pompował, nie zwiększając prędkości. Zdawał sobie sprawę, że Powolne Mutanty wyczuły ich strach, nie sądził jednak, by to wystarczyło. On i chłopiec byli w końcu przybyszami z krainy światła, krainy spójności. Jak bardzo muszą nas nienawidzić, pomyślał. Ciekawiło go, czy podobną nienawiść czuły do człowieka w czerni, a może nie, może przeleciał tylko nad nimi i nad ich żalosalną kolonią niczym cień mrocznego skrzydła.

Z gardła chłopca wydarł się krzyk i rewolwerowiec prawie machinalnie się odwrócił. Cztery mutanty atakowały ich, niezgrabnie kuśtykając, jeden z nich szukał miejsca, w którym mógłby złapać się drezyny.

Rewolwerowiec puścił dźwignię i tym samym niedbałym sennym ruchem wyciągnął broń. Strzelił pierwszemu mutantowi w głowę. Ten wydał z siebie płaczliwy, świszczący odgłos i wyszczerzył zęby. Jego ręce były miękkie i rybie, martwe;

palce kleiły się jeden do drugiego jak w rękawicy zanurzonej długo w zaschniętym błocie.

Jedna z trupich dłoni złapała chłopca za nogę i zaczęła ciągnąć.

Wrzask Jake'a odbił się głośnie echem w granitowym łonie gór.

Kolejny strzał trafił mutanta w pierś, z jego rozchylonych warg pociekła ślina. Chłopiec zsuwał się z boku drezyny. Rewolwerowiec złapał go za rękę i o mało sam nie stracił równowagi. To stworzenie było zdumiewająco silne. Posłał kolejny pocisk w jego głowę. Jedno oko zgasło niczym świeczka, lecz mutant ciągnął. Bez głosu walczyli o wijącego się, wierzgającego Jake'a, tak jakby był udkiem kurczęcia, które trzeba rozerwać, by spełniło się życzenie.

Drezyna zwalniała. Zaczęły się do nich zbliżać inne mutanty — kulawe, ślepe, chrome. Być może szukały tylko Jezusa, który by ich uzdrowił, wybawił z mroku, tak jak podniósł kiedyś z łoża śmierci Łazarza.

Dla chłopca to już koniec, pomyślał z absolutnym chłodem rewolwerowiec. Ten właśnie koniec miał na myśli człowiek w czerni. Albo puści go teraz i przyspieszy bieg drezyny, albo będzie go dalej trzymać i pozwoli się żywcem zakopać. Dla chłopca to koniec.

Martwe szlamowate palce nagle się rozluźniły i Powolny Mutant, wciąż się uśmiechając, padł na twarz za zwalnającą drezyną.

— Myślałem, że mnie zostawisz — zaszlochał Jake. — Myślałem... myślałem...

— Trzymaj się mojego paska — rzucił rewolwerowiec. — Trzymaj się tak mocno, jak potrafisz.

Ręka Jake'a wsunęła się za jego pasek i zacisnęła. Chłopiec łapał powietrze konwulsyjnymi, cichymi haustami.

Rewolwerowiec zaczął znowu miarowo pompować i drezyna nabrała szybkości. Powolne Mutanty zostały w tyle i wodziły za nimi oczyma osadzonymi w twarzach, które zatraciły niemal ludzkie cechy, twarzach, które wydzielały słabą fosforescencję, typową dla tych dziwnych głębokowodnych ryb, żyjących w mroku pod niewyobrażalnym ciśnieniem, twarzach, na których nie malował się gniew ani nienawiść, lecz wyłącznie jakiś półświadomy debilny żal.

— Jest ich coraz mniej — stwierdził rewolwerowiec. Napięte mięśnie jego podbrzusza i krocza trochę się rozluźniły. — Są...

Powolne Mutanty położyły kamienie na torach. Droga była zablokowana. Zrobiły to szybko i byle jak; uprzątnięcie kamieni mogło zająć tylko minutę, ale trzeba było się zatrzymać. Ktoś musiał zeskoczyć z drezyny i to zrobić. Chłopiec jęknął i przywarł, drżąc, do rewolwerowca, który puścił dźwignię. Drezyna dojechała bezszelestnie do zapory, uderzyła o nią z głuchym stuknięciem i stanęła.

Powolne Mutanty znowu zaczęły się do nich zbliżać, prawie niedbałym krokiem, jakby były zagubionymi w sennej ciemności przechodniami i znalazły kogoś, kogo można zapytać o drogę. Uliczną kongregacją skazanych na potępienie

pod prastarą skałą.

— Czy nas dopadną? — zapytał spokojnie chłopiec.

— Nie. Bądź przez chwilę cicho.

Rewolwerowiec przyjrzał się kamieniom. Mutanty były oczywiście słabe i nie udało im się zwalić na tory większych głazów. Wyłącznie małe kamyki. Tylko po to, by się zatrzymali i któryś z nich musiał zejść z drezyny.

— Wyskakuj — powiedział rewolwerowiec. — Musisz je odsunąć. Będę cię krył.

— Nie — szepnął chłopiec. — Proszę.

— Nie mogę dać ci rewolweru i nie mogę jednocześnie odsuwać kamieni i strzelać. Musisz zejść na dół.

Jake przewracał dziko oczyma; przez moment drżenie jego ciała dostroiło się do konwulsji umysłu, a potem zsunął się z drezyny i prawie nie patrząc, zaczął odrzucać kamienie na lewo i prawo.

Rewolwerowiec przygotował broń i czekał.

Dwa mutanty, słaniając się bardziej, aniżeli idąc, wyciągnęły ciastowate ręce ku chłopcu. Rewolwery wykonały to, co do nich należało, rozrywając ciemność czerwono-białymi lancami światła. Oczy rewolwerowca przeszyły igiełki bólu. Chłopiec krzyknął i dalej odgarniał kamienie. Widmowe plamy podskoczyły i zatańczyły w miejscu. Widoczność spadła niemal do zera i to było najgorsze. Wszystko tonęło w mroku.

Jeden z mutantów, prawie zupełnie pozbawiony poświaty, sięgnął po chłopca gumową dłonią hobgoblina. Zajmujące połowę jego twarzy oczy obracały się w wilgotnych oczodołach.

Jake ponownie krzyknął i odwrócił się, żeby stawić mu czoło.

Rewolwerowiec strzelił, nie pozwalając sobie na chwilę zastanowienia — zanim niemożność dokładnego zlokalizowania celu zdołała doprowadzić do drżenia jego rękę. Dwie głowy — chłopca i Powolnego Mutanta — dzieliło tylko kilka cali. To mutant był tym, który osunął się ślisko na tory.

Jake odrzucał wściekle kamienie. Mutanty tłoczyły się za niewidzialną zakazaną linią, stale zacieśniając krąg, teraz bardzo blisko. Wciąż dołączały do nich następne.

— W porządku! — zawołał rewolwerowiec. — Wskakuj. Szybko!

Kiedy chłopiec zrobił krok w przód, mutanty zaatakowały. Jake wspiał się na drezynę; rewolwerowiec podnosił już i opuszczał dźwignię. Oba rewolwery tkwiły w kaburach. Musieli uciekać.

Ręce mutantów zabębniły o metalową platformę drezyny. Chłopiec ścisnął obiema dłońmi pas rewolwerowca, wtulając twarz w jego plecy.

Na tory wbiegła teraz cała grupa; na ich twarzach malowało się to samo bezrozumne, beznamiętne oczekiwanie. Rewolwerowiec był naładowany adrenaliną;

drezyna mknęła po szynach w ciemność. Walnęli z całej siły w cztery albo pięć żaloznych pałub. Odpadły niczym oderwane od kiści zgniłe banany.

Dalej i dalej w bezgłośną, złowroźną ciemność.

Minęły całe wieki, nim chłopiec wystawił twarz na powiew wiatru, lękając się, a jednak pragnąc wiedzieć. Na siatkówkach jego oczu wyryty był ślad rewolwerowych wystrzałów. Nie widać było nic prócz ciemności, nie słysząc nic prócz łoskotu rzeki.

— Nie ma ich — powiedział, bojąc się nagle, że tory skończą się i że drezyna runie i obróci się w poskręcany wrak. Jeździł kiedyś samochodem; pewnego razu jego pozbawiony poczucia humoru ojciec pędził dziewięćdziesiąt mil na godzinę po New Jersey Turnpike i został zatrzymany. Ale nigdy nie jeździł tak jak teraz — nie widząc, co im grozi z tyłu i z przodu, słysząc tylko poświst wiatru i szum rzeki, który podobny był do chichotu — chichotu człowieka w czerni. Ręce rewolwerowca przypominały mechaniczne tłoki, które wymknęły się spod kontroli.

— Nie ma ich — powtórzył nieśmiało chłopiec i jego słowa porwał wiatr. — Możesz zwolnić. Zostawiliśmy ich za sobą.

Rewolwerowiec nie słyszał go. Kołysząc się, pędzili dalej w nieprzeniknioną ciemność.

Trzy kolejne okresy między przebudzeniem się i udaniem na spoczynek przebyli bez żadnych incydentów.

\* \* \*

Po czwartym popasie (nie mieli pojęcia, czy w połowie, czy w trzech czwartych drogi między przebudzeniem się i udaniem na spoczynek, wiedzieli tylko, że nie są jeszcze dość zmęczeni, by się zatrzymać) poczuli nagły wstrząs i drezyna zakołysała się. Tory zaczęły stopniowo skręcać w lewo. Ich ciała natychmiast odchyliły się pod wpływem siły odśrodkowej w drugą stronę.

Przed nimi było światło — blask tak słaby i obcy, iż wydawał się początkowo zupełnie nowym żywiołem, nie ziemią, nie powietrzem, nie ogniem i nie wodą. Nie miał barwy i jego obecności można się było domyślić jedynie dzięki temu, że odzyskali swoje ręce i rysy twarzy w innym aniżeli dotychczas wymiarze. Ich oczy tak uwrażliwiły się na światło, że dostrzegli poblask, kiedy dzieliło ich od niego ponad pięć mil.

— To koniec — szepnął przez ściśnięte gardło chłopiec. — To już koniec.

— Nie — stwierdził z dziwną pewnością rewolwerowiec. — To nie koniec.

I to nie był koniec. Zrobiło się jaśniej, ale to nie było dzienne światło. Gdy zbliżyli się do jego źródła, skalna ściana po lewej stronie oddaliła się i do ich

torów dołączyły inne, tworząc skomplikowaną pajęczynę. Światło kładło na nich połyskliwe wzory. Na niektórych stały pogrążone w mroku wagony towarowe i pasażerskie, dyliżanse dostosowane do jazdy po torach. Wyglądały jak widmowe galeony, uwięzione w podziemnym Morzu Sargassowym; ich widok działał rewolwerowcowi na nerwy.

Światło stawało się coraz jaśniejsze i raziło ich trochę w oczy, lecz zmiana następowała dość powoli, by mogli do niej przywyknąć. Przechodzili z ciemności do światła niczym nurkowie wracający powoli i stopniowo z przepastnych głębin.

Zbliżali się do wielkiego hangaru, jego szczytowa ściana ginęła w mroku. Wiodło do niego około dwudziestu czterech wjazdów odcinających się żółtymi kwadratami światła; gdy podjechali bliżej, urosły z rozmiarów dziecinnych okienek do wysokości dwudziestu stóp każdy. Wjechali do środka przez któreś ze środkowych wrót. Na górze widniały napisy, jak przypuszczał rewolwerowiec, w wielu językach. Ze zdumieniem odkrył, że potrafi przeczytać ostatni, w prążeń-  
języku Wysokiej Mowy. Brzmiał on:

#### TOR 10. NA POWIERZCHNI W KIERUNKU ZACHODNIM.

W środku było znacznie jaśniej; tory spotykały się i łączyły poprzez system zwrotnic. Działała tutaj część regulujących ruch sygnalizatorów, mrugając bez przerwy czerwonymi, zielonymi i bursztynowymi światłami.

Przez jakiś czas toczyli się pomiędzy wysokimi kamiennymi nasypami, oblepionymi czarnym błotem przez tysiące pojazdów, w końcu znaleźli się wewnątrz hali, która przypominała centralny dworzec. Rewolwerowiec zatrzymał powoli drezynę i rozejrzeli się dookoła.

— To wygląda jak metro — powiedział chłopiec.

— Metro?

— Nieważne.

Chłopiec wyskoczył na twardy cement. Popatrzyli na ciche opuszczone kioski, w których sprzedawano kiedyś gazety i książki; na starodawny sklep z butami, sklep z sukniami dla kobiet i sklep z bronią (rewolwerowiec z nagłym dreszczem podniecenia zobaczył rewolwery i strzelby; przy bliższej inspekcji okazało się niestety, że lufy mają zalane ołowiem, lecz zabrał łuk, który zawiesił sobie na plecach, oraz kołczan prawie bezużytecznych, źle wyważonych strzał). Gdzieś niedaleko tłoczył bez przerwy powietrze wentylator — tak jak to czynił od tysięcy lat, ale chyba niewiele dłużej, w środku mechanizmu coś skrzypiało, przypominając, iż *perpetum mobile* nawet w ściśle dozorowanych warunkach jest marzeniem idioty. Powietrze miało mechaniczny posmak. Ich kroki odbijały się płaskim echem.

— Hej! Hej! — zawołał chłopiec.

Rewolwerowiec ruszył w jego stronę. Jake stał jak wryty przed kioskiem z książkami, w środku, w przeciwległym rogu, spoczywała mumia ubrana w niebieski mundur ze złotymi lamówkami — na pierwszy rzut oka uniform kolejjarza. Na jej kolanach leżała starodawna, idealnie zachowana gazeta, która rozsypała się

w pył, kiedy rewolwerowiec chciał się jej z bliska przyjrzeć. Twarz mumii była niczym stare pomarszczone jabłko. Rewolwerowiec dotknął ostrożnie policzka, w powietrze uniósł się mały obłoczek pyłu i przez otwór w skórze ujrzeli wnętrze ust. Zamigotał złoty ząb.

— To gaz — mruknął rewolwerowiec. — Kiedyś potrafili wyprodukować gaz, który robił coś takiego.

— Używali go na wojnie — stwierdził ponuro chłopiec.

— Tak.

Były i inne mumie, niezbyt wiele, kilka — wszystkie ubrane w niebiesko-złote galowe uniformy. Rewolwerowiec przypuszczał, że gazu użyto w czasie, gdy nikt tu nie przyjeżdżał i nie odjeżdżał. Być może kiedyś, w zamierzchłej przeszłości stacja stała się wojskowym celem jakiejś armii i dawno minionej sprawy.

Ta myśl wprawiła go w przygnębienie.

— Lepiej stąd się zbierajmy — powiedział i skierował się z powrotem w stronę toru numer 10, na którym stała drezyna.

Jake jednak nie ruszył się z miejsca.

— Nie idę.

Rewolwerowiec odwrócił się zaskoczony. Twarz chłopca była skrzywiona i drżąca.

— Nie dostaniesz tego, czego chcesz, póki nie umrę. Zaryzykuję w pojedynkę.

Rewolwerowiec pokiwał obojętnie głową, nienawidząc się za to.

— Okej — powiedział, po czym przeszedł po kamiennym peronie i zeskoczył bez trudu na drezynę.

— Dobiłeś targu! — krzyknął za nim chłopiec. — Wiem, że to zrobiłeś!

Zamiast odpowiedzieć rewolwerowiec położył ostrożnie łuk w bezpiecznym miejscu, pod drążkiem wystającym z podłogi drezyny.

Chłopiec zacisnął pięści, twarz miał ściągniętą bólem.

Jak łatwo udało ci się oszukać tego małego chłopca, pomyślał cierpko rewolwerowiec. Po raz kolejny intuicja doprowadziła go do trafnego wniosku i po raz kolejny daje ci się wodzić za nos — jesteś w końcu jego jedynym przyjacielem.

Przyszła mu nagle do głowy prosta myśl (niemal wizja), że powinien dać za wygraną: musiał tylko zawrócić, zabrać chłopca ze sobą i uczynić go źródłem nowej mocy. Wieży nie trzeba było zdobywać w ten upokarzający, uwłaczający sposób. Niech to się stanie, kiedy chłopiec nabierze lat, kiedy obaj będą mogli odsunąć człowieka w czerni na bok, niczym tanią nakręcaną zabawkę.

Jasne, pomyślał cynicznie. Jasne.

Zorientował się z nagłym chłodem, że powrót oznacza śmierć dla nich obu — śmierć albo coś jeszcze gorszego: zamknięcie w grobie razem z żywymi trupami. Utratę wszelkich władz umysłowych. Rewolwery jego ojca przeżyłyby prawdopodobnie ich obu, otoczone parszywą czcią jako totemy niezbyt różniące się od zapomnianej pompy benzynowej.



— Pokaż choć trochę jaj — powiedział sobie bez przekonania.

Sięgnął po dźwignię i opuścił ją w dół. Drezyna ruszyła z miejsca.

— Zaczekaj! — zawołał chłopiec i zaczął biec ukosem w stronę miejsca, gdzie drezyna miała zanurzyć się z powrotem w mrok.

Rewolwerowiec miał ochotę przyspieszyć, zostawić go samego albo przynajmniej w niepewności.

Zamiast tego złapał Jake'a w locie. Małe serce bębniło i trzepotało pod cienką koszulą, kiedy się do niego przytulił.

Było teraz bardzo blisko.

\* \* \*

Szum rzeki stał się bardzo głośny; wypełniał nieustającym grzmotem nawet ich sny. Rewolwerowiec, bardziej z kaprysu niż z realnej potrzeby, pozwolił chłopcu zająć swoje miejsce przy dźwigni, a sam wystrzelił w mrok kilka strzał, do których przywiązał cienką białą nitkę.

Zachowany jakiś cudem łuk znajdował się w fatalnym stanie; był kompletnie niecelny i miał zły naciąg. Rewolwerowiec wiedział, że trudno będzie polepszyć jego osiągi. Nawet nowa cięciwa nie była w stanie pomóc spróchniałemu drewnu. Strzały nie doleciały daleko w ciemności, lecz ostatnia, którą wypuścił i przyciągnął z powrotem, była mokra i śliska. Zapytany przez chłopca o odległość strzału, rewolwerowiec wzruszył tylko ramionami, osobiście jednak wątpił, by wypuszczona ze zbutwiałego łuku strzała pokonała więcej niż sto jardów.

Szum był coraz głośniejszy.

Po trzecim popasie od opuszczenia stacji znów pojawiło się widmowe promieniowanie. Znaleźli się w długim tunelu wykutym w dziwnej fosforyzującej skale. Wilgotne ściany lśniły i migotały tysiącami miniaturowych gwiazdnych rozbłysków. Wszystko skąpane było w jakiejś nadrealnej niesamowitej poświacie gabinetu grozy.

Ogłuszający szum rzeki docierał do nich poprzez naturalną nagłośnię, którą tworzyła otaczająca ich skała. Mimo to dźwięk wydawał się dziwnie niezmienny, nawet kiedy zbliżali się do skrzyżowania, które zdaniem rewolwerowca z pewnością się przed nimi znajdowało, ponieważ tunel się poszerzył, a ściany uciekły w bok. Kąt, pod którym się wznosili, wyraźnie wzrósł.

Szyny wiodły prosto jak strzała. Nowe światło przypominało rewolwerowcowi rurki z bagiennym gazem, sprzedawane czasami za ciężkie pieniądze na jarmarku świętego Józefa; chłopcu kojarzyło się z niemającymi końca proporcami neonów, w jego blasku ujrzeli obaj, że skalny tunel, w którym spędzili tyle czasu, kończy

się nagle dwoma poszarpanymi bliźniaczymi cyplami, wycelowanymi w otchłanny mrok. Gdzieś niżej płynęła rzeka.

Tory biegły dalej nad niewiadomej wysokości przepaścią, wsparte na pochodzącej z zamierzchłej epoki estakadzie, a na samym krańcu, w wydawałoby się niewiarygodnej odległości, jarzyła się malutka kropka światła — nie fluoryzującego lub fosforyzującego, lecz twardego, prawdziwego, dziennego światła. Malutka niczym zrobiona igłą dziurka w ciemnej tkaninie, lecz brzemien-na w złowrogie znaczenie.

— Przystańmy — odezwał się chłopiec. — Przystańmy na chwilę. Proszę.

Rewolwerowiec zatrzymał bez słowa sprzeciwu drezynę. Za sobą i przed sobą słyszał jednostajny huk rzeki. Poczł nagle, że nie może znieść emanującego z wilgotnych skał sztucznego światła. Po raz pierwszy ogarnęła go klaustrofobia i potężne, niepowstrzymane pragnienie, by się stąd wydostać, by wydobyć się z tego grobu, w którym dali się zakopać żywcem.

— Pojedziemy teraz dalej — powiedział chłopiec. — Czy tego on chce? Żebyśmy pojechali drezyną nad... nad tym... i runęli w dół?

Rewolwerowiec wiedział, że jest inaczej.

— Nie mam pojęcia, czego on chce — odparł jednak.

— Jesteśmy teraz blisko. Nie możemy pójść dalej pieszo?

Wysiedli i zbliżyli się ostrożnie do krawędzi. Skalne podłoże pod ich stopami ciągnęło się jeszcze przez kilkanaście jardów, a potem urywało raptownie pod ostrym kątem. Dalej szyny biegły same.

Rewolwerowiec uklęknął i spojrzał w dół. Zobaczył skomplikowaną, prawie niewiarygodną płataninę stalowych wsporników i belek, które ginęły tam, skąd dobiegał szum rzeki, podtrzymując zawieszony z gracją nad otchłanią łuk estakady.

Wyobraził sobie stal nadgryzaną przez zabójczy tandem czasu i wody. Ile zostało wsporników? Mało? Kilka? Ani jeden? Przypomniał sobie twarz mumii... jej skóra, na pozór stała, rozsypała się w proch przy pierwszym dotknięciu jego palców.

— Pójdziemy pieszo — zgodził się.

Spodziewał się trochę dąsów ze strony chłopca, lecz on wyprzedził go i zaczął iść po torach, stawiając spokojnie i pewnie stopy na podkładach ze spawanej stali. Rewolwerowiec ruszył w ślad za nim, gotów złapać go, gdyby podwinęła mu się noga.

Zostawili za sobą drezynę i posuwali się ostrożnie, stąpając nad ciemną otchłanią.

Rewolwerowiec czuł, jak jego ciało oblewa się potem. Estakada była przerdzewiała, bardzo przerdzewiała. Poskrzypywała pod jego stopami w pijackim rytmie płynącej gdzieś daleko na dole rzeki, kołysząc się lekko na niewidocznych linach. Jesteśmy akrobatami, pomyślał. Popatrz, matko, nie ma sieci. Frunę. Po ja-

kimś czasie ukląkł i zbadał podkłady, po których szli. Rdza wyżarła w nich dziury (na twarzy czuł przyczynę — powiew świeżego powietrza, przyjaciela korozji; znajdowali się teraz bardzo blisko powierzchni). Uderzony silnie pięścią metal niezdrowo drżał. Raz usłyszał pod stopą ostrzegawczy zgrzyt i poczuł, jak stal zamierza ustąpić, ale udało mu się zrobić następny krok.

Chłopiec był oczywiście o ponad sto funtów lżejszy i z tego względu mniej zagrożony upadkiem, a jednak wędrówka stawała się coraz trudniejsza.

Stojąca za nimi dreźyna zniknęła w mroku. Kamienny pomost po lewej stronie wystawał może na dwadzieścia stóp. Dalej niż ten po prawej, lecz po chwili także zniknął za ich plecami i znaleźli się nad otchłanią.

Z początku wydawało się, że malutki punkcik światła w ogóle się nie przybliża (być może oddalał się szyderczo w takim samym tempie, w jakim się do niego zbliżali — co stanowiłoby naprawdę cudowny przykład magii), lecz po jakimś czasie rewolwerowiec uświadomił sobie, że staje się coraz większy, coraz wyraźniejszy. Wciąż znajdował się wyżej, a tory stale się wznosiły.

Chłopiec stęknął nagle, przechylił się na bok i zakręcił powoli wiatraka rękoma. Wydawało się, że bardzo długo chwiał się na krawędzi, nim zrobił następny krok w przód.

— Mało brakowało — powiedział cicho, bez emocji. — Omiń ten podkład.

Rewolwerowiec posłuchał go. Podkład, na który postawił stopę chłopiec, oderwał się całkowicie od jednej szyny i kołysał swobodnie na przezartym rdzą nicie, niczym okiennica w nawiedzonym przez duchy domu.

Pod górę, wciąż pod górę. To była koszmarna wędrówka. Wydawało się, że trwa o wiele dłużej, niż trwała; samo powietrze zgęstniało i stało się podobne do melasy. Rewolwerowiec miał wrażenie, że bardziej płynie, niż idzie. Jego umysł starał się raz po raz analizować uważnie tę straszliwą pustkę pomiędzy estakadą i płynącą w dole rzeką. Widział ją ze wszystkimi detalami, wyobrażał sobie, jak to będzie wyglądało: zgrzyt wykręcane go metalu, utrata równowagi, palce na próżno usiłujące się czegoś złapać, szybki hurgot podeszew o zdradziecką, skorodowaną stal — a potem w dół, powolny młynek w powietrzu, nagłe ciepło w kroczu, gdy opróżni się pęcherz, powiew wiatru, który rozwieje w komiksowym przerażeniu włosy i wciśnie oczy w głąb czaszki, ciemna woda wybiegająca mu na spotkanie, coraz szybciej, wyprzedzająca nawet jego własny krzyk. . .

Metal zazgrzytał pod nim i rewolwerowiec, nie spiesząc się, przeniósł dalej ciężar ciała, nie myśląc o przepaści ani o tym, jak daleko zaszedł i ile mu jeszcze zostało. Nie myśląc o tym, że chłopiec jest spisany na straty i że cena jego honoru została w końcu prawie ustalona.

— Brakuje trzech podkładów — oświadczył chłodno Jake. — Będę skakał. Tutaj! Tutaj!

Rewolwerowcowi mignęła przez moment w dziennym świetle jego sylwetka, niezgrabna zgarbiona postać z rozpostartymi rękoma i nogami. Chłopiec wyłodo-

wał i cała konstrukcja niebezpiecznie się zachybotwała. Metal pod nimi zaprotestował i gdzieś daleko na dole coś oderwało się z trzaskiem i wpadło z pluskiem do wody.

— Jesteś po drugiej stronie? — zapytał rewolwerowiec.

— Tak — dobiegł z oddali głos chłopca. — Ale podkład jest bardzo zardzewiał. Nie sądzę, żeby cię utrzymał. Mnie tak, ciebie nie. Wracaj. Wracaj i zostaw mnie w spokoju.

Miał histeryczny głos — chłodny, lecz histeryczny.

Rewolwerowiec przesadził wyrwę. Wystarczył mu jeden duży krok. Chłopiec bezradnie drżał.

— Wracaj. Nie chcę, żebyś mnie zabił.

— Na litość boską, idź dalej! — rzucił szorstko rewolwerowiec. — Wszystko zaraz się rozleci.

Chłopiec ruszył chwiejnie, wyciągając przed siebie drżące ręce z rozczapierzonymi palcami.

Szli dalej pod górę.

Estakada była teraz znacznie bardziej skorodowana. Często brakowało jednego, dwóch, a nawet trzech podkładów. Puste przestrzenie między szynami były coraz dłuższe i rewolwerowiec przypuszczał, że wkrótce będą musieli zawrócić albo stąpać po samych torach, balansując nad przyprawiającą o zawrót głowy przepaścią.

Oczy miał utkwione w świetle dnia.

Blask nabrał koloru — koloru błękitu — i w miarę, jak się zbliżali, stawał się coraz łagodniejszy, przyćmiewając fosforyzujące skały. Pięćdziesiąt czy sto jardów? Nie potrafił powiedzieć.

Przechodząc z podkładu na podkład, patrzył teraz pod nogi. Kiedy ponownie podniósł wzrok, blask zmienił się w otwór. To już nie była abstrakcyjna jasność, ale wyjście na zewnątrz. Prawie tam dotarli.

Tylko trzydzieści jardów. Dziewięćdziesiąt krótkich stóp. To powinno się udać. Może dopadną człowieka w czerni. Być może w jasnym świetle dnia zwiędną kwitnące w jego umyśle kwiaty zła i wszystko okaże się możliwe.

Coś zakryło nagle słońce.

Zaskoczony rewolwerowiec podniósł wzrok i zobaczył postać, która przesłoniła całe światło, całe je pochłonęła, pozostawiając tylko skrawki błękitu wokół zarysu ramion i w prześwicie krocza.

— Cześć chłopcy!

Przepojony sarkazmem głos człowieka w czerni potoczył się ku nim potężnym echem, które wzmacniała naturalna głośnia skały. Rewolwerowiec poszukał na oślep kości żuchwy, lecz nie znalazł jej, zgubiła się, została zużyta.

Człowiek w czerni roześmiał się. Jego śmiech rozbrzmiewał wokół nich, hucząc niczym wypełniający jaskinie przybój. Chłopiec krzyknął i zachwiał się. Jego

i ramiona znowu zaczęły kręcić młynka w rozrzedzonym powietrzu.

Pod nimi rwał się i dygotał metal; szyny powoli i sennie wyginały się w łuk. Chłopiec dał nurka; ręka zatrzepotała i niczym mewa w ciemności, w górę, w górę, a potem zawisł nad otchłanią; kołysząc się, wlepił w rewolwerowca ciemne oczy, w których malowała się ostateczna ślepa i utracona świadomość.

— Pomóż mi.

— Chodź już, rewolwerowcze! — zahuczał głos. — Albo nigdy mnie nie złapiesz!

Wszystkie sztony na stole. Wszystkie karty odkryte, wszystkie prócz jednej. Chłopiec wisiał niczym żywa karta tarota, Wisielec, Fenicki Żeglarz, ten, który utracił niewinność, tuż-tuż nad falami styksowego morza.

„Poczekaj, poczekaj chwilę.”

— Czy mam odejść? — Głos tak donośny, że nie sposób myśleć, głos władający ludzkim umysłem. . .

„Nie pękaj, zanuć smutną pieśń i pokrzep się. . .”

— Pomóż mi.

Most zaczął się coraz bardziej wyginać, skrzypiąc, odrywając się od reszty konstrukcji, opadając. . .

— W takim razie muszę cię zostawić.

— Nie!

Nogi poniosły go same, wrywając gwałtownie z paralizującej entropii — ponad wiszącym chłopcem, długimi susami ku światłu. Ku Wieży, która zastygła czarnym fryzem na siatkówce oka jego duszy. Nagle zrobiło się i cicho, człowiek w czerni zniknął, umilkło nawet serce rewolwerowca; most przechylił się jeszcze bardziej, a potem oderwał i zaczął powolny taniec w otchłań; ręka rewolwerowca znalazła skapaną w świetle kamienną krawędź potępienia, a za nim, w straszliwej ciszy, chłopiec odezwał się z miejsca, które znajdowało się o wiele niżej.

— Więc idź. Są światy inne niż ten.

Wszystko się od niego oderwało, cały ciężar; podciągając się do góry, ku światłu, powiewowi bryzy i realiom nowej karmy („wszyscy błyszczymy”), odwrócił głowę z powrotem, starając się w swoim bólu być przez chwilę Janusem — ale z tyłu nie było niczego, tylko mknąca w dół cisza, gdyż chłopiec nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Wspiął się na skalną skarpe i zobaczył przed sobą porośniętą trawą halę i człowieka w czerni, który stał na szeroko rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

Rewolwerowiec trzymał się chwiejnie na nogach, blady jak duch, z wielkimi załawionymi oczyma i koszulą, którą wysmarował białym pyłem w trakcie ostatniej rozpaczliwej wspinaczki. Przyszło mu do głowy, że zawsze będzie uciekał przed tym morderstwem. Przyszło mu do głowy, że przy dalszych czekających go degradacjach ducha ta wyda się nieskończenie mała, a mimo to wciąż będzie

przed nim uciekał, przez miasta i korytarze, z łóżka do łóżka; będzie uciekał przed twarzą chłopca i szukał zapomnienia w ramionach kobiet lub znowu sięjąc zniszczenie, by dotrzeć w końcu do ostatniej komnaty i ujrzeć tę twarz nad płomykiem świecy. On stał się chłopcem; chłopiec stał się nim. Był, niczym wurdalak, wilkołakiem własnego chowu i w głębokich snach zmieni się w chłopca i będzie mówił w obcych językach.

To jest śmierć. Czyżby? Czyżby?

Powoli, chwiejnym krokiem, ruszył po skalistym zboczu tam, gdzie czekał na niego człowiek w czerni. Tu, pod słońcem rozumu, szyny rozsypały się w pył i mogło się wydawać, że nigdy ich nie było.

Człowiek w czerni roześmiał się i ściągnął kaptur wierzchem obu dłoni.

— A więc tak! — zawołał. — To nie koniec, ale koniec początku? Robisz postępy, rewolwerowcze! Robisz postępy! Och, jak ja ciebie podziwiam!

Rewolwerowiec wyciągnął z zawrotną szybkością broń wypalił dwanaście razy. Błyski wystrzałów przyćmiły samo słońce, huk odbił się echem od stojących za ich plecami skał.

— No, no — mruknął, nie przestając się śmiać, człowiek w czerni. — Odprawiliśmy razem wielkie czary, ty ja. Prędzej zabijesz siebie niż mnie.

Uśmiechając się i nie odrywając wzroku od rewolwerowca, zaczął się cofać.

— Chodź. Chodź. Chodź — przyzywał go.

I rewolwerowiec podążył za nim w popękanych butach na miejsce narady.

# **Rewolwerowiec i Człowiek w Czerni**

Człowiek w czerni poprowadził go na starożytne miejsce egzekucji, żeby odbyć naradę. Rewolwerowiec od razu wiedział: to była golgota, miejsce czaszek. Wyblakłe czaszki obracały ku nim puste spojrzenia — czaszki bydła, kojotów, jeleni, królików. Tutaj alabastrowy ksylofon bażancicy zabitej, gdy się pożywiała, ówdzie delikatne kosteczki kreta zabitego zapewne dla przyjemności przez dziokiego psa.

Golgota była nieką wciętą w opadające zbocze góry. Niżej, na mniejszej wysokości rewolwerowiec zobaczył drzewka Jozuego i karłowate jodły. Błękitne niebo nad głową było jaśniejsze od tego, które oglądał w ciągu minionych dwunastu miesięcy, w powietrzu czuć było coś nieokreślonego, co świadczyło o bliskości morza.

„Jestem na Zachodzie, Cuthbercie”, pomyślał ze zdumieniem.

I oczywiście w każdej czaszce, w każdym owalu pustego oczodołu widział twarz chłopca.

Człowiek w czerni siedział na starodawnej kłodzie żelaznego drzewa. Jego buty były oproszone kurzem i wszechobecnym w tym miejscu nieprzyjemnym kostnym pyłem. Ponownie nałożył kaptur, lecz rewolwerowiec widział wyraźnie podbródek i zarys szczęki. Schowane w cieniu wargi rozchyliły się w uśmiechu.

— Nazbieraj drewna na opał, rewolwerowcze, z tej strony gór zbocza są łagodne, ale można tu uświerknąć z zimna. To w końcu miejsce śmierci, nieprawdaż?

— Zabiję cię — powiedział rewolwerowiec.

— Nie, nie zrobisz tego. Nie możesz. Ale możesz nazbierać drew. To przypomni ci twojego Izaaka.

Rewolwerowiec nie zrozumiał aluzji. Oddalił się bez słowa i niczym zwykły ciura zaczął szukać drewna na opał. Nie udało mu się wiele znaleźć. Po tej stronie gór nie rościło diabelskie ziele, a żelazne drzewo się nie paliło, w końcu wrócił z naręczem drzewien, obsypany sproszkowaną kością, jakby unurzał się w mące. Słońce, które schowało się za najwyższymi drzewkami Jozuego, przybrało czerwony kolor i przyglądało im się ze złowrogą obojętnością zza czarnych udreńczonych gałęzi.

— Doskonale! — ucieszył się człowiek w czerni. — Jakież z ciebie wyjątkowy człowiek! Jaki metodyczny! Składam ci uszanowanie!

Zachichotał i rewolwerowiec rzucił mu drewno pod nogi, w powietrze uniósł się kostny pył.

Człowiek w czerni nie wzdrygnął się ani nie cofnął; zaczął po prostu układać drwa. Rewolwerowiec patrzył zafascynowany, jak powstaje nowy ideogram. Przypominał skomplikowany podwójny komin o wysokości mniej więcej dwóch stóp. Ukończywszy go, człowiek w czerni podniósł rękę ku niebu, strząsając obszerny rękaw z wąskiej wypielęgnowanej dłoni, a potem nagle ją opuścił, (prostując mały i wskazujący palec w tradycyjnym znaku) złego uroku. Przy ziemi buchnął niebieski płomień i rozpałiło się ognisko.



— Mam zapalki — stwierdził jowialnie człowiek w czerni — ale pomyślałem, że być może spodobają ci się czary. Nie za darmo, rewolwerowcze, a teraz ugotuj nam obiad.

Poły szaty zadrżały i na ziemię spadł wypatroszony, odarty ze skóry tłusty królik.

Rewolwerowiec nadział go bez słowa na rożen i zaczął piec, w powietrzu rozszedł się smakowity zapach; słońce chyliło się ku zachodowi. Nad niecką, którą człowiek w czerni wybrał, by stawić mu w końcu czoło, unosiły się zgłodniałe purpurowe cienie. Królik przyrumienił się i rewolwerowiec poczuł, że burczy mu w brzuchu. Ale kiedy mięso się upiekło, bez słowa wręczył rożen człowiekowi w czerni, po czym poszperał w swojej sakwie i wyciągnął z niej ostatni kawałek suszonej wołowiny. Miała słony smak łoż i bolały od niej usta.

— To bezsensowny gest — stwierdził człowiek w czerni i w jego głosie zabrzmiały jednocześnie gniew i rozbawienie.

— Trudno — odparł rewolwerowiec.

W ustach miał małe ranki powstałe z braku witamin. Sól wykrzywiła jego twarz w gorzkim uśmiechu.

— Boisz się zaczarowanego mięsa?

— Tak.

Człowiek w czerni ściągnął z głowy kaptur.

Rewolwerowiec przyjrzał mu się w milczeniu. Na swój sposób twarz człowieka w czerni niemile go zaskoczyła. Była przystojna i regularna, pozbawiona śladów, po których można by poznać, że ma przed sobą człowieka, który niejedno przeszedł i którego dopuszczono do wielkich i nieznanym sekretów. Miał zmierzwiłone czarne włosy, wysokie czoło, ciemne błyszczące oczy, nieokreślonego kształtu nos, zmysłowe pełne usta i, podobnie jak rewolwerowiec, bladą cerę.

— Spodziewałem się kogoś starszego — stwierdził w końcu.

— Niekoniecznie. Jestem prawie nieśmiertelny. Mógłbym oczywiście przybrać rysy, których bardziej byś się spodziewał, ale wolałem pokazać ci te, z którymi... ee... się urodziłem. Spójrz, rewolwerowcze, zachód słońca.

Słońce schowało się już za horyzontem i niebo na zachodzie przybrało posępny barwę gasnącego paleniska.

— Nie zobaczysz następnego wschodu słońca przez okres, który może ci się wydać bardzo długi — powiedział cicho człowiek w czerni.

Rewolwerowiec przypomniał sobie otchłań pod górami i spojrzał na niebo, na którym, jakby na umówiony sygnał, zapaliły się liczne konstelacje.

— Teraz to nie ma znaczenia — odparł tak samo cicho.

\* \* \*

Tasowane przez człowieka w czerni karty zlewały się z sobą. Talia była wielka, wzór na odwrotnej stronie kart skomplikowany.

— To karty tarota — wyjaśnił. — Standardowa talia, do której dodałem kilka kart mojego własnego pomysłu. Patrz uważnie, rewolwerowcze.

— Dlaczego?

— Mam zamiar przepowiedzieć ci przyszłość, Rolandzie. Trzeba odwrócić siedem kart, każdą osobno, i umieścić w koniunkcji z innymi. Nie robiłem tego od ponad trzystu lat, i podejrzewam, że nigdy nie czytałem takich jak twoje. — Kpiąca nuta, która zabrzmiała znowu w jego głosie, była niczym zakradający się nocą, z nożem w garści, kuwiański żołnierz. — Jesteś ostatnim na tym świecie łowcą przygód. Ostatnim krzyżowcem. Jakże musi cię to cieszyć, Rolandzie! Nie masz pojęcia, jak blisko Wieży się znalazłeś, jak blisko w czasie. Światy obracają się wokół twojej głowy.

— Przepowiedz mi przyszłość — wychrypiał rewolwerowiec.

Odkryta została pierwsza karta.

— Wisielec — stwierdził człowiek w czerni. Zmierzch zwrócił mu jego kaptur. — Ale tu, nie wchodząc w koniunkcję z żadną inną, nie oznacza śmierci, lecz siłę. To ty, rewolwerowcze, jesteś Wisielcem, uparcie podążającym do celu, podążającym doń ponad wszystkimi czeluściami Hadesu. Straciłeś już w otchłań jednego towarzysza podróży, nieprawdaż?

Człowiek w czerni odwrócił drugą kartę.

— Żeglarz. Zwróć uwagę na jasną brew, gładkie policzki, zbolące oczy. On tonie, rewolwerowcze, i nikt nie rzuca mu liny. To chłopiec, Jake.

Rewolwerowiec skrzywił się i nic nie powiedział.

Odkryta została trzecia karta. Na ramieniu młodzieńca siedział okrakiem szczerzący zęby pawian. Na zwróconej w górę twarzy młodzieńca widniał wystylizowany grymas strachu i grozy. Przyjrząwszy się bliżej, rewolwerowiec spostrzegł, że pawian trzyma w łapie bicz.

— Więzień — oznajmił człowiek w czerni.

Ogień rzucał na kartę niemile migotliwe cienie; zdawało się, że twarz młodzieńca porusza się i krzywi w bezgłośnym przerażeniu. Rewolwerowiec odwrócił wzrok.

— Trochę denerwujące, prawda? — zapytał człowiek w czerni i zrobił taką minę, jakby miał ochotę parsknąć śmiechem.

Ukazał czwartą kartę. Kobieta z szalem na głowie przędła nitkę na kołowrotku. Przyglądając się jej zażawionymi oczyma, rewolwerowiec nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta jednocześnie szlocha i chytrze się uśmiecha.

— Władczym Mroku — wyjaśnił człowiek w czerni. — Nie wydaje ci się dwulicowa, rewolwerowcze? Jest taka. Prawdziwy z niej Janus.

— Dlaczego mi to pokazujesz?

— Nie pytaj! — zakazał ostro człowiek w czerni i zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Nie pytaj. Tylko patrz. Jeśli cię to uspokoi, potraktuj to jako bezsensowny rytuał. Jak w kościele.

Zachichotał i odwrócił piątą kartę.

Szczerzący zęby zniwiarz zaciskał w kościstych palcach kosę.

— Śmierć — powiedział krótko człowiek w czerni. — Lecz jeszcze nie dla ciebie.

Szósta karta.

Rewolwerowiec spojrział na nią i poczuł dziwne mrowienie w żołądku. Przeżycie tego, co się stanie, wypełniło go radością i grozą; nie sposób było określić jednym słowem tej emocji. Miał wrażenie, że jednocześnie tańczy i zbiera mu się na mdłości.

— Wieża — oznajmił cicho człowiek w czerni.

Karta rewolwerowca leżała pośrodku, następne w czterech rogach niczym krążące wokół gwiazdy satelity.

— Gdzie miejsce tej karty? — zapytał rewolwerowiec.

Człowiek w czerni położył Wieżę na Wisielcu, kompletnie go zakrywając.

— Co to oznacza?

Człowiek w czerni nie odpowiedział.

— Co to oznacza? — powtórzył ochryple rewolwerowiec.

Człowiek w czerni nie odpowiedział.

— Niech cię diabli!

Bez odpowiedzi.

— Jaka jest siódma karta?

Człowiek w czerni odkrył siódmą kartę. Na błękitnym niebie świeciło słońce. Wokół niego tańczyły kupidyny i duchy.

— Siódma karta to Życie — oznajmił cicho człowiek w czerni. — Ale nie dla ciebie.

— Gdzie jest jej miejsce?

— Nie powinienes tego wiedzieć. Ja też nie — stwierdził człowiek w czerni, po czym cisnął beztróska kartę w gasnące ognisko, gdzie zwęgliła się, zwinęła i zabłysła płomieniem. Rewolwerowiec poczuł, jak jego serce drży i obraca się w lód.

— Teraz zaśnij — rzucił lekkim tonem człowiek w czerni. — Być może coś ci się przyśni.

— Zaduszę cię — zawołał rewolwerowiec.

Podkurczył z niesamowicie dziką szybkością nogi i dał susa przez ognisko.

Uśmiechnięty człowiek w czerni urósł w jego oczach i zniknął w głębi rozbrzmiewającego echem długiego korytarza, w którym stały obsydianowe pylony.

Świat wypełnił się jego szyderczym śmiechem. Rewolwerowiec spadał, umierał, zasypiał.

Przyśnił mu się sen.

Wszechświat był pusty. Nic się nie poruszało. Niczego nie było.

Rewolwerowiec dryfował w nim otumaniony.

— Niech stanie się światło — odezwał się nonszalancki głos człowieka w czerni i stało się światło. Rewolwerowcowi przeszło przez głowę, że światło jest dobre.

— A teraz ciemność nad głowami i rozświetlające ją gwiazdy, i woda na dole.

Stało się. Rewolwerowiec unosił się nad bezkresnymi morzami. Na górze migotały gwiazdy.

— Łąd — poprosił człowiek w czerni.

I stał się łąd; wynurzył się z wody w niekończących się, galwanicznych konwulsjach. Był czerwony, jałowy, popękany i sterylnie lśniący. Wulkany wypluwały z siebie magmę niczym wielkie pryszcze na brzydkiej łysej głowie nastolatka.

— Dobrze — stwierdził człowiek w czerni. — To na początek. Teraz stwórzmy jakieś rośliny. Drzewa. Trawę i pola.

Stało się. Tu i ówdzie łaziły dinozaury, porykując, posapując, zjadając się wzajemnie i taplając w cuchnących roponośnych sadzawkach. Wszędzie rosły tropikalne deszczowe lasy. Olbrzymie paprocie wyciągały ku słońcu żłobkowane liście, po niektórych pęzały dwugłowe żuki. Wszystko to zobaczył rewolwerowiec. Mimo to czuł się wielki.

— A teraz człowiek — powiedział cicho człowiek w czerni, lecz rewolwerowiec spadał. . . spadał w górę. Horyzont rozległej żyznej ziemi zaczął się zakrzywiać. Tak, wszyscy mówili, że się zakrzywia, wszyscy jego nauczyciele twierdzili, że udowodniono to na długo, nim świat poszedł naprzód. Ale to. . .

Dalej i dalej. Przed jego zdumionymi oczyma wyodrębniły się kontynenty, które szybko zasłoniły wiry chmur. Atmosfera trzymała świat w swoim łożysku. Słońce zaś, wschodzące za ramieniem ziemi. . .

Rewolwerowiec krzyknął i zasłonił ręką oczy.

— Niech stanie się światło! — Głos, który wymówił te słowa, nie był już głosem człowieka w czerni. Odbijał się gigantycznym echem. Wypełnił przestrzeń i przestrzenie między przestrzeniami.

— Światło!

Rewolwerowiec spadał i spadał.

Słońce skurczyło się. Gdzieś obok przeleciała czerwona, poprzecinana kanałami planeta, którą okrężały wściekle dwa księżycy. Wirujący pas kamieni. Kolejna planeta, kipiąca gazami, zbyt wielka, by je utrzymać i dlatego spłaszczona. Świat pierścieni, najeżony błyszczącymi lodowymi drzazgami.

— „Światło! Niech się stanie. . .”

Inne światy, jeden, drugi, trzeci. Daleko za ostatnim, zbudowana ze skały i lodu, samotna kula, okrążająca je w martwej ciemności słońce, które nie było jaśniejsze od zaśnieżonego miedziaka.

Ciemność.

— Nie — jęknął rewolwerowiec. Jego głos był płaski, nie odbijał się echem. Ciemność była ciemniejsza od ciemności. Przy tej ciemności najciemniejsza noc ludzkiej duszy mogła się wydać słonecznym dniem. Ciemność nad górami lekką smugą na obliczu Światła. — Dostyc, proszę, dostyc. Nie chcę tego więcej. . .

— ŚWIATŁO!

— Dostyc. Proszę, dostyc. . .

Gwiazdy też zaczęły się kurczyć. Całe mgławice zbiegały się i zlewały w bezmyślne smugi. Cały wszechświat zdawał się zbiegać wokół niego.

— Jezu, dostyc, dostyc, dostyc. . .

— W takim razie wycofaj się — szepnął mu jedwabście do ucha człowiek w czerni. — Porzuć wszelkie myśli o Wieży. Idź swoją drogą, rewolwerowcze, i ocal duszę.

Rewolwerowiec zmobilizował siły. Wstrząśnięty i samotny, zagubiony w ciemności, przerażony wyłaniającym się przed nim sensem absolutu, zebrał się w sobie.

— NIE! NIGDY! — oznajmił kategorycznie

— W TAKIM RAZIE NIECH SIĘ STANIE ŚWIATŁO!

I stało się światło, miażdżąc go niczym młot, wielkie, pierwotne światło. Rozpływała się w nim świadomość — ale zanim to się stało, rewolwerowiec zobaczył coś o kosmicznym znaczeniu. Uchwycił się tego z bolesnym wysiłkiem i odnalazł siebie.

Uciekł przed obłędem, który implikowała wiedza, i wrócił do swojej jaźni.

\* \* \*

Trwała noc — nie miał pojęcia, czy ta sama, czy może inna. Dźwignął się z miejsca, w którym wylądował po swoim demonicznym skoku, i spojrzał na kłodę. Człowiek w czerni zniknął.

Ogarnęła go wielka rozpacz. Boże, trzeba będzie przez to wszystko ponownie przejść, pomyślał, a potem usłyszał za sobą głos.

— Jestem tutaj, rewolwerowcze. Nie chciałem siedzieć tak blisko ciebie. Gadasz przez sen.

Człowiek w czerni zachichotał.

Rewolwerowiec chwiejnie ukląkł i odwrócił się, z ogniska został tylko czerwony żar i szary popiół, znajomy wypalony wzór zwęglonych szczap. Człowiek w czerni ogryzał z kości tłuste mięso królika.

— Dobrze się spisałeś — oznajmił. — Nigdy nie mógłbym zesać tej wizji Martenowi. Wróciłby, śliniąc się jak kretyn.

— Co to było? — zapytał rewolwerowiec bełkotliwym, drżącym głosem. Czuł, że jeśli spróbuje wstać, ugną się pod nim nogi.

— Wszechświat — odparł niedbale człowiek w czerni. Beknął i rzucił kości w ognisko, gdzie zaśniły niezdrową białością. Wiatr gwizdał z przejmującym smutkiem nad gólgotą.

— Wszechświat — powtórzył tępo rewolwerowiec.

— Chcesz Wieży — powiedział człowiek w czerni. Zabrzmiało to jak pytanie.

— Tak.

— Ale nie zdobędziesz jej — stwierdził człowiek w czerni i na jego wargach pojawił się okrutny uśmiech. — Widziałem, jak blisko krawędzi znalazłeś się tym razem. Wieża zabije cię w połowie drogi do jej świata.

— Nic o mnie nie wiesz — szepnął rewolwerowiec i jego rozmówca przestał się uśmiechać.

— To ja stworzyłem twojego ojca i zniszczyłem go — stwierdził ponuro. — Ja zaprzyjaźniłem się z twoją matką poprzez Martena i posiadam ją. Tak było zapisane i tak się stało. Jestem najniższym sługą Mrocznej Wieży. Oddano mi we władanie Ziemię.

— Co ja zobaczyłem? — zapytał rewolwerowiec. — Na końcu? Co to było?

— Na co wyglądało?

Rewolwerowiec milczał pogrążony w zadumie. Poszukał tytoniu, lecz nie zostało go ani trochę. Człowiek w czerni najwyraźniej nie miał zamiaru wypełnić jego woreczka przy użyciu czarnej albo białej magii.

— To było światło — oznajmił w końcu rewolwerowiec. — Wielkie białe światło, a potem... — urwał i zerknął na człowieka w czerni, który pochylił się nagle do przodu. Na jego twarzy malowały się niezwykle emocje, zbyt oczywiste, by mógł się ich wyprzeć. Malowała się ciekawość. — Ty tego nie wiesz! — stwierdził rewolwerowiec i zaczął się uśmiechać. — O, wielki czarnoksiężniku, który przywracasz życie umarłym! Ty tego nie wiesz.

— Wiem — odparł człowiek w czerni. — Ale nie wiem... co wiem.

— Białe światło — powtórzył rewolwerowiec. — A potem żdźbło trawy. Jedno jedyne żdźbło trawy, które zasłoniło wszystko, a ja byłem mały. Nieskończenie mały.

— Trawa. — Człowiek w czerni zamknął oczy. Miał zapadłą, wychudłą twarz. — Żdźbło trawy. Jesteś pewien?

— Tak. — Rewolwerowiec zmarszczył brew. — Lecz żdźbło było purpurowe.

\* \* \*

I wtedy człowiek w czerni zaczął mówić.

Wszechświat (powiedział) kryje w sobie paradoks zbyt wielki, by mógł go ogarnąć skończony umysł. Podobnie jak żywy mózg nie potrafi stworzyć niezżytego mózgu — chociaż ludzi się, że to potrafi — tak samo skończony umysł nie może ogarnąć nieskończoności.

Już sam prozaiczny fakt istnienia wszechświata zaprzecza argumentom, jakie mogą wytoczyć pragmatyk i cynik. Dawno temu, sto pokoleń przed tym, nim świat poszedł naprzód, rodzaj ludzki osiągnął wystarczająco wysoki poziom techniczny i naukowy, by odłupać kilka odłamków od wielkiej kamiennej kolumny bytu. Ale nawet wówczas fałszywe światło nauki (lub jeśli wolisz, wiedzy) rozbiły tylko w kilku rozwiniętych krajach.

Mimo olbrzymiej liczby poznanych faktów, w uderzająco małym stopniu zgłębiono istotę rzeczy. Nasi ojcowie, rewolwerowcze, pokonali chorobę tego co gnije, którą nazywamy rakiem, uporali się niemal ze starością, polecili na Księżyc. . .

(— Nie wierzę w to — stwierdził kategorycznie rewolwerowiec, na co człowiek w czerni po prostu się uśmiechnął. — Nie musisz — odparł.)

. . . i stworzyli albo odkryli setki innych cudownych błahostek. Temu bogactwu informacji nie towarzyszyło jednak prawie wcale zgłębienie istoty rzeczy. Nikt nie napisał wspaniałej ody sławiącej cud sztucznego zapłodnienia. . .

(— Co takiego? — Płodzenie dzieci z zamrożonego męskiego nasienia. — Bzdura. — Jak sobie życzysz. . . ale nawet starożytni nie potrafili wyprodukować dzieci z tego materiału.)

. . . albo wozu-co-sam-jedzie. Nieliczni, jeśli w ogóle ktokolwiek, poznali Zasadę Bytu: nowa wiedza prowadzi zawsze do budzących groźbę tajemnic. Głębsza wiedza na temat fizjologii mózgu podaje w wątpliwość istnienie duszy, mimo że sama natura badań czyni je bardziej prawdopodobnym. Rozumiesz? Oczywiście, że nie. Otacza cię własna romantyczna aura, jesteś wtajemniczony w różne arkana. Mimo to zbliżasz się teraz do granic. . . nie do granic wiedzy, lecz pojmowania. Grozi ci odwrócona entropia duszy. Ale przejdźmy do spraw bardziej prozaicznych:

Największą tajemnicą, którą kryje wszechświat, nie jest życie, lecz Rozmiar. Rozmiar zawiera w sobie życie, a Wieża zawiera Rozmiar. Dziecko, które wszystkim się dziwi, pyta ojca: Tato, co jest za tym niebem? I ojciec odpowiada: Mrok przestrzeni. Na to dziecko: a co jest za przestrzenią? Na to ojciec: Galaktyka, a co za galaktyką? Kolejna galaktyka, a za kolejną galaktyką? Tego nie wie nikt. Rozumiesz? Rozmiar skazuje nas na porażkę. Dla ryby wszechświatem jest jezioro, w którym żyje. Co myśli ryba, gdy coś wyrzywa ją za pysk poza srebrne granice jej

istnienia w nowy wszechświat, gdzie tonie w powietrzu, a światło jest błękitnym szaleństwem, w którym wielkie, pozbawione skrzeli dwunożne stworzenia wrzucają ją do skrzyni, gdzie się dusi, i nakrywają mokrym zielskiem, żeby zdechła?

Można też wziąć czubek ołówka i powiększać go do chwili, gdy uświadomimy sobie z oszołomieniem, że czubek ołówka nie jest stały; składa się z atomów, które wirują i obracają się wokół własnych osi niczym trylion demonicznych planet. To, co wydaje nam się stałe, jest w istocie tylko luźną siecią, utrzymywaną w miejscu przez grawitację. Sprowadzone do poprawnych rozmiarów odległości między tymi atomami mogą stać się milami, parsekami, eonami. Same atomy zbudowane są z jąder oraz obracających się protonów i elektronów. Można też zejść stopień niżej, do cząstek elementarnych, a potem do czego? Do tachionów? Do nicości? Oczywiście, że nie. Wszystko we wszechświecie zaprzecza nicości; nie sposób stwierdzić, że rzeczy gdzieś się kończą.

Czy wypadając poza granicę wszechświata, zobaczysz płot i tablicę z napisem ŚLEPA ULICZKA? Nie. Możesz natknąć się na coś twardego i zaokrąglonego — podobnie musi widzieć kurczak jajo od środka, i jeśli spróbujesz przebić tę skorupę, jakie potężne i gorejące światło wpadnie przez otwór na krańcu przestrzeni? Być może wyjrzysz na zewnątrz i odkryjesz, że cały nasz wszechświat stanowi zaledwie cząstkę atomu źdźbła trawy? Być może będziesz musiał uznać, że pałac to źdźbło, spopielasz cały wszechświat? Że istnienie nie zawiera się w jednej nieskończoności, lecz w ich nieskończonej liczbie?

Być może zobaczysz, jakie miejsce zajmuje nasz wszechświat w porządku rzeczy — miejsce atomu w źdźble trawy. Czy to możliwe, by wszystko, co spostrzegamy, poczynając od nieskończonego małego wirusa po odległą Mgławicę Końskiej Głowy, mieściło się w jednym źdźble trawy... źdźble, które w płynącym tam gdzieś indziej czasie istnieje tylko dzień albo dwa? Co się stanie, jeśli to źdźbło zostanie ścięte kosą? Kiedy zacznie więdnąć i rozkład przeniesie się do naszego własnego wszechświata, w nasze życie, czy wszystko stanie się żółte, brązowe i wyschnięte? Może to się już zaczęło. Mówimy, że świat poszedł naprzód; być może chodzi nam o to, że zaczął usychać.

Pomyśl, jak bardzo pomniejsza nas takie widzenie rzeczy, rewolwerowcze! Jeśli Bóg patrzy na to wszystko, czy rzeczywiście wymierza sprawiedliwość rasie muszek żyjącej pośród nieskończonego wielu innych ras muszek? Czy widzi spadającą na ziemię jaskółkę, gdy jest ona mniejsza od pyłku wodoru dryfującego swobodnie w otchłani kosmosu? A jeśli to widzi... jaka musi być natura takiego Boga? Gdzie On mieszka? Jak można żyć poza nieskończonością?

Wyobraź sobie piasek pustyni Mohaine, którą przebyłeś, aby mnie odnaleźć, i wyobraź sobie tryliony wszechświatów — nie światów, lecz wszechświatów — zamkniętych w każdym jego ziarnie; a w każdym z tych wszechświatów nieskończoną liczbę innych. Górujemy nad tymi wszechświatami, ciesząc się z naszej żalosnej przewagi; jednym kopnięciem możesz posłać biliony światów w mrok,



rozerwać łańcuch, który już nigdy się nie połączy.

Rozmiar, rewolwerowcze... Rozmiar...

Idźmy dalej. Przypuśćmy, że wszystkie światy, wszystkie wszechświaty spotykają się w jednym punkcie, w pojedynczym pylonie, w Wieży. Być może na schodach boskości. Czy ośmieliłbyś się, rewolwerowcze? Czy to możliwe, że gdzieś poza bezkresną rzeczywistością istnieje Komnata?

Nie ośmielisz się.

„Nie ośmielisz się.”

\* \* \*

— Ktoś się ośmielił — stwierdził rewolwerowiec.

— Któż taki?

— Bóg — odparł cicho rewolwerowiec. Błyszczały mu oczy. — Bóg się ośmielił... a może komnata jest pusta, jasnowidzu?

— Nie wiem. — Na spokojnej twarzy człowieka w czerni pojawił się przez chwilę strach, miękki i ciemny niczym skrzydło myszołowa. — i co więcej, nie pytam. To mogłoby się okazać nierozsądne.

— Boisz się, że zginiesz? — zauważył szyderczo rewolwerowiec.

— Być może tego, że trzeba będzie zdać rachunek — odparł człowiek w czerni i na moment zapadło milczenie.

Noc była bardzo długa. Nad ich głowami rozpościerała się Mleczna Droga, olśniewająca przepychem i przerażająca pustką. Rewolwerowiec zastanawiał się, co by poczuł, gdyby atramentowe niebo rozszczepiło się i wpuściło do środka potok światła.

— Ognisko — powiedział. — Zimno mi.

\* \* \*

Rewolwerowiec zdrzemnął się. Kiedy się obudził, człowiek w czerni mierzył go niezdrowym chciwym spojrzeniem.

— Na co się tak gapisz?

— Na ciebie, oczywiście.

— To przestań. — Rewolwerowiec pogrzebał kijem w ognisku, niszcząc precyzyjnie ideogramu. — Nie podoba mi się to — stwierdził i spojrzął na wschód, by

zobaczyć, czy nie dnieje. Wydawało mu się, że ta noc nie ma końca.

— Tak wcześnie wyglądasz światła?

— Zostałem stworzony po to, by żyć w świetle.

— To ci się udało! To naprawdę niegrzecznie z mojej strony, że o tym zapomniałem! Mamy jeszcze wiele do omówienia, ty i ja. Takie bowiem jest życzenie mojego pana.

— Kim on jest?

Człowiek w czerni się uśmiechnął.

— Czy mamy zatem powiedzieć sobie prawdę, ty i ja? Koniec z kłamstwami? Koniec z gusłami?

— Co to są gusła?

— Czy mamy sobie wygarnąć prawdę, jak dwaj mężczyźni? — powtórzył z naciskiem człowiek w czerni. — Nie przyjaciele, lecz wrogowie i ludzie równi sobie. To oferta, z którą rzadko się spotkasz, Rolandzie. Tylko wrogowie mówią sobie prawdę. Przyjaciele i kochankowie bez przerwy kłamią, złapani w sieć zobowiązań.

— Zatem powiedzmy sobie prawdę. — Nigdy nie mówił mniej tej nocy. — Na początek wyjaśnij, czym są gusła.

— Gusła to czary, rewolwerowcze. Czary mego pana przedłużyły tę noc i przedłużają jeszcze bardziej... dopóki nie załatwimy tego, co mamy do załatwienia.

— Jak długo to potrwa?

— Długo. Nic mogę ci powiedzieć nic więcej. Sam tego nie wiem. — Człowiek w czerni stanął nad ogniskiem i blask żarzących się głowni wyłobił bruzdy na jego twarzy. — Pytaj. Powiem ci to, co wiem. Dopadłeś mnie. Tak będzie sprawiedliwie; nie sądziłem, że ci się uda. Ale twoja wędrówka dopiero się zaczęła. Pytaj. To powinno nas szybko doprowadzić do sedna.

— Kim jest twój pan?

— Nigdy go nie widziałem, lecz ty musisz. Aby dotrzeć do Wieży, musisz najpierw dotrzeć do niego, do Wiecznego Przybysza. — Człowiek w czerni złośliwie się uśmiechnął. — Musisz go zabić, rewolwerowcze. Wydaje mi się jednak, że nie o to chciałeś zapytać.

— Jak możesz go znać, skoro nigdy go nie widziałeś?

— Odwiedził mnie raz we śnie. Przyszedł do mnie jako młodzian, kiedy mieszkałem w dalekim kraju. Przed tysiącem, a może pięcioma albo dziesięcioma tysiącami lat. Odwiedził mnie, zanim starożytni przepłynęli przez morze, w kraju, który nazywał się Anglia. Powierzył mi tę misję przed wielu stuleciami, lecz w młodości, nim doczekałem się apoteozy, wypełniałem również inne zlecenia. To ty jesteś tą misją — dodał i zachichotał. — Widzisz, ktoś wziął cię na serio.

— Ten Przybysz nie ma imienia?

— A jakże, ma.

— Jak ono brzmi?

— Maerlyn — powiedział cicho człowiek w czerni i gdzieś w ciemności, w górach na wschodzie, zeszła skalna lawina. Puma krzyknęła głosem kobiety. Rewolwerowiec zadrżał, a człowiek w czerni się wzdrygnął. — Mimo to w dalszym ciągu wydaje mi się, że nie o to chciałeś zapytać. Wybieganie myślą naprzód nie leży w twojej naturze.

Rewolwerowiec wiedział, o co chciał zapytać; to pytanie nie dawało mu spokoju przez całą noc i chyba od wielu lat. Zawisło na jego wargach, ale nie zadał go... jeszcze nie.

— Czy ten Przybysz, ten Maerlyn jest sługą Wieży? Tak jak ty?

— O wiele potężniejszym ode mnie. Ma moc cofania się w czasie. Kryje się w mroku. Nadaje barwy. Jest obecny we wszystkich czasach. Mimo to jest ktoś większy od niego.

— Kto?

— Bestia — wyszeptał z lękiem człowiek w czerni. — Strażnik Wieży. Twórca wszelkich guseł.

— Czym jest? Co ta Bestia...

— Nie pytaj o nic więcej! — zawołał człowiek w czerni, w jego głosie zamiast zamierzonej stanowczości zabrzmiał błagalny ton. — Nie wiem! Nie chcę wiedzieć. Mówienie o Bestii to mówienie o stracie własnej duszy. Maerlyn jest przy niej tym, czym ja jestem przy nim.

— A za Bestią jest Wieża, ze wszystkim, co się w niej kryje?

— Tak — szepnął człowiek w czerni. — Ale nie o to chciałeś mnie zapytać. Prawda.

— Owszem — odparł rewolwerowiec, po czym zadał najstarsze na świecie pytanie. — Czy ja cię znam? Czy widziałem cię już wcześniej?

— Tak.

— Gdzie?

Rewolwerowiec pochylił się skwapliwie do przodu. To było pytanie o jego przeznaczenie.

Człowiek w czerni podniósł ręce do ust i zachichotał jak małe dziecko.

— Wydaje mi się, że wiesz.

— Gdzie? — zawołał rewolwerowiec, zrywając się na nogi; jego dłonie powędrowały do wyslizganych rękojeści rewolwerów.

— Nie tak, rewolwerowcze, w ten sposób nie otworzysz żadnych drzwi. Najwyżej zamkniesz je raz na zawsze.

— Gdzie?

— Czy muszę dawać mu wskazówkę? — zapytał człowiek w czerni, zwracając się do kogoś w ciemności. — Chyba muszę. — Spojrzał na rewolwerowca płonącymi oczyma. — Był pewien mężczyzna, który udzielił ci rady. Twój nauczyciel...

— Tak, Cort — przerwał mu niecierpliwie rewolwerowiec.

— Radził ci czekać. To była zła rada. Bo już wtedy Marten knuł przeciwko twojemu ojcu, a kiedy twój ojciec wrócił...

— Został zamordowany.

— I zanim się zorientowałeś, Marten zniknął... wyjechał na zachód, w jego orszaku był mężczyzna... nosił ubiór mnicha i ogolił głowę niczym pokutnik...

— Walter — szepnął rewolwerowiec. — Ty... ty nie jesteś wcale Martenem. Jesteś Walterem!

Człowiek w czerni zachichotał.

— Do usług.

— Powinienem cię teraz zabić.

— To byłoby raczej nie w porządku, w końcu to ja oddałem w twoje ręce Martena trzy lata później, kiedy...

— Wtedy mną manipulowałeś.

— Owszem, pod pewnymi względami. Ale teraz już tego nie robię, rewolwerowcze. Teraz nadszedł czas prawdy. Rano nakreślę runy. Nawiedzą cię sny. Potem musi się zacząć twoja prawdziwa wędrówka.

— Walter — powtórzył oszołomiony rewolwerowiec.

— Usiądź — poprosił go człowiek w czerni. — Opowiem ci moją historię. Twoja, jak sądzę, będzie o wiele dłuższa.

— Nie opowiadam o sobie — mruknął rewolwerowiec.

— A jednak dzisiaj musisz. Żebyśmy mogli zrozumieć.

— Zrozumieć co? Mój cel? Znasz go. Moim celem jest odnalezienie Wieży. Przysiągłem, że to zrobię.

— Nie chodzi o twój cel, rewolwerowcze, lecz o twój umysł. Powolny, metodyczny, wytrwały. Takiego umysłu nie było w całej historii świata. Być może w całej historii stworzenia. Nadszedł czas rozmowy. Czas opowieści.

— Więc opowiadaj.

Człowiek w czerni potrząsnął obszernym rękawem swojej szaty. Na ziemię upadła paczuszka owinięta w folię, w jej załamkach odbił się blask gasnących głowni.

— Tytoń, rewolwerowcze. Masz ochotę zapalić?

Rewolwerowiec potrafił wzgardzić potrawą z królika, ale nie tytoń. Rozewał skwapliwie folię, w środku był znakomity pokruszony tytoń i zdumiewająco wilgotne zielone liście, w które można go było zawinać. Nie widział takiego tytoniu od dziesięciu lat.

Skręcił dwa papierosy i przygryzł je na końcach, żeby uwolnić zapach. Jeden podał człowiekowi w czerni, który nie odmówił. Każdy z nich podniósł płonąca gałązkę z ogniska.

Rewolwerowiec zapalił swojego papierosa. Zamknął oczy, by móc się lepiej skupić, wciągnął głęboko w płuca aromatyczny dym i delektując się, powoli go wydymuchał.

— Dobry tytoń? — zapytał człowiek w czerni.  
— Tak. Bardzo dobry.  
— Naciesz się nim. Być może to ostatni papieros, jaki dane ci będzie wypalić w niezmiernie długim czasie.

Rewolwerowiec nie przejął się tym.

— Bardzo dobrze — stwierdził człowiek w czerni. — Na początek musisz zrozumieć, że Wieża była zawsze, i zawsze byli chłopcy, którzy o niej wiedzieli i pożąдали jej bardziej niż władzy, bogactwa i kobiet. . .

\* \* \*

Potem odbyła się rozmowa, rozmowa, która zajęła całą noc i Bóg jeden wie ile czasu jeszcze, lecz rewolwerowiec pamiętał z niej później bardzo mało. . . i dla jego dziwnie praktycznego umysłu nie miało to większego znaczenia. Człowiek w czerni zakomunikował mu, iż musi iść ku morzu, które znajdowało się w odległości zaledwie dwudziestu mil na zachód, i że tam nadana mu zostanie moc „powołania”.

— Chociaż to też nie do końca prawda — dodał, rzucając papierosa w dopalające się ognisko. — Nikt nie chce ci nadawać żadnego rodzaju mocy, rewolwerowcze; ona po prostu w tobie tkwi, a ja muszę ci o tym powiedzieć, częściowo dlatego że złożyłeś w ofierze chłopca i częściowo dlatego że takie jest prawo; naturalne prawo rzeczy. Woda musi spływać na dół, a ty musisz się dowiedzieć. Rozumiem, że wyciągniesz trójkę, ale tak naprawdę wcale mnie to nie obchodzi. Tak naprawdę wcale nie chcę o tym wiedzieć.

— Trójkę — mruknął rewolwerowiec, myśląc o wyroczni.

— I wtedy dopiero zacznie się zabawa. Ale mnie już od dawna nie będzie. Do widzenia, rewolwerowcze. Moja rola się skończyła. Łańcuch jest w twoich rękach. Uważaj, żeby nie owinął się wokół twojej szyi.

Jakiś zewnętrzny głos zmusił Rolanda do zadania kolejnego pytania.

— Masz mi jeszcze jedną rzecz do powiedzenia, prawda? — zapytał.

— Tak — odparł człowiek w czerni. Uśmiechnął się do niego swoimi niezgłębionymi oczyma i wyciągnął rękę. — Niech się stanie światło.

I stało się światło.

\* \* \*

Roland obudził się przy szczątkach ogniska i uświadomił sobie, że jest o dziesięć lat starszy. Jego czarne włosy przerzedziły się na skroniach i przybrały szary kolor jesiennej pajęczyny. Rysy twarzy się pogłębiły, skóra zrobiła się bardziej szorstka.

Resztki opalu, który przyniósł, zmieniły się w żelazne drzewo, a człowiek w czerni w szczyrzący zęby szkielet w przegniłej czarnej szacie, kolejne kości w tej usłanej kośćmi niecce, kolejna czaszka w miejscu czaszek.

Rewolwerowiec wstał i rozejrzał się dookoła. Przyjrzał się światłu i stwierdził, że światło jest dobre.

A potem wyciągnął rękę ku szczątkom swojego towarzysza z ubiegłej nocy... nocy, która trwała dziesięć lat. Wyrwał szybkim gestem kość żuchwy z czaszki Waltera i wcisnął ją niedbale w lewą tylną kieszeń dżinsów — mogła mu się przydać zamiast tej, którą zostawił w górach.

Wieża. Gdzieś tam czekała na niego — w punkcie przecięcia Czasu, w punkcie przecięcia Rozmiaru.

Ruszył ponownie na zachód, mając za plecami wschodzące słońce, kierując się ku oceanowi, zdając sobie sprawę, że jakaś wielka rzecz w jego życiu zaczęła się i skończyła.

— Kochałem cię, Jake — powiedział na głos.

Z jego ciała ustąpiła sztywność i zaczął iść szybszym krokiem. Wieczorem dotarł do skraju lądu. Usiadł na plaży, która ciągnęła się opustoszała na lewo i prawo. Fale huczały i huczały, uderzając bez końca o brzeg. Zachodzące słońce wymalowało na wodzie szeroki pas tombakowego złota.

Tam właśnie zasiadł rewolwerowiec, z twarzą zwróconą ku gasnącemu światłu. Śnił swoje sny i patrzył, jak na niebie pojawiają się gwiazdy; widział jasno swój cel i nie zachwiało się w nim serce; jego włosy, teraz rzadsze i szare, powiewały wokół głowy; wykładane sandałowym drewnem rewolwery ojca przylegały do jego bioder i był samotny, lecz samotność nie wydawała mu się pod żadnym względem czymś złym lub haniebnym. Ciemność okryła ziemię i świat poszedł naprzód. Rewolwerowiec czekał na czas „powołania” i śnił swoje długie sny o Wieży, do której pewnego dnia dotrze i dmąc o zmierzchu w swój róg, przystąpi, by stoczyć niewyobrażalny ostatni bój.

## Posłowie

Niniejsza opowieść, która sama w sobie jest prawie (lecz nie do końca) skończonym utworem, stanowi pierwszą kompozycyjną część znacznie dłuższego dzieła, zatytułowanego „Mroczna Wieża”. Ciąg dalszy jest już w pewnej mierze ukończony, ale o wiele więcej zostało do zrobienia — krótkie streszczenie akcji sugeruje objętość sięgającą trzech tysięcy stron, być może nawet więcej. Można by stąd wnosić, iż moje plany względem tej historii nie są przejawem zwykłej ambicji, lecz świadczą o początkach obłędu... lecz poproście kiedyś swojego ulubionego nauczyciela języka angielskiego, żeby opowiedział wam o planach, jakie Chaucer miał wobec „Opowieści kanterberyjskich” — ten dopiero był szalony.

Biorąc pod uwagę tempo, z jakim posuwała się dotychczas do przodu praca, musiałbym żyć prawie trzysta lat, by ukończyć cykl o Wieży; segment „Rewolwerowiec i Mroczna Wieża” pisany był w ciągu dwunastu lat. Żaden z tematów nie zabrał mi dotychczas tyle czasu... i być może uczciwiej będzie ująć to inaczej: żadna z moich nieukończonych prac nie pozostała tak długo żywa i rześka w moim umyśle, a jeżeli książka nie żyje w umyśle pisarza, jest martwa jak zeszloroczne końskie gówno, jeśli nawet słowa maszerują po stronicy.

Pomysł „Mrocznej Wieży” zrodził się, jak sądzę, ponieważ w wiosennym semestrze ostatniego roku studiów odziedziczyłem pewną ryzę papieru. Nie była to zwyczajna banalna ryza satynowanego papieru ani nawet jedna z tych kolorowych ryz „drugiej klasy” (często z dużymi sprasowanymi kawałkami nierozpuszczonego drewna), których używa wielu niezbyt zamożnych pisarzy, gdyż są o trzy albo cztery dolary tańsze.

Arkusze odziedziczonej przeze mnie ryzy były jasnozielone, niewiele cieńsze od tektury i miały wyjątkowo ekscentryczne wymiary: z tego, co pamiętam, siedem cali szerokości i dziesięć długości. Pracowałem wówczas w bibliotece Uniwersytetu Maine i pewnego dnia kilka tych ryz w różnych odcieniach pojawiło się w sposób zupełnie niespodziewany i niewyjaśniony. Moja przyszła żona, która wtedy nazywała się Tabitha Spruce, wzięła do domu jedną z nich (niebieskiego koloru jajek drozda); facet, z którym chodziła, zabrał kolejną (żółtego koloru kukawki). Mnie przypadła w udziale zielona.

Tak się złożyło, że wszyscy troje zostaliśmy prawdziwymi pisarzami — zbieg

okoliczności niemal zbyt wielki, by określić go mianem zwykłej koincydencji w społeczeństwie, gdzie dziesiątki tysięcy (a może nawet setki tysięcy) studentów aspiruje do pisarskiego fachu, a jedynie setkom udaje się spełnić to marzenie. Opublikowałem już około pół tuzina powieści, moja żona wydała jedną („Small World”) i pracuje intensywnie nad jeszcze lepszą, a facet, z którym wówczas chodziła, David Lyons, okazał się znakomitym poetą i założył „Lynx Press” w Massachusetts.

Może to był ten papier, kochani. Magiczny papier. No, wiecie, tak jak to się zdarza w powieści Stephena Kinga.

Tak czy inaczej, czytający te słowa mogą nie pojmować, jak różne możliwości zdawały się tkwić w tych pięciuset arkuszach niezapisanego papieru, chociaż podejrzewam, że wielu z was kiwa w tym momencie z absolutnym zrozumieniem głową. Publikujący pisarze mogą mieć oczywiście tyle papieru, ile zapragną; to ich narzędzie pracy. Można go sobie nawet odpisać od podatku, w gruncie rzeczy mogą mieć go tyle, że te niezapisane arkusze zaczynają w końcu rzucać zły urok — lepsi ode mnie autorzy opowiadają o niemym wyzwaniu, jakie widzą w białej kartce, i Bóg wie, że niektórych onieśmieliła ona do tego stopnia, iż zamilkli.

Z drugiej strony — jest to prawdą zwłaszcza w wypadku młodych pisarzy — ta sama biała kartka może budzić prawie niezdrową ekscytację; człowiek czuje się niczym alkoholik kontemplujący piątą whiskey w zapieczętowanej butelce.

Mieszkałem w owym czasie w obskurnej chatce przy rzece, niedaleko uniwersytetu, i mieszkałem w niej sam jak palec — jedna trzecia niniejszej opowieści pisana była w upiornej, niczym niezmaconej ciszy, którą teraz, gdy mieszkam w domu z rozrabiającymi dziećmiakami, dwiema sekretarkami oraz gospodynią, stale powtarzającą mi, że niezdrowo wyglądam, trudno mi sobie przypomnieć. Trzej sublokatorzy, z którymi zacząłem rok akademicki, wykruszyli się jeden po drugim, w marcu, gdy rzeką spłynęły lody, czułem się niczym ostatni z „Dziesięciu małych Indian” Agathy Christie.

Te dwa czynniki, niezapisane zielone kartki oraz absolutna cisza (którą zakłócało tylko kapanie topniejącego śniegu, spływającego do Stillwater) bardziej niż cokolwiek innego złożyło się na kształt pierwszej części „Mrocznej Wieży”. Był i trzeci element, lecz nie sądzę, by bez pierwszych dwóch ta historia została kiedykolwiek napisana.

Trzecim elementem był poemat, który analizowałem dwa lata wcześniej, gdy na drugim roku przerabialiśmy wczesnych poetów romantycznych (czyż może być lepszy okres na studiowanie poezji romantycznej aniżeli drugi rok studiów?). Większość innych wierszy wypadła mi w ciągu tych dwóch lat z pamięci, lecz ten, przepiękny, bogaty i niewytłumaczalny, pozostał. . . i wciąż go pamiętam. To „Childe Roland” Roberta Browninga.

Przyszedł mi do głowy pomysł napisania długiej romantycznej powieści, w której zawarty byłby, jeśli nawet nie dokładny sens, to w każdym razie duch



poematu Browninga. Skończyło się wówczas na samym pomysle, miałem bowiem tyle innych rzeczy do napisania — moje własne wiersze, nowele, artykuły do gazet i Bóg wie, co jeszcze.

A jednak w tym wiosennym semestrze coś w rodzaju cienia padło na moje uprzednio bujne życie twórcze — nie pisarska blokada, lecz przeświadczenie, iż pora już przestać szwendać się z łopatką i wiaderkiem, pora zasiąść w kabinie wielkiej wszechmocnej koparki i spróbować wykopać coś spod piachu, choćby miało się to zakończyć piramidalną klapą.

I oto któregoś marcowego wieczoru w roku 1970 zasiadłem przy mojej starej biurowej maszynie marki „Underwood” z ułamanym „m” i podniesionym dużym „O” i napisałem słowa, od których zaczęła się ta historia:

„Człowiek w czerni uciekał przez pustynię, a rewolwerowiec podążał w ślad za nim.”

W latach, które nastąpiły po tym, gdy wystukałem to zdanie, słuchając na stereo Johnny’ego Wintera i kapania topniejącego i spływającego po zboczu śniegu, moje skronie pokryły się siwizną, począłem dzieci, pochowałem moją matkę, zacząłem i skończyłem brać narkotyki, i dowiedziałem się kilku rzeczy o samym sobie — kilku smutnych, kilku niemiłych, ale w większości po prostu śmiesznych. Jak określiłby to zapewne sam rewolwerowiec, świat poszedł naprzód.

Ja jednak w całym tym okresie nigdy nie opuściłem do końca jego świata. Po drodze przepadł gdzieś gruby zielony papier, lecz mam jakieś czterdzieści stron oryginalnego rękopisu, zawierającego części zatytułowane „Rewolwerowiec” i „Przydrożny zajazd”. Zielone arkusze zastąpiły godziwiej wyglądające kartki, ale wspominam je z afektem, który trudno wyrazić słowami. Powróciłem do świata rewolwerowca, gdy źle mi szło z „Miasteczkiem Salem” (wówczas powstała „Wyrocznia i góry”) i opisałem smutny koniec Jake’a niedługo po tym, jak inny chłopiec, Danny Torrance, uciekł z innego złego miejsca w „Lśnieniu”, w gruncie rzeczy jedynym okresem, w którym przynajmniej co jakiś czas nie wracałem myślami do suchego, lecz mimo to cudownego (mnie w każdym razie wydawał się on zawsze cudowny) świata rewolwerowca, były dni, gdy znalazłem się w innym świecie, sprawiającym wrażenie pod każdym względem tak samo realnego — w postapokaliptycznym świecie „Bastionu”. Ostatni prezentowany tutaj fragment, „Rewolwerowiec i człowiek w czerni”, napisany został przed niespełna osiemnastu miesiącami w zachodnim Maine.

Uważam, że czytelnikom, którzy dotarli ze mną tak daleko, winien jestem być może pewien rodzaj streszczenia („rekapitulacji”, jak określiliby to ci wielcy dawni romantyczni poeci) tego, co jeszcze nastąpi, niemal pewne jest bowiem, że umrę przed ukończeniem całej powieści. . . eposu bądź jakkolwiek to nazwiecie. Niestety naprawdę nie potrafię tego zrobić. Ludzie, którzy mnie znają, wiedzą, iż nie jestem gejzerem intelektu, a ci, którzy czytali z krytyczną aprobatą moje książki (jest kilka takich osób; udało mi się je przekupić), zgodzą się chyba, że

najlepsze z nich wzięły się nie z głowy, lecz przede wszystkim z serca... lub z trzewi, czyli miejsca, gdzie rodzi się najsilniejsze emocjonalnie pisarstwo.

Wspominając o tym wszystkim, chcę po prostu powiedzieć, że nigdy nie wiem do końca, dokąd zmierzam, i że w tej historii dzieje się tak bardziej niż zwykle, z wizji, jaką Roland ma pod koniec książki, wiem, że jego świat rzeczywiście idzie naprzód, wszechświat Rolanda istnieje bowiem wewnątrz pojedynczej molekuly trawy wędnącej na jakimś kosmicznym polu (zaczerpnąłem chyba ten pomysł z „Pierścienia wokół słońca” Clifforda D. Siniaka; proszę, nie wytaczaj mi procesu, Cliff!), i wiem, że „powołanie” określa wezwanie trzech osób z naszego własnego świata (w podobny sposób, w jaki Jake został wezwany przez człowieka w czerni), trzech osób, które dołączą do Rolanda w jego wędrówce ku Mrocznej Wieży — wiem o tym, ponieważ napisałem już kilka segmentów drugiej części cyklu (zatytułowanej „Powołanie Trójki”).

Jak natomiast przedstawia się mroczna przeszłość rewolwerowca? Boże, tak mało o niej wiem, i cóż to za rewolucja obaliła jego „światlany świat”? Nie wiem. Jak wyglądała ostateczna konfrontacja Rolanda z Martenem, który uwodzi jego matkę i zabija ojca? Nie wiem. Jak zginęli ziomkowie Rolanda, Cuthbert oraz Jamie, i co się działo w latach pomiędzy jego inicjacją i momentem, gdy po raz pierwszy widzimy go na pustyni? Tego też nie wiem. No i pozostaje jeszcze ta dziewczyna, Susan. Kim jest? Nie wiem.

Choć właściwie, gdzieś w głębi duszy wiem. Gdzieś w głębi duszy wiem to wszystko i nie jest mi potrzebne streszczenie, rekapitulacja ani konspekt (konspekty są ostatnim ratunkiem złych pisarzy, którzy najchętniej pisaliby prace magisterskie). Kiedy nadejdzie pora, te rzeczy — i miejsce, jakie zajmują w wędrówce rewolwerowca — pojawią się tak samo naturalnie jak łzy lub śmiech, a jeśli nigdy się nie pojawią, trudno. Jak rzekł kiedyś Konfucjusz, pięćset milionów czerwonych Chińczyków ma to głęboko w dupie.

Wiem jedno: w jakimś momencie, w jakiejś magicznej chwili, kiedy zapadnie purpurowy zmierzch (zmierzch stworzony dla romansu), Roland dotrze do swojej mrocznej wieży i zbliży się do niej, dmac w róg... i jeśli kiedykolwiek dane mi będzie tam się znaleźć, wy pierwsi się o tym dowiedziecie.

*Stephen King  
Bangor, Maine*

### **W następnym tomie:**

Po konfrontacji z człowiekiem w czerni Roland budzi się na brzegu Morza Zachodniego, gdzie odnajduje drzwi — wrota czasowe umożliwiające mu przeniknięcie do Ameryki drugiej połowy XX wieku. W Nowy Jorku spotyka troje wybranych: młodego Eddie Deana, piękną Odettę Holmes i Jacka Morta, seryjnego zabójcę. Wraz z nimi powraca do swojego świata. W krucjacie przeciwko siłom zła zyskuje nowych sprzymierzeńców, którzy pomogą mu w misji rozwikłania tajemnicy Mrocznej Wieży.